

W obronie POKOJU



Nr 10 (28)

PAŹDZIERNIK 1953 r. Cena zł. 2.50

DO DALSZYCH ZWYCIĘSTW!

PIERRE COT — PROF. J. D. BERNAL

NA OSI WASZYNGTON — BONN

JULIUSZ FUCZIK — PAUL HOGARTH

FETYSZ U. S. A.: KONIUNKTURA WOJENNA

GDY NOC ZAPADA NAD RZEKĄ PANDŹ

FILMOWCY WŚRÓD DZIKICH ZWIERZĄT

Wydawca: POLSKI KOMITET OBRONCÓW POKOJU

Redakcja: Warszawa, Foksal 16

Telefony: Redaktor Naczelny 65 181

Sekretarz Redakcji 65 184

Godziny przyjęć: 13 — 15

Administracja: W-wa, ul. Wilejska 12, tel. 853-30

Warunki prenumeraty: kwartalnie — 7.50 zł

półrocznie — 15.00 zł

rocznie — 30.00 zł

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze miejscy

Ekspedycja Centralna: Srebrna 12.

Drukarnia RSW „Prasa”, W-wa, al. Jerozolimskie 125

Wszelkie reprodukcje naszych tekstów i ilustracji są dopuszczalne tylko za podaniem źródła: „W obronie pokoju”.

» W OBRONIE POKOJU «



Większość artykułów pochodzi z miesięcznika:

DEFENSE DE LA PAIX

33, rue Vivienne — Paris II — Tel. CEN 49-27, 49-28

pod redakcją PIERRE COTA

deputowanego do francuskiego parlamentu

oraz

CLAUDE MORGANA, literata i publicysty

KOMITET DORADCZY:

Dr ATAL (Indie), *prof. Uniwersytetu*, JOSE BERGAMIN (Hiszpania) *pisarz katolicki*, IZABELA BLUME (Belgia) *deputowana socjalistyczna*, GEORG BRANTING (Szwecja) *deputowany socjalistyczny*, ILJA ERENBURG (ZSRR), *pisarz*, Gen. ERIBERTO JARA (Meksyk) *b. minister*, MAHDI JAWAHIRI (Irak) *poeta*, LEON KRUCKOWSKI (Polska) *przewodn. Zw. Literatów Polskich*, MAO DUN (Chiny) *przewodn. Zw. Literatów Chińskich*, CESA NABARAOUI (Egipt) *dziennikarka*, PIETRO NENNI (Włochy) *b. minister*, MARIA ROSA OLIVER (Argentyna) *literatka*, LUIGI RUSSO (Włochy) *krytyk*, GORDON SCHAFFER (W. Bryt.) *publicysta*, ARNOLD ZWEIG (Niemcy) *pisarz*.

BYŁEPIEJZROZUMIEĆ NASZECZASY

PIERRE COT

ZASTANÓWMY się nad wielkimi prądami naszej epoki, które pozwalają zrozumieć i ocenić bieg wydarzeń i ewolucję polityczną. Wydaje mi się, że obecnie jednym z najważniejszych takich prądów jest poczucie narodowe.

Znany dziennikarz amerykański Walter Lippmann w jednym ze swych artykułów tłumaczył ostatnie niepowodzenia polityki amerykańskiej obudzeniem się poczucia narodowego w Europie zachodniej. Jego zdaniem, należałoby całą tę politykę zrewidować i zmienić jej kierunek z uwzględnieniem tego faktu.

Dlatego, że Amerykanie pogardzali, albo w najlepszym razie zaniiedbawali najistotniejsze interesy, najsilniejsze tradycje i najgłębsze dążenia narodów europejskich, dlatego że lekceważyli różnorodność i odrębności tych narodów. w ciągu ostatnich lat powstało i rozwija się w odniesieniu do nich uczucie nieufności i wrogości.

Walter Lippmann ma całkowitą rację. W Europie wschodniej polityka amerykańska wiąże się ze starym porządkiem rzeczy, którego narody już nie chcą. Zwycięstwo tej polityki oznaczałoby powrót do starych reguł,

do starych tyranii gospodarczych, społecznych i politycznych, do reżimów przekupstwa i bezsilności, przeciwko którym występuje olbrzymia większość kobiet i mężczyzn, a w szczególności najzdrowsze. odłamy społeczeństwa wszystkich narodów.

W Europie zachodniej idea stopienia razem, w jeden organizm polityczny narodów tak różnych jak włoski, francuski, niemiecki, belgijski i holenderski może wydawać się praktyczna i szczęśliwa jakiemuś farmerowi w Teksasie lub Newadzie, nie mającemu pojęcia o naszej historii i o naszej kulturze, ale żaden rozsądny i realny człowiek nie może jej brać na serio. Polityka amerykańska wszędzie uraża narodowe poczucie Europejczyków i wszędzie to poczucie narodowe stoi jej na przeszkodzie.

To, co z taką jasnością ujawniło się Walterowi Lippmannowi w Europie, jest tym bardziej prawdziwe w odniesieniu do innych części świata. W Ameryce Łacińskiej, w Afryce, a przede wszystkim, jak się zdaje, w Azji — wszędzie obserwujemy rozbudzenie się poczucia narodowego i patriotyzmu. Narody długo eksploatowane, lub przynajmniej znaj-

dujące się pod panowaniem „białego człowieka“, o którym mówił Kipling, ofiary kolonizacji we wszystkich formach — wojskowej, politycznej i gospodarczej — podniosły głowę i wyprostowały się. Narody te chcą być wolne i nie — ani dolary, ani armaty, ani bomba atomowa nie złamie ich woli wyzwolenia i niepodległości.

Przed kilkoma dniami miałem sposobność rozmawiać z wielkim uczy-nym hinduskim, dr Sokhey'em, którego udział i wystąpienia na sesji Światowej Rady Pokoju w Budapeszcie odegrały tak wielką rolę. Ten wybitny człowiek, który nie jest komunistą, powiedział mi, że nie można zrozumieć tego, co się dzieje w Azji, to znaczy na obszarze, gdzie żyje przeszło połowa ludności kuli ziemskiej, jeżeli nie wiąże się całej polityki narodów Azji z przebudzeniem poczucia narodowego i dumy narodowej.

Dr Sokhey dodał, że dla wszystkich jego rodaków bez wyjątku rewolucja chińska, wyzwolenie narodu chińskiego jego własnymi siłami było i jest nadal czynnikiem dumy i ufności w ich własną przyszłość; jest to wstrząs psychiczny, który odrywa ich od ich przeszłości, prostuje ich i pcha do czynu.

Walter Lippmann i dr Sokhey mają rację. Nie można niczego zrozumieć z rozwoju świata i co za tym idzie, nie można przewidzieć kierunku tego rozwoju, jeżeli nie bierze się pod uwagę tego wielkiego uczucia o rozmaitych i różnych formach, w zależności od okoliczności i cywilizacji, które ożywia zarówno francuskiego rzemieślnika, jak górnika w Zagłębiu Ruhry, chińskiego chłopca,

jak robotnika w Kairze i pasterza w Andach.

Ponieważ koła rządzące w Waszyngtonie nie zrozumiały tego, tracą one z każdym dniem grunt pod nogami w ich przedsięwzięciach „wojny psychologicznej“. Ponieważ rządy francuskie z uporem zamykają oczy na tę rzeczywistość, dzisiaj przegrywają w Vietnamie, a jutro mogą przegrać w ten sam sposób w Afryce Północnej.

Przyszłość nam powie, jakie nowe formy przybierze nasz świat pod działaniem tych wielkich sił, dzisiaj wyzwolonych i znajdujących się w pełnym rozwoju. Kto mówi o poczuciu narodowym, nie mówi koniecznie o zagorzałym nacjonalizmie i o pragnieniu panowania lub podboju. Nacjonalizm jest jak język Ezopa, który mógł być zależnie od wypadku albo rzeczą najlepszą, albo najgorszą.

Narody chcą dzisiaj ze wszystkich swoich sił żyć samodzielnie, chcą aby nie krępowała ich żadna obca siła. Ale nie oznacza to, że one same pragną narzucać swą wolę innym narodom.

Pokój to internacjonalizm, ale internacjonalizm zakłada patriotyzm. Oto sposobność, by przypomnieć piękne powiedzenie Jauresa: trochę internacjonalizmu oddała od ojczyzny, dużo — przybliżyła do niej.

W miarę jak ludzie kształtują swój los, ich rzeczą jest kierować ku pokojowi, międzynarodowej współpracy i postępowi wielkie siły, które ukazują nam się na widnokręgu. W tym wielkim i szlachetnym przedsięwzięciu, na tym nowym etapie drogi ludzkości, trzeba zaufać narodom — to znaczy trzeba zaufać człowiekowi.

NA DRODZE DO DAJSZYCH ZWYCIĘSTW

Prof. J. D. BERNAL

CIESZY nas pierwsze faktyczne zwycięstwo Światowego ruchu w obronie pokoju — podpisanie i wykonanie rozejmu w Korei. Jest to zwycięstwo, w którym obrońcy pokoju we wszystkich krajach odegrały mniejszą czy większą rolę, od bohaterskiego narodu koreańskiego, który straszliwie cierpiał aż do prostych ludzi w Ameryce. Ich sprzeciw wobec wojny w Korei również przyczynił się do tego, że ich dzisiejsi władcy zmuszeni byli wbrew swej woli zgodzić się na zawarcie rozejmu.

Sposób, w jaki podpisano rozejm, dowodzi dostatecznie jasno, na przykładzie wykrętnych i godnych pogardy manewrów Li Syn-mana oraz na przykładzie poparcia, jakie on otrzymał od pewnych amerykańskich kół wojskowych — że istnieje tam

silna i aktywna grupa, zdecydowana wszelkimi sposobami utrzymać naprężenie międzynarodowe. Jeszcze obecnie układ zaproponowany przez Johna Fostera Dullesa i ukartowane z góry zerwanie konferencji politycznej, stanowią pokusę wznowienia działań wojennych. Aby temu przeszkodzić, potrzebna będzie jak największa czujność i zdecydowanie.

Jeszcze bardziej ponuro brzmi uroczysta deklaracja Stanów Zjednoczonych i ich piętnastu posłusznych sprzymierzeńców, że w wypadku zerwania rozejmu prowadzić będą aż do ostateczności wojnę z Chinami.

W obliczu tak oczywistych faktów można by sądzić, że trzeba strzec się zerwania rozejmu przez nielojalnego Li Syn-mana, ale nie ulega wątpliwości, że tak jak na początku tragedii koreańskiej, pewne koła żywią i tym razem plany zrzucenia winy na stronę przeciwną.

Wzrost sił pokoju i groźba wojny następują po sobie z oszalamiającą

szybkością. Miłujące pokój narody całego świata bardziej niż kiedykolwiek winny zrozumieć, że to nie przypadek, ale że walka między dwoma światami wchodzi obecnie w decydującą fazę. Z jednej strony występuje siła, która działa na rzecz rokowań i odprężenia. Tę siłę reprezentuje ruch w obronie pokoju, do którego przyłączają się obecnie coraz szersze odłamy opinii publicznej. Z drugiej strony siły, które dążą — w imię utrzymania swego istnienia — do przedłużania stanu naprężenia, do wywoływania prowokacji, ilekroć znajdują po temu sposobność. Nie trzeba wymieniać dzisiaj po nazwisku, jacy to ludzie przeciwstawiają się prawdziwemu pokojowi. Dostatecznie zdradzają się sami swoimi słowami i swoimi czynami.

Nowy zwrot w sytuacji zapoczątkowały w tym roku pojednawcze wystąpienia Związku Radzieckiego i rezygnacja rządu Chin Ludowych z ich praw do dyskusji nad sprawą jeńców po to tylko, aby zapewnić szybsze zaprzestanie działań wojennych w Korei.

Wystąpienia te spotkały się z tak gorącym przyjęciem narodów, że nawet politycy zmuszeni byli je uznać. Sam Sir Winston Churchill, jeden z inicjatorów „zimnej wojny“, w obliczu potęgi nowego prądu opinii publicznej rzucił swe słynne wezwanie zwołania konferencji na najwyższym szczeblu, bez żadnych warunków wstępnych. Attlee poparł go natychmiast w imieniu Partii Pracy.

Ten zwrot w polityce jest bezpośrednim skutkiem uporczywego i wzrastającego nacisku opinii publicznej na rzecz rokowań. To dążenie

wyszedłszy z ruchu w obronie pokoju, rozszerzyło się na wszystkie najbardziej wpływowe organizacje dołowe Labour Party — przyłączyły się do niego ponad trzy miliony trade-unionistów (członków związków zawodowych) — a nawet, jak czytaliśmy w prasie, tendencje te wzrosły w szeregach konserwatystów. Ten nowy prąd w polityce angielskiej znalazł olbrzymi oddźwięk. Prawie wszędzie mowa Churchilla spotkała się z przychylnym przyjęciem i w nowej atmosferze odprężenia międzynarodowego rokowania o rozejm w Korei potoczyły się szybko naprzód. Wybory włoskie wykazały, że polityka zimnej wojny traci poparcie.

Ale ta ulga jest zwodnicza. Siły, które sprzeciwiają się „wybuchowi pokoju“, nie ustąpiły. Uderzają one gwałtownie, ale na szczęście zbyt wcześnie. Rozruchy w Berlinie i rozpuszczenie jeńców koreańskich miały na celu pokazać wszystkim najgorsze strony zimnej wojny.

Na froncie dyplomatycznym — wykorzystując chorobę Churchilla — sformułowano w Waszyngtonie oświadczenie, mocą którego rządy francuski i angielski poparły nie do przyjęcia sztywne warunki podjęcia rokowań oraz potwierdziły swe poparcie dla remilitaryzacji Niemiec zachodnich i dla wojny w Indochinach.

Ta kontrofensywa przeciw pokojowi — mimo całej swojej gwałtowności — chybiła celu. Dzięki cierpliwości Chińczyków i północnych Koreańczyków rozejm został podpisany. Komunikat waszyngtoński przyjęto bardzo nieprzychylnie. Po raz pierwszy od dnia głosowania przeciw „euro-

pejskiej wspólnocie obronnej“ Labour Party z Attlee na czele kategorycznie przeciwstawiła się polityce, do której niegdyś wciągnął Anglię rząd labourzystowski. Nawet poważny odłam prasy konserwatywnej wyraził swe oburzenie. Tylko starzy monarchijczycy dawali się jeszcze wlec na pasku polityki Stanów Zjednoczonych.

Walka trwa. Nastąpiły kontrataki — prowokacja w Berlinie, układ Dullesa z Li Syn-manem w Seulu i tkwiąca w nim groźba ponownego rozpalenia wojny. Ale wszystko to nie odniosło większych skutków. Radziecka inicjatywa w sprawie podjęcia rozszerzonych rokowań oznacza nawiązanie do propozycji Churchilla. Niezależnie od tego jak ją przyjmą rządy, odpowiada ona woli znacznej większości narodów.

Osiągnęliśmy zatem spełnienie pierwszego żądania Kongresu Narodów w Wiedniu — pokój w Korei. Ale trzeba nam jeszcze będzie walczyć o realizację drugiego żądania — o rokowania. Rokowania dotyczą dwóch punktów — zjednoczenia Niemiec i dopuszczenia Chin Ludowych do ONZ. Inne ważne sprawy jak traktat z Austrią, zawarcie pokoju w Indochinach i na Malajach, zależą od uregulowania tych dwóch najważniejszych problemów.

W tych punktach trzeba jeszcze przewyciężyć opozycję przedstawicieli reakcyjnych kół w Stanach Zjednoczonych, których doprowadza do rozpacz ich niepowodzenie. Sami oświadczyli, że zdecydowani są zjednoczyć Koreę pod wodzą Li Syn-mana i trzymać tam w nieskończo-

ność swoje wojska. Mają nadzieję, że przy stole obrad uda im się uzyskać to, czego nie potrafili zdobyć na polu walki.

Oświadczyli, że nigdy nie zgodzą się na dopuszczenie Chin Ludowych do ONZ. Dodają, że zerwą rokowania, jeżeli nie ustąpi się ich żądanom.

Ta polityka dyktatu, przejęta od Hitlera, jest niewątpliwie skazana na takie samo niepowodzenie. To upieranie się przy absurdach doprowadzi do umocnienia się opinii na rzecz słusznej sprawy narodu chińskiego. Już w tej chwili cały angielski ruch labourzystowski opowiada się na rzecz przyjęcia Chin Ludowych do ONZ. Sprawa ta zyskała poważne poparcie wśród konserwatystów ze względu na żywotne zainteresowanie kół gospodarczych w rozwoju handlu międzynarodowego.

W stosunku do problemu niemieckiego zamierzenia amerykańskie są równie krańcowe i równie nieprzejednane. Waszyngton domaga się w istocie, aby całe Niemcy oddać Adenauerowi, by je uzbroidł aż po zęby, bądź jeżeli to będzie możliwe w ramach „europejskiej wspólnoty obronnej“, bądź — jeżeli się nie da — na zewnątrz niej. Tutaj opozycja opinii publicznej w Europie zachodniej nie jest tak jednolita, w szczególności w Anglii, gdzie doświadczenia, wyniesione z agresji niemieckiego militarizmu były mniej okrutne. Ale jednak nawet w Anglii Partia Pracy popiera żądania postawione przez Attlee: najpierw wybory i rozmowy ze Związkiem Radzieckim — zanim wyrazi się zgodę na ratyfikację układu

o „europejskiej wspólnocie obronnej“.

W rzeczywistości podczas ostatnich obrad opinia publiczna zajęła stanowisko bardziej wyraźne stanowisko. Gordon Walker, b. minister z ramienia Partii Pracy mówił o oświadczeniu, zawartym w komunikacie waszyngtońskim, głoszącym, że „europejska wspólnota obronna“ nie ma nic wspólnego z obecnym napięciem sytuacji międzynarodowej“. Oświadczenie to, powiedział, „jest tak dalekie od rzeczywistości, że trzeba je albo nazwać zupełnie naiwnym, albo jak najbardziej groźnym“. Potwierdził on to, co myśli wielu połów, że polityka tzw. europejskiej wspólnoty obronnej i polityka zjednoczenia Niemiec są faktycznie zupełnie ze sobą sprzeczne. „Jeżeli nie zarzucimy polityki tworzenia europejskiej wspólnoty obronnej, oznacza to, że nie chcemy szczerze rozmawiać z Rosjanami“.

Widzimy zatem w konsekwencji, że jedyną drogą realizacji „europejskiej wspólnoty obronnej“ jest siła. Orientujemy się, ile warta jest propaganda, która głosi, że rządy NRD, krajów demokracji ludowej, a nawet Związku Radzieckiego zaczynają się rozpadać i że nadeszła chwila, by je zmiażdżyć, osłabiwszy je uprzednio paczkami żywnościowymi i balonikami roznoszącymi kłamliwe ulotki.

Ta polityka, jak to wykazał poseł Mikardo w czasie debaty nad polityką zagraniczną, ośmiesza po prostu rządy angielski i amerykański, które jak powiadają budują swe siły zbrojne po to, aby móc przemawiać w oparciu o siłę — *speaking from strength*. Mikardo tak sprecyzował treść tej postawy: „Kiedy jesteście słabi,

a przeciwnik silny — nie można prowadzić rokowań, a kiedy wy jesteście silni, a przeciwnik słaby, wówczas jesteście pewni siebie i nie warto prowadzić rokowań. W ten sposób zarówno w pierwszym jak i w drugim wypadku, nigdy nie będziecie prowadzić rokowań“.

Niebezpieczeństwo tej gangsterskiej dyplomacji, jak niegdyś dyplomacji Hitlera, polega na tym, że któregoś dnia odkrywa się, iż mimo wszystko nieprzyjaciół nie jest tak słaby, jak się zdawało, ale wtedy jest już za późno.

Niemniej trzeba stwierdzić, że siły pokoju rosną. Będą one rosnać i nadal, jeśli pozostaną zjednoczone przeciw wszystkim prowokacjom i, co więcej, przeciw zniechęcającym opóźnieniom i dywersjom. Trzeba dużo wytrwałości, aby wygrać następny etap, jakim będzie otwarcie prawdziwych rokowań, które usuną główne przyczyny napięcia sytuacji międzynarodowej. Ruch w obronie pokoju nie może spoczywać na laurach z powodu osiągniętych sukcesów.

Zadaniem na najbliższą przyszłość jest umacnianie w każdym kraju, w każdej wiosce, w każdej fabryce, wzrastającej fali żądań na rzecz rokowań, położenia kresu zimnej wojnie, na rzecz niepodległości narodowej, dobrobytu, nawiązania międzynarodowej wymiany handlowej. Jedno z tych żądań może być pilniejsze w tym kraju, inne — gdzie indziej. Ale żądania te zbiegają się i narastają. Spowodowane zbrojeniami i wojnami kolonialnymi napięcie sytuacji gospodarczej, które staje się nie do zniesienia, przyniosło już konsekwencje gospodarcze i polityczne,

Walki wewnętrzne same w sobie mogą jedynie powodować nędzę i rozgryzienie, ponieważ w warunkach zimnej wojny nie może istnieć żadne prawdziwe rozwiązanie. Trwałe lekarstwo na obecne naprężenie sytuacji gospodarczej można znaleźć jedynie w powiązaniu ze sprawą pokoju.

Naszym najbliższym zadaniem winno być zbliżenie do siebie i jednoczenie drogą wspólnych propozycji nie tylko świadomych przyjaciół pokoju, ale także tych, którzy nie zrozumieli jeszcze dotąd, że pokój jest możliwy, jeżeli będą się go domagać dosyć mocno i że ich dobrobyt, a nawet ich życie są nierozdzielnie związane z powodzeniem ich wysiłków.

Następne miesiące będą decydujące. Konferencja polityczna w sprawie Korei i rozmowy dyplomatyczne w sprawie niemieckiej mogą zależnie od ich przebiegu opóźnić lub zbliżyć rokowania między pięcioma wielkimi mocarstwami na najwyższym szczeblu, rokowania, które są następnym etapem na drodze wiodącej do pokoju. Naszym zadaniem jest stworzyć w tych miesiącach tak potężną i skuteczną akcję opinii publicznej, aby nawet najbardziej zagorzali zwolennicy zimnej wojny zrozumieli, że nie mogą dłużej pozostawać na swych negatywnych pozycjach.

Tych którzy są w tej chwili odpowiedzialni za politykę amerykańską,

nazywano w przeszłości **izolacjonistami**. Naszym zadaniem jest pokazać im, że będą naprawdę całkowicie izolowani i bezsilni, jeżeli nie przyłączą się do reszty świata w konstruktywnej krucjacie, w której nigdy nie będzie użyta ani bomba atomowa, ani broń bakteriologiczna. To niewątpliwie trudne zadanie nie jest bynajmniej niemożliwe.

Polityka zimnej wojny jest finansowana przez Stany Zjednoczone, ale mają ją wykonywać „tubyłcy“ z Europy i z Azji. W miarę jak się okaże, że narody są skłonne współpracować na rzecz pokoju i nigdy nie wezmą udziału w wojnie, trzeba będzie powoli zmieniać tę politykę.

Już w doświadczeniu koreańskim wystąpiło całe szaleństwo polityki pchania Azjatów do wojny z Azjatami. Podobne perspektywy rysują się w Indochinach.

Któregoś dnia trzeba będzie zarzuścić politykę ratowania życia Amerykanów drogą rekrutowania Francuzów i Niemców w Europie i przekształcania Wielkiej Brytanii w lotniskowiec. Już teraz nie udają się próby intensyfikacji tej polityki nawet przy pomocy dolarów.

Prowadząc dalej naszą kampanię i rozszerzając ją, nie tracąc nigdy z oczu naszego celu, jakim jest pokój, umocnimy wygraną tych ostatnich miesięcy, zapewnimy trwałą pokój w Korei i doprowadzimy wielkie mocarstwa do zajęcia miejsca przy stole obrad.

Egzamin generała Gruenthera

A

BY dobrze ocenić te-
rażniejszość, dobrze
jest cofnąć się nieco w
przeszość.

Na krótko przed ob-
jęciem funkcji naczel-
nego dowódcy atlan-
tyckich sił zbrojnych
w Europie, generał
Alfred Grünther wy-
stąpił przed senacką
komisją spraw zagranicznych, której
przewodniczącym jest senator Alek-
sander Wiley. Działo się to o godzinie
10.15 rano w dniu 1 kwietnia 1953 r.
w sali komisji na Kapitolu. Przewo-
dniczący poprosił generała o zajęcie
miejsca i o przedstawienie we właści-
wy mu sposób, który nazwał „nie do
naśladowania“, sytuacji w Europie i
na świecie.

Można sobie wyobrazić, że to wystą-
pienie generała odegrało pewną rolę
w późniejszym mianowaniu go naczel-
nym dowódcą. Był to niejako egzamin.
Ma się więc prawo sądzić, że znajo-
mość rzeczy, jakiej złożył dowody
i wnikliwość, jaką wykazał, uznano za
godne wysokich funkcji, do których go
powołano.

Generał rozpoczął swoje wystąpienie
krótkim wykładem na temat organiza-

cji i działania SHAPE (Supreme He-
adquarters American Powers in
Europe -- Kwatera Główna Amery-
kańskich Sił Zbrojnych w Europie), a
następnie przedstawił senatorom obraz
tego, co daje jego zdaniem pogląd na
stan sił zbrojnych ZSRR.

Zdaniem generała Grünthera anali-
za ta opiera się zasadniczo na hipote-
zie, że są to siły agresywne.

Rzeczą zasadniczą jest — jak sądzić
— to, że przed dwoma laty armia ra-
dziecka mogła zagarnąć Europę bez
żadnych trudności i że jeszcze dzisiaj
napotkałaby jedynie na łatwe do po-
konania przeszkody.

Senator Hickenlooper ze stanu Iowa
wyrzucił pogląd, że należałoby odrzu-
cić rokowania i wziąć pod uwagę roz-
poczęcie — kiedy tylko to będzie moż-
liwe — wojny przewencyjnej: „Czas je-
dyńie nas osłabia, a ich wzmacnia”.
Wniosek — zaczynamy grę od razu.
zobaczmy.

Generał Grünther jest odmiennego
zdania. Jakkolwiek jawnie przyznaje,
że nie trzeba wcale brać pod uwagę
radzieckiej inicjatywy pokojowej, któ-
rą ocenia jako „pułapkę na myszy”
(mouse traps), odrzuca jednak formułę
Hickenloopera.

Skąd takie stanowisko? Niewątpliwie jest ono wynikiem jego oficjalnej pozycji, ale także i jego dość dokładnej, a czasem naiwnie wyrażanej znajomości sytuacji w Europie i w Azji. Jakkolwiek ani na chwilę nie wyciąga ogólnych wniosków ze swych szczegółowych informacji, całość jego uwag wyjawia głęboki niepokój atlantyckiego sztabu głównego w obliczu tego zasadniczego faktu, jakim jest wrogość narodów wobec polityki, narzucającej krajom Europy zachodniej coraz większe ciężary pod pretekstem ich obrony.

Mówiąc o budowie lotnisk w Europie, generał oświadcza: *„Wszystko to stwarza nam trudności — największe może z dotąd spotykanych — gdyż pod budowę nowych lotnisk musimy kupować ziemię, która od dwustu lat znajdowała się w posiadaniu tej samej rodziny. Trzeba było prowadzić nieustanną walkę, by móc kontynuować budowę”*.

Poważnie kłopotczy również generała problem rekrutacji ludzi do armii. *„Jest to — powiada — problem gospodarczy. Potrzebujemy ludzi, ale jeżeli zabierzemy ludzi z produkcji, produkcja spadnie”*. I naturalnie generał wyciąga z tego wniosek, że jedynym sposobem rozwiązania problemu jest zwrócenie się do kraju, mającego największą wyspecjalizowanych wojskowych, których można szybko przeszkolić — do Niemiec: *„Przyszłość Europy w znacznym stopniu zależy od rozwiązania problemu niemieckiego”*.

Przy tym — według amerykańskich strategów — rozwiązanie to ma polegać na ratyfikacji traktatu o „armii europejskiej” i włączeniu Niemiec zachodnich do paktu atlantyckiego pod kierownictwem Adenauera *„tego wiel-*



General Grünther

kiego obywatela”, pod którego adresem generał Grünther wyraża nadzieję, że *„będzie długo żył”* — *„nie zapominając, że ma 77 lat”* (sic!).

Francja wyraźnie stanowi źródło bardzo poważnych trosk sztabu głównego SHAPE. Co do tego generał Grünther nie ma żadnych złudzeń: *„Średni dochód Francuzów — powiada — wynosi 500 dolarów rocznie (średni dochód Amerykanów — 1.600 dolarów). Tymczasem życie jest we Francji praktycznie biorąc równie drogie jak w Stanach Zjednoczonych, a przeszło trzecią część pochłaniają podatki bezpośrednie i pośrednie. W rezultacie Francuzi zmuszeni są dźwigać ogromne (terrific) ciężary. Ponadto jest jeszcze wojna w Indochinach...”*

Tutaj między generałem Grüntherem a senatorem Fulbrightem nawiązuje



się rozmowa, która z wielu powodów przypomina najlepsze ustępy szekspirowskiego Shylocka, kiedy ten ocenia swój funt mięsa. Senator Fulbright dopiero wtedy poczuł się zadowolony, kiedy generał zapewnił go, że straty francuskie w Indochinach są cięższe niż straty amerykańskie w Korei, a francuscy żołnierze są tańsi, zważywszy, że płaci im się 8 centów dziennie, gdy tymczasem żołnierz amerykański otrzymuje 3 dolary. „*Mam u siebie trzech sierżantów — powiada Grüntner — z których każdy otrzymuje tyle co francuski pułkownik po trzydziestu latach służby*”. — *Czy to stwarza konflikty?* — zapytuje senator Ferguson.

Grüntner go zapewnia, że „*wszystko idzie bardzo dobrze*” ale wreszcie stwierdza: „*To jest powodem irytacji!*”

Stąd przechodzi się naturalnie do kwestii niesnasek między mocarstwami, wchodzącymi w skład bloku atlantyckiego. Generał i senatorowie w kośmisi wyrażają żywe zaniepokojenie w obliczu pokojowej inicjatywy Związku Radzieckiego, tym bardziej, że — jak powiedział generał Grüntner — stan umysłów w Europie zachodniej

bynajmniej nie jest zadowalający. „*Wielu Europejczyków odnosi wrażenie, że polityka amerykańska jest co najmniej całkowicie niezrównoważona i obraca się zależnie od wiatru*”.

Teraz generał i senatorowie stawiają na swój sposób problem współistnienia. Podniesienie poziomu życia w ZSRR wydaje im się niebezpieczne. Cytując artykuł czasopisma „*Fortune*” na temat radzieckiego planu pięcioletniego, senator Humphrey podkreśla, że w 1955 r. ZSRR osiągnie w zasadniczych dziedzinach poziom produktywności Stanów Zjednoczonych, gdy tymczasem Stany Zjednoczone, odwrotnie, jeżeli będą chciały utrzymać swój potencjał wojskowy, będą musiały niesłychanie ograniczyć konsumpcję cywilną. „*Jestem zatrwożony*”, powiedział senator Humphrey.

Równie niepokojące są z tego punktu widzenia dążenia krajów zachodnioeuropejskich do przezwyciężenia blokady amerykańskiej i nawiązania wymiany handlowej ze Wschodem oraz kwestia protekcjonizmu w Stanach Zjednoczonych, które systematycznie zamykają drzwi przed europejskim eksportem, pogłębiając w ten sposób „*głód dolarowy*”.

Kiedy senator Fulbright powołał się na artykuł 104 amerykańskiej „ustawy o obronie”, która nakłada embargo na wielką ilość artykułów eksportowych z Francji, Szwajcarii, Danii, Holandii i Włoch, przewodniczący Willey oświadczył z mocą: „*Zgadzam się z ogólną teorią, według której lepsza jest wymiana handlowa od „pomocy”, ale pod warunkiem, że polityka taka nie szkodzi interesom naszych współobywateli. Mamy już nagromadzonych 100 milio-*

nów funtów sera, które rząd zmuszony był zakupić, a mimo to we wszystkich gałęziach produkcji mleczarskiej odczuwamy nadprodukcję. Jeżeli ludź z mojego stanu w Middle West, których życie w dużej mierze uzależnione jest od dochodów ze sprzedaży arylkutów mleczarskich, mają być upośledzeni, rząd nie będzie mógł podwyższyć podatków, mających finansować program wojskowy”.

General i senator omawiają teraz sprawę propagandy psychologicznej Stanów Zjednoczonych, która wydaje im się bardzo niewystarczająca. „Musimy się wydoskonalić w tej dziedzinie”.

I general przypomina, że w XIX wieku Anglicy już w szkole zaznajamiali się z „rozwojem spraw światowych”. Grünther marzy o amerykańskim Eton lub Harrow (słynne uczelnie angielskie). „W przemyśle można postawić człowieka przy obrabiarce i w ciągu jednego lub dwu dni nauczyć go, jak się z nią obchodzi. Ale jeżeli chodzi o wpajanie ludziom entuzjazmu i o wywieranie wpływu na resztę świata, musimy jeszcze wiele się nauczyć”.

Pozostała część rozmowy byłaby oczarowała Gustawa Flauberta. Czyż nie przypomina ona dialogu między nieśmiertelnymi Bouvard i Pécuchet?

— Senator Hickenlooper: „Panie generale, tak właśnie robią Rosjanie, prawda?”

— General Grünther: „Słucham?”

— Senator Hickenlooper: „Mówię, że tak właśnie robią Rosjanie”.

— General Grünther: „Tak, proszę pana”.

— Senator Hickenlooper: „Starają się badać politykę światową. Robią postęp”.

— General Grünther: „Tak, proszę pana. Zgadzam się z panem, Senatorze Hickenlooper. Musimy stać się technikami w tej dziedzinie choć po wiedzieć w dziedzinie *dei* (in the realm of ideas), abyśmy to robili lepiej niż Rosjanie...”

Jak widać, w tym dniu 1 kwietnia 1953 r. pojęcie pokojowego współistnienia nie musnęło jeszcze umysłów członków senackiej komisji spraw zagranicznych. Chodziło im tylko o zimną wojnę. Ich przewodnią ideą było odrzucenie rokowań i wciągnięcie narodów Europy zachodniej do „europejskiej wspólnoty obronnej”.

I ci oto politycy, jak również ten general, który miał stać się naczelnym dowódcą atlantyckich sił zbrojnych w Europie, naownie myśleli, że dzięki udoskonalonej propagandzie psychologicznej narzucą niepodległym narodom politykę, którą one uważają za sprzeczną z ich interesami.

Ich słowa, tak niezwykle, że wydają się czasem, jakby były zmyślane, zostały ogłoszone w stenograficznym sprawozdaniu prac komisji i stamtąd właśnie je czerpiemy. Pozwalają one zmierzyć znaczenie drogi, przebytej od 1 kwietnia 1953 r. i wartość tego pierwszego wielkiego zwycięstwa sił pokoju jakim było podpisanie układu rozejmowego w Korei. Ale jednocześnie rzucają one ostre światło na olbrzymie przeszkody, jakie trzeba przezwyciężyć, aby duch rokowań wszędzie narzucił swe prawa.

REVISOR

Amerykański fetysz— koniunktura wojenna

PAUL DAWSON

NIEWIELE mitów miało tak twarde życie i niewiele pociągnęło za sobą tyle głębokich konsekwencji społecznych co amerykański fetysz — „koniunktura wojenna“.

To zjawisko — jak każde zjawisko społeczne — ma swoje przyczyny. W czasie pierwszej wojny światowej Ameryka odegrała rolę bankiera i kupca, co przyniosło Stanom Zjednoczonym pomyślną „koniunkturę“. Naturalnie, ze wspólnego kotła gospodarczego dobrobytu, utrzymywanego w stanie wrzenia w ogniu odległych bitew, jednostki z poszczególnych klas społecznych czerpały łyżkami najróżniejszej wielkości.

Ale amerykańska „koniunktura wojenna“ nie skończyła się z chwilą gdy 11 listopada 1918 r. na minutę przed jedenastą trzech francuskich żołnierzy, ostatnie ofiary wojny, padło pod Dom-le-Mesnil.

Ameryka stała się z daleka pierwszym krajem - wierzycielem, a jej przemysł całkowicie nienaruszony, a nawet poważnie rozbudowany w czasie wojny, mógł zapanować na rynkach światowych.

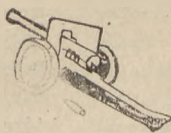
Potrzeba było dziesięciu lat, dziesięciu lat, w czasie których kryzys rolniczy przemienił się zwolna w kryzys nadprodukcji całego przemysłu, i potrzeba było

również paniki, która w październiku 1929 r. wybuchła na Wall Street, by zgasł mit o „koniunkturze wojennej“ i by poszła w niepamięć legenda o robotnikach z fabryk zbrojeniowych, „którzy chodzili do pracy w jedwabnych koszulach po 25 dolarów sztuka“.

Wszystkie reformy i wszystkie ustępstwa, poczynione przez administrację Franklina D. Roosevelta w czasie dziesięciu następnych lat, mogły jedynie złagodzić cierpienia mas pracujących. Roosevelt szczerze wyznał, że jego reformy miały jedynie na celu zapobieżenie rewolucji.

Dlatego w 1939 r. powstała szczęśliwa dla Ameryki kombinacja względów moralnych i interesów materialnych, kiedy pojawiła się nowa „koniunktura wojenna“. Ameryka stała się bowiem najpierw „arsenałem demokracji“, a potem czynnym partnerem w drugiej wojnie światowej. Stary mit ponownie się odradzał. Znowu wojna i znowu koniunktura.

I znowu po zakończeniu drugiej wojny światowej działały niektóre czynniki, które przedłużyły żywot mitu, powstałego w czasie pierwszej wojny światowej, działały znowu, ale już z wielkimi różnicami. Przywódcy robotniczych związków zawodowych w Sta-



nach Zjednoczonych, którzy mieli w pamięci 1929 r., chcieli przedłużyć koniunkturę na okres powojenny, eksportując bezrobocie przy pomocy planu Marshalla.

Gospodarka amerykańska straciła jednak swą dawną elastyczność. Wiadomo powszechnie, że Stany Zjednoczone znajdowały się w przededniu kryzysu, kiedy w czerwcu 1950 r. prezydent Truman wynalazł ten rozkaz, nacechowany „wysoką moralnością” — „stawić czoła agresji” i rzucił się pośpiesznie do realizowania tego, co otrzymało nazwę „operacji policyjnej ONZ w Korei”. Ceny artykułów konsumpcyjnych, a zwłaszcza spożywczych, podskoczyły gwałtownie w górę i już nie spadły. Znowu wyrosła powszechna wiara w „wojenną koniunkturę”.

Stary fetysz był w sam raz gotów, jeżeli tak można powiedzieć, na wyborach 1952 r. Niewątpliwie kampania przedwyborcza wysunęła inne problemy, ale Stevenson przejął slogan Trumana: „**You have never had it so good**” — „nigdy nie było tak dobrze”. Było to w rzeczywistości wezwanie do głosowania za „koniunkturą wojenną”.

Nie ulega wątpliwości, że miliony, które zwyciężyły w wyborach, głosowały za Eisenhowerem dlatego, że obiecywał pokój w Korei. Obietnica ta oznaczała „koniunkturę dzięki gospodarce pokojowej”.

Ale fetysz „koniunktury wojennej” ma twarde życie. Przed wyborami Eisenhower starał się wykorzystać w swej polityce rozczarowanie tych, którzy wierzyli w fetysza, a obecnie stara się odrodzić ich złudzenia, na przykład, kiedy ostatnio obiecywał

utrzymać przyspieszone tempo przygotowań wojennych i to już nawet po podpisaniu 27 lipca rozejmu w Korei. Jest rzeczą oczywistą, że administracją Eisenhowera rządzi stary fetysz.

Co oznaczają obciążenia w budżecie wojennym? Po prostu tyle: dług narodowy wzrósł do 266.000.000.000 dolarów, roczny deficyt wynosi 9.000.000.000 dolarów. Dlatego administracja Eisenhowera chce taniej zapłacić za wojnę, ale bynajmniej nie chce ona położyć kresu gospodarce wojennej.

Nienasycone żądania Pentagonu, którego ściśle powiązania z wielkimi trustami zbrojeniowymi są każdemu znane, kosztują zbyt drogo. Rząd toczy się ku bankructwu, a jedną z oznak tego bankructwa jest spadek na rynku bonów skarbowych.

Ale tę klęskę rządu w okresie „wojennej koniunktury” dostrzegają tylko bardzo niewyraźnie klasy gospodarcze, które z kotła dochodu narodowego czerpią jedynie małymi łyżeczkami. Te małe dochody mają swoje własne klęski i własne deficyty. Robotnicy i dzierżawcy nadal spostrzegają, jak ich siła kupna boleśnie maleje.

Przed wszystkim kryzys rolnictwa pogłębia się nadal. Zaczęło się to jeszcze na długo przed wojną w Korei. W 1952 r. ceny artykułów rolniczych spadły o 12 — 15 proc. w porównaniu z poziomem z 1947 r. Tylko w 1952 r. zadłużenie farmerów zwiększyło się o dwa miliardy dolarów.

Ale jeżeli ktoś wyobraża sobie, że płacenie najniższych cen farmerom przy sprzedaży dowodzi, że ceny, które płacą za te artykuły robotnicy

są również niskie, oznacza to, że nie zna on chciwości monopolu w dziedzinie sprzedaży detalicznej, które w Stanach Zjednoczonych wciskają się między producenta i konsumenta.

Monopole te zajmują w gospodarce amerykańskiej specjalne, a niewiódzone miejsce. Oto przeszło czterdzieści lat temu kierownictwo tak zwanych rolniczych związków zawodowych zerwało wszelkie stosunki z robotniczymi związkami zawodowymi i stanęło po stronie kapitału, mimo rozpaczliwych rezultatów, które w związku z tym dotknęły małych chłopskich właścicieli.

Zauważmy na przykład, jak gospodarczy rzeczoznawca agencji prasowej „Associated Press” rozpatruje 17 czerwca problem nożyc między cenami płaconymi w gospodarstwie i cenami, płaconymi na rynkach, bez wytykania kogokolwiek osobiście: „W tym roku ceny produktów rolnych bardzo spadły, szczególnie w ostatnim miesiącu. Ceny hurtowe są w tym roku o 10 do 14 proc. niższe. Ceny detaliczne pozostały bez zmian”.

Weźmy na przykład mięso. Od marca 1952 r. do marca 1953 r. średnia cena dla hodowców za żywca na ubój spadła z 27,60 dolarów za sto funtów na 17,80 dolarów.

Ale nikt nie mógłby zauważyć na rynkach miejskich wyraźniejszej różnicy w cenach mięsa w detalu. Jeżeli chodzi o części wyborowe, nie jest się w stanie zauważyć różnicy, jeżeli chodzi o gorsze części, ceny wcale nie spadły. A nawet od czasu, gdy coraz większa liczba klientów szuka tych gorszych części, ich cena wzrosła.

Co więcej, istnieją olbrzymie składy zboża. Podczas gdy rząd trzyma jeszcze zapas z nadwyżek z 1948 r. w życie i jęczmieniu, zbiory żyta w 1953 r. ocenia się na wyższe od przeciętnych o 48 proc. W czerwcu cena zboża spadła nagle na giełdzie zbożowej w Chicago. Ale ceny, płacone rolnikom są wyższe o 17 centów od zwykłego kursu. Biedni rolnicy, nie mający możliwości magazynowania i pilnie potrzebujący gotówki, zmuszeni byli sprzedawać po cenach, które mogli uzyskać. Wiele korców zboża pozostało na gołej ziemi, zdanych na wszelkie niepogody.

Czy chleb potaniał? Nie. Cena chleba wzrosła cent po cencie. W Los Angeles cena chleba wzrosła o dwa centy na bochenku w ciągu czerwca z 21 do 23. Cena ta, trzeba podkreślić, została ustalona drogą porozumienia między trustem chlebowym i przywódcami związku zawodowego piekarzy. Ugodowi przywódcy związku zgodzili się na podwyżkę cen w zamian za niewielką zwykłą płac.

Kłopot, jaki sprawia ten nadmiar produktów spożywczych, spowodowany jest zmniejszeniem siły kupna konsumentów najpierw w Stanach Zjednoczonych a potem w krajach secesyjnych. Sami chłopcy, którzy produkują żywność, nie mogą jej kupować. „Plain Dealer” z Cleveland w stanie Ohio cytował niedawno głosy mleczarzy, kupujących margarynę zamiast, spożywać masło które sprzedają.

45 proc. rodzin amerykańskich kupuje margarynę, która jest tańsza od masła. W rezultacie rząd, aby utrzymać ceny masła, kupuje codziennie

milion ton niesprzedanego masła i nie ma żadnej możliwości jego sprzedaży, ponieważ ustawa zabrania upłynniać go po cenie niższej od rynkowej, ustalonej przez trusty.

W czasie debaty, która corocznie powraca na forum obrad Kongresu i która ma doprowadzić do pozbycia się nadwyżek roślin zbożowych, Kongres z ulgą zatwierdził — jako narzędzie polityczne — przyznanie miliona ton zboża Pakistanowi, w myśl propozycji Eisenhowera. Ale tenże Kongres odrzucił propozycje deputowanego Bailey (West Virginia), aby 1 proc. tej ilości zboża rozdać rodzinom 42.000 górników i 11.000 kolejarzy, którzy, jak oświadczył Bailey, są stale bezrobotni i żyją w nędzy w stanie West Virginia.

Do czerwca 1954 r. rząd utopił 4.500.000.000 dolarów w tych składkach zboża, masła, bawełny, tytoniu, sera, jęczmienia, jaj itp., których nie można było sprzedać z powodu malejącej siły kupna ludności amerykańskiej. Siła kupna nieustannie spada z powodu inflacji wojennej, podatków wojennych przeznaczonych na zakup wszelkiego rodzaju materiału wojennego — łącznie z bombami atomowymi.

Zmniejszenie się siły kupna oznacza ruinę rynku wszystkich dóbr konsumcyjnych i bezrobocie. Fakt ten ukrywa się często przez zmniejszenie godzin pracy. Starają się go również ukrywać statystyki. W Stanach Zjednoczonych umiera fetysz „koniunktury wojennej“, ale umiera bardzo powoli.

Oficjalne milczenie przerwane zostało w sposób dramatyczny wydarzeniem, które zaszło w Nowym Jor-

ku pod koniec czerwca. Trzy tysiące rolników zwróciło się o pracę na 260 wolnych miejsc za skromną płacą 2.700 dolarów rocznie. Setki tych bezrobotnych koczowały na ulicach przez całe dnie i noce, oczekując na otwarcie biur pośrednictwa pracy, by złożyć swe podania.

Administracja Eisenhowera, wbrew pragnieniu „odtłuszczenia“ nieco budżetu wojennego, wierzy jeszcze w „koniunkturę wojenną“ i nadal wydatkuje 4 miliardy dolarów miesięcznie na „obronę“. Nadal również głosi ona, że Stany Zjednoczone muszą zbroić się po zęby przeciw „niebezpieczeństwu agresji“. A jednak, im bardziej wzrastają wydatki zbrojeniowe, tym bardziej pogłębia się kryzys. Niestety, wiele osób przypisuje kryzys pokojowi w Korei i w ten sposób fetysz mógłby może przetrwać.

Prosty robotnik ocenia to wszystko z wahaniem. Dla milionów ludzi jest rzeczą nienaturalną, że w warunkach gospodarki wojennej przeżywa się ciężkie czasy, bezrobocie, spadek poziomu życia. Ich gazety nic im nie piszą o kryzysie gospodarczym i nic nie widzą z tego na ekranach telewizyjnych. Tu i ówdzie rzeczoznawcy nawiązują na ten temat dyskusję, żeby zorientować się, czy wyniknie stąd kryzys.

Te miliony Amerykanów nie porzuciły jeszcze swej wiary w fetysza „wojennej koniunktury“, jakkolwiek w ich własnych oczach pomyślna koniunktura przestała istnieć. Niepokoją się coraz bardziej z powodu nieustannego wzrostu cen, groźby utraty pracy. Zwolna otwierają im się oczy, nawet jeżeli zajmują posa-

dy, nazywane dobrze płatnymi i starają się robić oszczędności, nawet na rzeczach, które dawniej uważali za niezbędne. Boją się, by pokój w Korei nie doprowadził do kryzysu.

Ale dla jednej trzeciej Amerykanów, dla tych, o których Roosevelt mówił kiedyś, że są „źle ubrani, źle wyżywieni i źle mieszkają“, nigdy nie było „konjunkturny“, ani w okresie pokoju, ani podczas wojny. Zawsze żyli w złych warunkach, w niekończącej się biedzie, większej lub mniejszej, której Roosevelt nie zlikwidował. W czasie dzisiejszego, wzrastającego kryzysu gospodarczego oni pierwsi cierpią niedostatek. Ta jedna trzecia Amerykanów, o których zawsze się zapomina, jest zbyt biedna nawet, by mieć jakiś mit.

Wielbicielami fetysza „konjunkturny wojennej“ są klasy średnie i arystokracja robotnicza ze związków zawodowych, która zaczerpnęła swą ideologię u drobnej burżuazji. Te kategorie ekonomiczne nie potrafią jeszcze uwierzyć, że władza ich fetysza jest i zawsze była mitem. Myślą jeszcze o przeszłości jedwabnych koszul z okresu pierwszej wojny światowej, o niklowanych limuzynach z okresu drugiej wojny i z niewiarą potrząsają głową na myśl o kryzysie, który mógłby ich dosięgnąć w okresie gospodarki wojennej.

Jednak sprawy ich idą coraz gorzej w ten czy inny sposób. Spostrzegają, że małe sklepiki, które tysiącami stoją wzdłuż brzegów ulic każdego miasta, nie przynoszą im żadnych dochodów. W rzeczywistości nie udaje im się — w dość wysokim procencie — osiągnąć dostatecznych zysków, by dalej prowadzić interes.

Urzędnicy, lub dobrze płatni robotnicy, kupują na kredyt nowe samochody, aparaty telewizyjne, lodówki, lub nowomodny „gadget“ — aparat do klimatyzacji powietrza w mieszkaniu. Ale potem, kiedy nie mogą zapłacić podpisanych rat, tracą zadatki i kupione na kredyt artykuły. Te zakupy na kredyt osiągnęły astronomiczną cyfrę 26 miliardów dolarów — taki jest deficyt budżetowy klasy robotniczej w Stanach Zjednoczonych. Oto skąd się biorą miliony samochodów do kupienia okazjnie na rynkach samochodowych — są to samochody zwrócone przez pierwszego nabywcę.

Spadła również wartość nieruchomości, ponieważ tysiące ludzi spostrzegają, że chcąc stać się ich właścicielami, musieliby przestać jeść, jeżeli mają wywiązać się z bieżących zobowiązań płatniczych. Niezliczone rodziny doprowadzone są do ruiny na skutek częściowego bezrobocia, podatków, które zabierają 20 proc. ogólnej płacy, wysokich cen utrzymania. Następuje tragedia. Bezrobotny mechanik w Willows w Kalifornii podpalił las, by uzyskać 24 dolary za gaszenie ognia — dla siebie, swojej żony i trojga dzieci. W pożarze zginęło czternaście osób.

Ilość takich wypadków nie jest jeszcze wysoka, ale wzrasta. A z drugiej strony, jeżeli fetysz „konjunkturny wojennej“ zdaje się jeszcze żyć, otrzymał on już jednak śmiertelny cios. Kiedy już ostatecznie umrze i będzie uznany za umarłego, należy się spodziewać przemian w myślach i społecznych stosunkach u Amerykanów.



LIST z LONDYNU

GORDON SCHAFFER

DNIA 14 sierpnia 1953 r. Winston Churchill złożył oświadczenie z którego wynika że Anglia nie da się wciągnąć przez Li Syn-mana do wojny. W ten sposób Churchill oznajmił swój powrót do aktywnej działalności a deklaracja, którą złożył, odpowiadała życzeniom całego narodu.

Aby natrafić na tak jednomyślny protest w dziedzinie polityki zagranicznej, trzeba cofnąć się do lat trzydziestych i do odrzucenia planu Hoare-Laval.

Plan Hoare-Laval, który proponował poświęcenie Abisynii na rzecz Mussoliniego, został pogrzebany z chwilą odrzucenia go przez prawicę. Rząd torysów mógł wprawdzie oprzeć się naciskowi lewicy, lecz nie miał dość siły, by się sprzeciwić „Times’owi” i „Daily Telegraph”.

Z tego samego powodu musiał zrezygnować z poparcia dla Li Syn-mana i John Foster Dulles, zawartego w deklaracji, na mocy której 16

państw obiecywało rozszerzyć wojnę poza granice Korei w razie zerwania zawieszenia broni. I tutaj szeroki protest prasy wykazał, że cały naród nie zgadza się przystąpić do wojny, rozpętanej w taki sposób. Li Syn-man jest nienawidzony przez wszystkie odłamy opinii publicznej w Anglii. Politycy, zwłaszcza zaś przywódcy Labour Party, w dalszym ciągu powtarzają bajkę, jakoby ONZ przystąpiła do wojny koreańskiej po to, aby odeprzeć agresję, lecz nikt już w to nie wierzy. Sami przywódcy również w to nie wierzą, lecz zmuszeni są powtarzać to samo, gdyż w przeciwnym razie musieliby ponieść odpowiedzialność za miliony zabitych i za nieskończone cierpienia narodu koreańskiego. Już nigdy jednak nie oszukają narodu opowiadaniem, że Li Syn-man jest niewinną ofiarą agresji.

Kiedy narody spotkają się na konferencji politycznej w sprawie Korei wystąpią liczne problemy. W obecnej chwili jasne jest, że rząd angielski iść będzie możliwie jak najdalej za Stanami Zjednoczonymi, lecz pewne jest jedno: jeśli Ameryka dąży do wznowienia wojny, będzie ją musiała kontynuować

zupełnie sama. Żaden rząd angielski nie byłby w stanie utrzymać się, gdyby wplątał naród w wojnę przeciwko Chinom, popierając Fosterą Dullesa i Li Syn-mana. Winston Churchill zaakcentował swój powrót do kierownictwa sprawami zagranicznymi przez złożenie deklaracji, która najwyraźniej o tym mówi. Nie ma on zamiaru pozostawić Labour Party inicjatywy w dziedzinie polityki zagranicznej.

Gdy Churchill spowodował zmianę sytuacji w polityce międzynarodowej przez to, że zaproponował odbycie konferencji czterech mocarstw bez żadnych warunków wstępnych, spowodował również ewolucję w Labour Party.

Kilku ministrów byłego rządu labourzystowskiego gotowych było przyłączyć się do prawego skrzydła konserwatystów, aby przedstawić Churchilla jako szukającego „złagodzenia” stosunków z Rosją. Jednak większość deputowanych labourzystowskich obstawała przy argumentie, iż jeśli Partia Pracy będzie domagać się pokoju mniej donośnie, aniżeli konserwatywny premier, wejdzie na drogę klęski wyborczej.

Rezultat tej presji ujawnił się w przemówieniach, wygłoszonych przez przywódcę Labour Party Clementa Attlee w Izbie Gmin, przed odroczeniem jej posiedzeń z powodu letnich wakacji.

Przemówienia te wysunęły punkty następujące:

— Labour Party przeciwstawia się wszelkim usiłowaniom wciągnięcia zjednoczonych Niemiec do sojuszu zachodniego.

— odmawia przyłączenia się do wysiłków, zmierzających do zmiany granicy polsko-niemieckiej, na którą zgo-

dzili się sprzymierzeni w Jaltie i Poczdamie,

— popiera ideę, że narody domagają się zmniejszenia ciężaru zbrojeń,

— oraz, co jest może najdonioślejsze, wyraziła opinię, iż w Ameryce istnieje grupa, dążąca za wszelką cenę do wojny przeciwko komunizmowi, i to na skutek bardzo silnego wpływu „lobby” Czang Kai-szeka.

We wszystkich tych zagadnieniach Ruch Obrońców Pokoju nie wypowiadał się nigdy bardziej wyraźnie. Attlee wyparł się polityki, którą prowadził kierowany przez niego rząd labourzystowski. W ten sposób zadeklarował całkowitą opozycję przeciwko polityce Stanów Zjednoczonych w Europie i Azji.



Lecz nie tylko politycy domagają się nowej linii politycznej. Kilka najsilniejszych w Anglii towarzystw handlowych wywiera bardzo silny nacisk, aby odwołano amerykańskie embargo na angielski handel.

Brytyjska Rada dla popierania handlu międzynarodowego (British Council for the promotion of the International Trade) wysłała do Chin delegację, która wróciła z umowami przewidującymi wymianę towarów o wartości piętnastu milionów funtów. A co jeszcze ważniejsze, Chińczycy przyrzekli rozszerzyć wymianę handlową do 50 milionów funtów z chwilą zniesienia ograniczeń i dali do zrozumienia, że gdy przywrócony zostanie znowu normalny handel, przygotowują zamówienia, przewidujące zakup urządzeń hydroelektrycznych oraz innego wyposażenia, potrzebnego Chinom dla zrealizowania szerokiego programu uprzemysłowienia. Rząd konserwatywny nie mo-

że dopuścić do upadku „*Tube Investments Ltd*“, „*Austin Motors*“, „*Crompton Parkinson*“, które wysłały swych przedstawicieli do Pekinu, ani towarzystw żeglugowych, fabryk włókienniczych, wytwórni kabli, które na skutek amerykańskiego embargo tracą zamówienia radzieckie.



W ten sposób stajemy wobec paradoksalnej sytuacji, w której przywódcy Labour Party negują politykę jaką uprawiali, gdy byli w rządzie, dlatego, że konserwatywny premier wyprzedza ich, odwołując się do głębokiego pragnienia pokoju mas ludowych. Ludzie interesu domagają się wymiany handlowej z krajami budującymi socjalizm, podczas gdy przywódcy *Rady Głównej Kongresu Związków Zawodowych* (*General Council of the Trade Union Congress*) ogłaszają deklarację, popierającą amerykańskie embargo, a własny ich Kongres nawołuje jednocześnie do usunięcia barier, zakazujących handlu z tymi krajami.

Tymczasem porządek dzienny, przewidziany przez Kongres Związków Zawodowych i Konferencję Labour Party wykazuje, iż zorganizowani robotnicy, wysuwając żądanie pokoju i przyjaźni w stosunkach handlowych, idą o wiele dalej aniżeli ich przywódcy. W rzeczywistości rezolucje te przyjmują wszystkie propozycje Ruchu Obrońców Pokoju: rokowania między wielkimi mocarstwami — zaprzestanie remilitaryzacji Niemiec zachodnich — handel Wschód-Zachód — wycofanie wojsk amerykańskich z Wielkiej Brytanii — dopuszczenie Chin Ludowych do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ostatnio członkowie lewego skrzydła *Londyńskiego Towarzystwa Spółdzielczego*

(*London Cooperative Society*) — najsilniejszego w kraju — uchwalili rezolucję, domagającą się wywarcia presji na rząd w kierunku zapewnienia pokoju w Korei. Rada administracyjna tego Towarzystwa, która dotychczas zawsze popierała sojusz ze Stanami Zjednoczonymi, zreagowała poprawkę, domagającą się zwołania konferencji wielkich mocarstw i dopuszczenia Chin do Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz żądającą, aby *Międzynarodowa Unia Spółdzielcza* (*Alliance Cooperative Internationale*), która skupia spółdzielców ze Wschodu i Zachodu, wszczęła akcję, mającą na celu poparcie tych rezolucji.

Mamy więc oto konserwatystów, którzy prześcigają Labour Party i prawe skrzydło spółdzielców, które z kolei prześciga lewe skrzydło w celu narzucenia pokojowego rozwiązania problemów światowych. Rok, lub dwa lata temu, ci sami ludzie atakowali i prześladowali Ruch Obrońców Pokoju, nawołujący do prowadzenia polityki, którą oni obecnie popierają. Zaprawdę, fakty są uparte a ich logika stanowi przedziwną alchemię.



Najbardziej jednak ciekawym wydarzeniem był atak skierowany przeciwko Sir Vincent Tewsonowi, sekretarzowi generalnemu *Rady T.U.C. (Komitet Centralny Kongresu Związków Zawodowych)* na kongresie Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych w Sztokholmie. Dzienniki wydawane przez *C.I.O. (Congress of Industrial Organizations)* oraz przez *A.F.L. (American Federation of Labor)* pisały otwarcie, że Tewson pozbawiony został prezydentury *I.C.F.T.U. (International Congress of Free Trade Unions)*.

z tego powodu, że jak podawały, „jego polityka jest zbyt pobłażliwa w stosunku do komunizmu”.

„*Railway Review*”, organ Narodowej Unii Kolejarzy odpowiedział, cytując słowa R. A. Butlera, obecnego ministra skarbu: „w angielskiej koncepcji Organizacja Narodów Zjednoczonych stanowi rodzinę narodów, a nie sojusz antykomunistyczny”. Czasopismo dodaje: „My twierdzimy, że międzynarodowy ruch związkowy powinien stanowić rodzinę związków zawodowych, a nie sojusz antykomunistyczny. Nie rozumiemy w ten sposób Amerykanie, ci, którzy przez swą śmieszną i krzykliwą opozycję w Sztokholmie wypędzili Vincent Tewsona jak piraci”.

W rzeczywistości Vincent Tewson był jednym z najbardziej zdecydowanych obrońców sojuszu anglo-amerykańskiego. W 1951 r. napierał na Kongresie Związków Zawodowych, aby uchwalono rezolucję dostosowującą angielski ruch związkowy do Amerykańskiej Federacji Pracy (*American Federation of Labor*) w popieraniu chińskiej „lobby”. Jego współ-delegaci w I.C.F.T.U., Arthur Deakin, Lincoln Evans, T. O'Brien i T. Yates są przywódcami prawego skrzydła trade-unionów, które zwraca się przeciwko rosnącej woli nowej polityki pokoju, współpracy gospodarczej i przyjaźni. Yates, przywódca Związku Pracowników Morza popiera akcję Stanów Zjednoczonych przeprowadzania inspekcji na pokładach statków angielskich, gdy tymczasem konserwatywny rząd podnosi sprzeciw.

Oto są ci przywódcy, których amerykańscy przywódcy związkowi oskarżają o to, iż są „pobłażliwi dla komunizmu”.

Dziennik „Christian Science Monitor” z 17 czerwca pisał: „Zdegradowane zostało przemówienie, które mógłby był wygłosić prezydent Eisenhower, aby ostrzec świat przed znaczeniem, jakie mogłoby mieć dla cywilizacji zachodniej niewłaściwe użycie bomby wodorowej. Uzasadnieniem dla wygłoszenia takiego przemówienia byłaby próba obudzenia sumienia ludzkości w obliczu niebezpieczeństw, jakie kryje w sobie bomba wodorowa dla przyszłości, jeśli narody nie postawią zgodnie tej broni poza prawem. Jedna bomba wodorowa rzucona na wielkie miasto, zmiotłaby je i to nie tylko jego centrum, ale cały obszar. Miejsce gdzie znajdowało się miasto, przypominałoby wnętrze krateru wulkanu po wybuchu”.

Świat wie obecnie, iż Ameryka nie posiada monopolu bomby wodorowej.

Naród angielski wie, że wyspa jego przeznaczona została rozmyślnie na bazę atomową przez tych, którzy snują plany wojenne.

Ludzie, którzy połączyli Apel Sztokholmski w sprawie zakazu broni masowej zagłady dlatego, iż „był na rękę Rosji” uczyniły poddawać swoje rozmowy nie rewizji.

Pewność, że Anglia stałaby się niechybnie ofiarą, gdyby autorzy planów wojennych zwyciężyli, stanowi dominujący czynnik przemian dokonujących się w angielskiej opinii publicznej.

Nic nie jest w stanie ujawnić w sposób bardziej jaskrawy, w jakim stopniu Anglia odrzuciła politykę, która polega na wzmaganiu zimnej wojny.



Jeśli tę ewolucję Anglii rozpatruje się na tle klęski, jaką polityka zimnej wojny poniosła we Włoszech i Francji, łatwo zrozumieć, dlaczego grupa amerykańska, szukająca rozwiązań za pomocą siły, pokłada swoje nadzieje w Li Syn-manie, Czang Kai-szoku i Franco.

Z chwilą jednak, gdy polityka ta ukazuje się bez obłonek, traci ona swą ostatnią atrakcyjność dla narodów. Kampanie prasowe mogły oszukiwać miliony uczciwych ludzi w Anglii i skłonić ich do popierania wojny w Korei i paktu północno-atlantyckiego. Dziś jednak widzą oni już jasno.

Na przekór wszelkim barierom i wszelkiej propagandzie utorował sobie drogę Ruch Obrońców Pokoju ze swymi, tak prostymi propozycjami: pokój, rozwój międzynarodowej wymiany handlowej, przyjaźń, pokojowe współistnienie wszystkich systemów społecznych i gospodarczych.

W Anglii, podobnie jak w reszcie zachodniego świata, bitwa jest jeszcze daleką do wygrania. We własnej partii

Winstona Churchilla istnieje potężny odłam, ustosunkowany wrogo do jego pokojowej inicjatywy. Pokażna liczba tych, którzy proponują osłabienie napięcia zimnej wojny, zdecydowana jest wzmocnić gorącą wojnę na Malajach i w Kenii.

Labour Party i przywódcy związków zawodowych odpowiadają na przesłanie mas wygłaszając przemówienia, dotychczas jednak nie uczynili nic, aby zmobilizować klasę robotniczą do akcji na rzecz obrony pokoju. Jeszcze prześladują i usuwają członków Ruchu Obrońców Pokoju.

Prowokacja w rodzaju tej, jaką zorganizował w 1950 r. Li Syn-man i gen Mac Arthur w Korei, może jeszcze odnieść niejaki sukces. Większość narodu angielskiego nie zrozumiała jeszcze pierwszorzędnego znaczenia walki przeciw remilitaryzacji i odrodzeniu hitleryzmu w Niemczech zachodnich.

Lecz siły pokoju rosną i umacniają się, a wydarzenia przynoszą co dzień dowody na to, że Światowa Rada Pokoju postępowała słusznie, dążąc do zjednoczenia wszystkich części narodu w obronie pokoju. Oto istotna prawda, która tkwi poza wszelkimi występującymi sprzecznościami, przedstawionymi w tym liście





Gdy noc zapada NAD RZEKĄ PANDŹ

JULIUSZ FUCZIK

ILUSTR. HANS ERNI

PEWNEGO ranka na przeciwnym brzegu ukazali się mężczyzna i kobieta. Patrzyliśmy na nich przez lornetę.

Po tamtej stronie rozpościerała się pustynna równina Afganistanu. Błękitna mgła rozciągała ją w nieskończoność, nad nią wznosiły się szczyty Hindukuszu, nierealne, prawie fantastyczne.

Mężczyzna spuścił na wodę łódź ze skórzanych buklaków, usadowił w niej kobietę, po czym, oceniając odległość jednym rzutem wyćwiczonych oka, naciskając na długie wiosło, dał się unieść wartkiemu prądowi. Kierował się wprost na posterunek graniczny. Był to wytrawny przewoźnik. Zręcznie przybił do brzegu i wyskoczył na ziemię radziecką.

Zawsze czujny pies nastawił uszu i cicho zaskomlał. Komendant, którego oczy spoglądały na rzekę z bacz-

na uwagę, pomieszaną z odrobiną ciekawości, uspokoił go dotknięciem ręki, nie poruszywszy nawet głowę.

Inne jeszcze oczy śledziły za nieznanym gościem „stamtąd“. Może to wyczuł? Jego zdecydowane ruchy zawałały się; zostawił kobietę i począł iść naprzód ostrożnie, zatrzymując się co kilka kroków, jak gdyby obawiał się napaści, spodziewał pomocy, albo jak gdyby nie zastał tego, kogo oczekiwał. Przed sobą miał kilometr męczącej drogi po rozmięklej glinie i po kamieniach pokrywających łożysko Pandżu w lecie, gdy tażą śniegi Pamiru, a wąska i przejrzysta strużka rzeki zamienia się w zamulony strumień. Przestał rozglądać się wokół siebie, przyspieszył kroku i znikł poniżej wysokiego brzegu, podmytego przez przybór Pandżu. Nie mogliśmy go widzieć, ale wiedzieliśmy, że wdrapuje się na tę gliniastą ścianę, która obsuwa się, stawia opór i nie ustępuje łatwo.

W chwilę potem głowa jego wynurzyła się przed nami.

Potem wyciągnął ręce, wyprostował się i strząsnął ziemię z kaftana, z którego wystrzępionych łokci zwisały nitki bawełny.

Z cienia wynurzył się strażnik; mężczyzna położył dłoń na sercu i pokłonił się nisko.

Ponieważ nie miał koszuli, spod rozchyłonego kaftana ukazała się opalona na brązowo pierś. Zbliżyliśmy się.

„Emigrant?“ — spytał komendant, a strażnik — Tadżyk przetłumaczył to słowo długą i śpiewną przemową. Człowiek mlasnął głośno językiem i uczynił głową znak: nie!

Odczekał chwilę, lecz widząc, że komendant milczy, mimo malującego

się w jego wzroku pytania, sam rzucił się w wir wyjaśnień. Mówił z żywością, pokonując zmieszanie potokiem wymowy i często wskazując na brzeg, w dole, tam, gdzie wyciągnięta na kocu leżała jego żona.

— **On chce doktora** — powiedział strażnik.

— **Dla kobiety** — dodał, a komendant dał znak, że się zgadza.

Lekarz przybył na strażnicę dopiero późnym popołudniem. Wyszliśmy już na obchód i wróciliśmy przed wieczorem, gdy słońce zachodziło. Przybysze z Afganistanu byli już tylko ciemnym punkcikiem w dali, na drugim brzegu.

— **Co to było?** — spytał komendant, zdejmując zakurzone buty.

— **Kobieta... nie mogła mieć dzieci...**

— **No więc?**

— **Ano nic. Wszystko dobrze... drobna operacja. Nie zdążyła nawet piśnąć... Ale jak zwykle był skandal. On przywiózł dywan i za nic w świecie nie chciał go zabrać z powrotem. Siłą rzuciliśmy mu go na łódź, kiedy już odbił dość daleko od brzegu... zdaje się, że był tym zmartwiony.**

— **Tak było** — powiedział lakonicznie komendant, usiłując oczyścić kąciki oczu z lepkiego kurzu.

— **Zmartwił się... biedaczysko!**

NAD doliną Usz wznosi się góra Tacht-Sulejman, tron Salomona.

Na szczycie tej góry słońce oświeca wielką skałę, gładką jak lustro. Spójrzcie w to lustro. Ujrzycie w nim przeszłość odległą, a jednak niedawną, a straszniejszą niż legenda o smoku, który szałgał się z góry Tasz-Ata, leżącej naprzeciwko góry Tacht-Sulejman i pożarł całe wojsko Aleksandra Macedońskiego.



Tacht-Sulejman pochłonał więcej istnień, niż może sobie wyobrazić bard, opowiadający dawne legendy. Tacht-Sulejman pochłonał zdrowie ludów Środkowej Azji, a pożerał je przez całe wieki. Dla muzułmańskich mnichów było to zyskowne przedsiębiorstwo. Pielgrzymi i karawany rozniosły po dalekich krainach jego tragiczną sławę.

Widać ich w skalnym zwierciadle.

Przybywają z doliny Fergany i melancholijnie kołyszą się na grzbietach wielbłądów od Chiwy po Karsakpaj. Z Kirgizji przybywają konno, pośpieszając kłusem, od strony Pamiru orszak ich ciągnie się wzdłuż górskich perci i chybliwych kładek, przekraczają granice Sin-Kiangu, Indii, Afganistanu. Celem ich jest Tacht-Sulejman.

Wszyscy oni są chorzy. Wszyscy pragną ozdrowieć, a święci patronowie góry obiecują im zdrowie. W zamian za barana znikną bóle głowy, za trzy barany — wróćcie do domu pozbywszy się reumatyzmu, za wielbłąda ślepy odzyska wzrok. Wystarczy wsunąć głowę w szczelinę, po błogosławioną przez proroka Salomona, wystarczy stąpnąć w rozpadlinę, która przywróci wam zdrowie, wystarczy obmyć oczy kroplą wody, ściekającą po ścianach groty Salomona. Na tronie salomonowym są rozpadliny od wszystkich chorób. Od krzywicy, od syfilisu i od zwykłego zaparcia.

Ale najslawniejsze jest kamienne zwierciadło.

Leczy bezpłodność.

Młody prorok Salomon pomyślał o tym wielkim nieszczęściu ludów Środkowej Azji i złożył swe święte

nasienie w skalnym głazie, który przez wieki całe symbolizował jego męską krzepkość. Kobieta, która po trzykroć obeszała tę skałę na kolanach, może wrócić do domu pełna nadzici. Pozbędzie się bezpłodności, będzie miała dzieci.

Tysiące, dziesiątki tysięcy kobiet wygładziły swymi kolanami chropowatą skałę. Straciła ona swą szorstkość. Stała się jak lustro. W jej gładkim blasku odbija się groza bardzo niedawnej przeszłości, w której bandy muzułmańskich mnichów z Tacht-Sulejmana mnożyły się równie szybko, jak śmiertelne choroby Kirgizów, Kazachów, Uzbeków.

Dziś na Tacht-Sulejmana nie przychodzą już pielgrzymi, by leczyć się z chorób. Droga do zdrowia jest teraz krótsza. Pomiędzy Tacht-Sulejmanem a chorymi z Chiwy i Karsakpaj, z Kirgizji i doliny Fergany wyrosły dziesiątki tysięcy szpitali, w których żywi Salomonowie w białych fartuchach leczą bez cudownych kamieni i bez błogosławionych szczelin, nie gromadząc stad baranów i wielbłądów. Mają nad chorobą moc większą niż ją mieli nad zdrowiem mułowie z Tacht-Sulejmana. Powodująca ślepotę jaglica ucieka przed nimi z oczu ludzkich, syfilis ginie, a zdrowe kobiety wydają na świat zdrowe dzieci w bielutkich izbach porodowych.

Koniec z tobą Tronie Salomona! Sława twoja już nie powróci.



LECZ po tamtej stronie granicy ZSRR, w Afganistanie, nie było rewolucji, która wróciłaby ludziom zdrowie.

Można tam przejechać setki kilometrów nie znajdując lekarza, ani



szpitala. Większy tam jest urodzaj na syfilis, niż na bawełnę, jaglica zapuściła korzenie głęboko pod powieki ludzkie, a kobiety są bezpłodne. Cierpią wskutek zakaźnych chorób i niezdrowego dziedzictwa. Kapłani znają egzorcyzmy i wywary z ziół i nawozów, ale jak oni nie wyleczą — wówczas nie ma już żadnej nadziei.

Bo Tacht-Sulejman jest dziś bardziej niedostępny, niż najwyższy szczyt Hindukuszu. Na drodze doń, na granicy radzieckiej, stoją czerwone posterunki.

Złotodajne przedsiębiorstwo świętych lekarzy z góry Salomcna od dawna zamknęło swe podwoje, gdy grupa chorych z Afganistanu po raz pierwszy natknęła się na tę przeszkodę. Spodziewali się napotkać strażników. Za cara była także placówka graniczna, ale przechodziło się bez trudu. W razie schwytania oficerowie wyciągali od ludzi potężny okup, ale jeśli był on wystarczająco duży, przymykali oczy na reszcie karawany. Tamtych strażników pielgrzymi dobrze znali.

I oto nagle na granicy ukazali się ludzie zupełnie innego pokroju. Nie biją, lecz twarze ich stają się straszne, gdy im ofiarować barana lub dywan. Pielgrzymi przynieśli złoto — nic nie pomogło. Za nic w świecie strażnicy nie puściliby ich aż do Tacht - Sulejmana, a na dobិតkę, podważali ich wiarę w cudowne uzdrowienie.

Był w tej gromadce chorych Afgańczyków człowiek dotknięty wrzodem na rękę. Przejechał na osle trzysta kilometrów, by błagać Salomona o uzdrowienie. Teraz leżał w budynku strażnicy, a gorączka wciąż

rosła. Nad wieczorem jęczał już tylko, niezrozumiałe słowa rozdierały ciemność. Wokół niego stali milczący i nieruchomi Afgańczycy, rzucając na strażników pełne niewiasty spojrzenia, jakby obwiniali ich o tę agonię. Na strażnicy zrobiło się wszystkim smutno i nieswojo, niebezpiecznie nieswojo.

Komendant telefonował do sąsiednich strażnic prosząc o przysłanie lekarza. Ale było to w lecie i lekarze prowadzili szeroką kampanię przeciwko malarii, przenosząc się z miejsca na miejsce, konno, lub w rozklekotanych Fordach, które jechały po bezdrożach, naokoło pagórków, przez szuwały, ale nie odmawiały nigdy posłuszeństwa. Noc już była, gdy taki Ford z brzękiem żelastwa zatrzymał się przed strażnicą. Wysiadł z niego zaspany człowiek o zaczerwienionych oczach.

Zagotowano wody w samowarze i lekarz zabrał się do operacji

I to był początek.

Po badaniu lekarskim chorzy wracali do Afganistanu chowając za pachą flaszeczki z lekarstwami i pigułki. Wracali z dziwnym uczuciem wdzięczności i oburzenia. Bowiem ani lekarz, ani strażnicy nie przyjęli od nich podarków, a jeżeli znacie Wschód, to wiecie, że jest to tam straszliwą zniewagą.

Chorzy pielgrzymi przywozili z drogi do swych kiszłaków*) zdumiewające wieści. Opowiadali, że Tacht - Sulejman stracił czarodziejską moc i że po tamtej stronie rzeki Pandź mieszkają ludzie, którzy powrócili do życia umierającego Dze-

*) Kiszłak — wioska afgańska

laka i przywrócili wzrok na pół-ośleplemu Kasymowi. Na próżno mułłowie próbowali zwalczać te nowiny, na próżno grozili zemstą Allaha tym, którzy je szerzyli. Konny telegraf bez drutu rozsiewał je wzdłuż granicy i daleko w głąb kraju.

Coraz liczniej ukazywali się na drugim brzegu rzeki Pandź ludzie, którzy rzucali łodzie na wartką wodę i przebywali granicę nie kryjąc się przed radzieckimi strażnikami.

„Chcą doktora” — tłumaczyli tacy tłumacze i lekarze badali, dawali lekarstwa.

Niedawno przyjechał z prośbą o poradę lekarską gruby i tłusty sędzia z wioski afgańskiej. Towarzyszyła mu cała karawana, obłożona dywanami, złożonymi szkatułkami i naczyniami pełnymi cennych olejków. Skarżył się na żołądek, pokazywał język i z nietęgą miną obmacywał sobie piersi. Doktor zbadał go, opukał wskazane miejsca, ale nie znalazł żadnej choroby.

Odziany w strój afgański chory z urojenia gotował się już do drogi powrotnej, gdy nagle postanowił pokazać lekarzowi w zaufaniu niepokojące go miejsce. Badanie nie trwało długo. Syfilis był całkiem widoczny.

Strażnicy nie przyjęli ani dywanów, ani złożonych szkatulek, ani naczyń z drogimi olejkami, co nie przeszkodziło sędziemu pobierać po powrocie zwiększone podatki, pod pozorem, że leczenie „tam” kosztowało go bardzo drogo.

Mułłowie chcieli wykorzystać niezadowolenie, wywołane przez nałożenie nowego podatku, by zniweczyć wzrastający autorytet Związku Ra-

dzieckiego. Ale tysiące afgańskich fellahów wiedziały dobrze, że radzieccy strażnicy nie przyjmują podarków od biednych i choć czuli się tym dotknięci, choć było to przeciwne wszelkim zwyczajom, zaczęli słusznie oceniać tę zasadę.

Dziś chorzy przekraczają codziennie granicę Afganistanu. Odcinek obsługiwany przez lekarzy strażnic rozciąga się po obu brzegach rzeki Pandź.

„Naczelnny lekarz Kunduzu” — doktor, który nigdy nie widział Kunduzu na oczy, przedstawia się w ten sposób, wybuchając śmiechem.

— Jestem aptekarzem — mówi śmiejąc się komendant **— odliczam krople i odmierzam proszki według przepisu lekarza. Mogę z powodzeniem leczyć migrenę i ukąszenia skorpiona, czy nie ma pan ochoty zachorować?**

Nie mam na to najmniejszej ochoty. Spoglądam na tych opalonych ludzi w mundurach. Żartują, ale wiem, że są postrachem wszystkich, którzy próbują zmylić ich czujność na powierzonych im opiece granicach. I razem z nimi cieszę się widząc, jak zwyciężają w swych białych fartuchach, jak zamiast śmierci rozsypują dobroczynną chininę, zamiast śmiertelności ołowiu — rozsiewają życie.

Armia pokoju.

Jeżeli chcecie odczuć całą ludzką głębię tych słów, przeprawcie się przez Pandź, tak jak chorzy, którzy przychodzą tu szukać pomocy. (Ale nie liczcie na sielankę, jeśli będziecie się przeprawiać jako wrogowie).

Pielęgniarze znad granicy, pielęgniarze chorych Afgańczyków...

opisują ich takich, jakich widziałem.

Wśród żartów wróciliśmy do naszej rozmowy, było to wieczorem, gdy się ściemniało.



MOŻNA rozmawiać o wielu rzeczach o zmroku, w samotnej strażnicy nad rzeką Pandź. Tajemniczy pomruk przebiega nadbrzeżne zarośla. Dżungla. Nieśmiałe kłaczę schodzą z porośłych trawą wzgórz do rzeczego wodopoju. Wśród przysadzistych topoli i jaskrów z łomotem czołgu ucieka dzik. Dzikie gęsi budzą się wystraszone, wyfruwają z krzaków i zasypiają na nowo na środku rzeki, na kołyszącym je nurcie. Znam je. Wodziłem za nimi wzrokiem tam, na północy, w czasie przelotu ptaków, gdy wędrują na południe i gęgając drwią sobie z szykujących się do przezimowania ludzi. Pragnąłem wiedzieć, dokąd lecą te chmury dzikich gęsi, marzyłem o ich tajemniczym raju zimowym. A teraz jestem z nimi. Cel ich wędrówki — to Pandź. Tuz nad brzegiem śpią łagodne pelikany, w trawie przemyka się jaszczurka, wydając przerażone piski, których boją się inne stworzenia, chytry lampart przeży grzbiet, a gdzieś pośród sitowia świecą oczy tygrysa.

O tym wszystkim gawędzić można o zmroku w samotnej strażnicy nad rzeką Pandź. Można opowiadać prawdziwe historie, podobne do egzotycznych bajek, można wstrzymać oddech, by posłuchać zabawnej opowieści o niewinnej jaszczurce, której zląkł się zbyt ostrożny strażnik; równie dobrze jak z marsylskiej anegdotki można uśmieć się

z przygody młodziana, którego poniosł koń, a konia pożerał z tyłu tygrys. Można śmiać się z dżungli i bać się jej, wkrótce nie wiadomo już, gdzie kończy się prawda, a gdzie zaczyna się seria myśliwskich historyjek.

Można też rozmawiać o oczach ludzkich, które, gdy zmrok zapada, błyszczą w sitowiu nad brzegiem Pandżu. Można rozmawiać o służbie strażniczej, o szpiegach, którzy próbowali przedostać się przez granicę i których ujęto, o strażniku, który utonął, o ludziach, którzy niegdyś uciekli, a teraz tego żałują i wracają, bo „tam“ nie potrafią już dłużej żyć.

Można też wspominać wyprawy wojenne, walki z Zajcewem, bitwy z emirem Buchary w czasach, gdy puszką naładowana prochem, nazywała się granatem, a pusty wagon, osłonięty workami z bawełną, nazywał się pociągiem pancernym, można mówić o niezapomnianych dotąd bitwach przeciwko basmaczom, o spotkaniu z Ibrahim - Bejem, o końcu Szuran - Beja. A wtedy nie ma końca prawdzie, i nie ma mowy o serii myśliwskich anegdot, bo Order Czerwonego Sztandaru, lub Order Lenina na piersi opowiadających dowodzi autentyczności ich opowieści.

Lecz tego wieczora nie mówiliśmy ani o dżungli, ani o szpiegach, ani o basmaczach. Rozmawialiśmy o mężczyznach i kobietach, którzy ukazali się byli rano na tamtym brzegu i przeprawili się przez Pandź, by szukać zdrowia u strażników, ubranych w białe fartuchy aptekarzy i lekarzy.



NOTATNIK RYSOWNIKA

PAUL HOGARTH

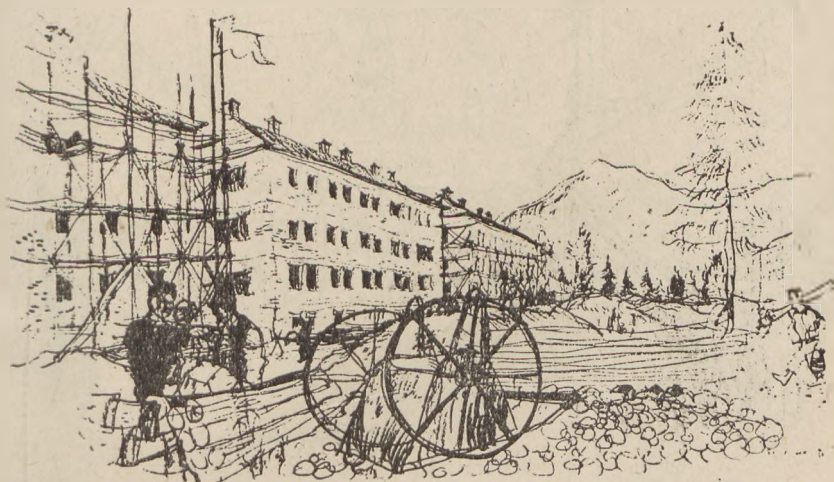
Paul Hogarth powrócił z Czechosłowacji. Jego notatnik — strona po stronie — ujawnia nam swe bogactwa. Oto Praga i jej parki i fabryki, dzwonnica i spokojne wody rzeki Wełtawy, stare miasto ze znaną katedrą św. Wita. Oto miasta i miasteczka Czech i Słowacji, starej i nowej Czechosłowacji.



*Praga — starodawny plac z Ratuszem,
a w głębi katedra św. Mikołaja.*



Marcin — miasteczko w Słowacji, które przekształca się w przemysłowe miasto z wygodnymi nowymi domami mieszkalnymi i fabryka, w której pracuje Antonin Kytca, inicjator ruchu współzawodnictwa pracy.





Chłopka ze Słowacji

Jeden z najcenniejszych zabytków historycznych Czechosłowacji: Tabor, słynny dzięki swym budowlom z XV w.





Kontynent amerykański a niepodległość narodów

MARIA ROSA OLIVER

Odnaczona Złotym Medalem Światowej Rady Pokoju.

JEŻELI istnieją narody, które przez pamięć na swą historię i przez wierność dla początków swego powstania popierają walkę ludów kolonialnych o wyzwolenie, to na pewno narody kontynentu amerykańskiego.

Wszystkie kraje Ameryki z wyjątkiem Kanady musiały zaciekle walczyć o niepodległość. Echa tej walki bynajmniej nie są bardzo odległe. Zaledwie dwa wieki upłynęły od jej wybuchu, tak, że nie mogliśmy zapomnieć nawet najdrobniejszego szczegółu.

Na całym kontynencie przyczyny powstania były takie same — warunki życia, narzucone mieszkańcom obu Ameryk, uginającym się pod ciężarami świadczeń i podatków. Niezadowolenie dało się odczuć na sto lat przedtem, zanim uświadomiliśmy sobie, że tylko zdobycie niepodległości może polepszyć naszą egzystencję.

W 1700 r. dwa tysiące metysów za-protestowało przeciw uciskowi i chwy-

cilo za broń w Cochabamba (Wyżyna Peru), w 1717 r. — w Paragwaju przeciw monopolowi herba mate, w 1733 r. — w Bogocie kreolowie wystąpili przeciw „Kompanii Guipuzcoana“, która chciała zmonopolizować wszystkie produkty kraju. W 1761 r. mieszkańcy Bostonu zaprotestowali przeciw podatkowi, którymi uciskała ich Wielka Brytania. Konflikt ten, wznowiony został zresztą w 1765 r. W tymże roku kreolowie w Quinto powstałi przeciw podatkowi od sprzedaży, w 1781 r. z tych samych powodów wybuchł wielki bunt powszechny w meksykańskiej Nowej Grenadzie.

Tę falę protestów można ująć w jednym zdaniu: „Hiszpanie nie dopuszczają nas do współudziału w rządach i wywożą wszystkie nasze bogactwa do Hiszpanii“.

Tymczasem w Rio de La Plata niezadowolone hodowców i kupców — „dzieci kraju“ — rosło z każdym

dniem na skutek trudności, jakie piętrzyła metropolia w ich handlu z zagranicą.

Jednakże w owym czasie było jeszcze niezmiernie mało ludzi, którzy by — mimo swego wielkiego niezadowolenia — mieli koncepcję całkowitej niepodległości; biedacy — olbrzymia większość — przez nieświadomość, inni — z obawy przed skutkami rewolucji.

Ale któregoś dnia, chcąc ratować „Kompanię Indyjską“ przed natychmiastowym bankructwem, korona brytyjska odstąpiła jej monopol sprzedaży herbaty w swych amerykańskich koloniach. Była to kropka, która przepełniła puchar. Kupcy z Nowej Anglii, popierający w owym czasie rząd brytyjski, wystąpili przeciw Kompanii i przyłączyli się do wszystkich niezadowolonych. „Losy są rzucone — pisał król Jerzy III do lorda Northa — kolonie angielskie albo zwyciężą, albo się poddadzą“. Kolonie angielskie zwyciężyły i w 1776 r. ogłosiły swoją niepodległość.



Wyzwolenie kolonii brytyjskich odbiło się silnymi echem w umysłach wielu mieszkańców Ameryki Łacińskiej, szczególnie tych, którzy mimo narzuconej przez Hiszpanów cenzury na pisma encyklopedystów, mieli w swoich bibliotekach prace Voltaire'a i Rousseau, a co więcej Adama Smitha o wolności handlu. Treść tych książek zbie-

gała się z interesami kreolów, którzy — nie korzystając w najmniejszej mierze ze stosowanego przez metropolię monopolu — domagali się prawa sprzedaży owoców swego kraju, komu im się podoba.

Na początku XIX wieku car Aleksander II radził swemu możnemu sprzymierzeńcowi w koalicji przeciw Napoleonowi, Anglii, aby strzegła się ruszać południowych kolonii hiszpańskich. Mówił to na wypadek, gdyby król angielski zechciał wziąć sobie odszkodowanie za kolonie, stracone przed trzydziestu laty. Ta podstępna ostrożność potrzebna była po to, by zachować innego potężnego sojusznika — króla Hiszpanii.

Ale mimo tego ostrzeżenia Anglicy dwukrotnie lądowali na wybrzeżu La Plata, usiłując zająć Buenos Aires i stworzyć sobie nowe rynki zbytu. Dwukrotnie też zostali pokonani przez zebrańce na przędcę oddziały ludowe.

W tym samym 1807 r. ludność tamtejsza zdobyła pełną świadomość swej siły, bijąc Anglików po raz trzeci. Patrioci Ameryki Łacińskiej porozumieli się między sobą za pośrednictwem tajnych stowarzyszeń, a kiedy do Ameryki dotarły wiadomości o napaści wojsk Napoleona na Hiszpanię i o wzięciu do niewoli króla Ferdynanda VII, zażądali przyznania im junt i „cabildos“ (rad miejskich), to znaczy tych organów, które by stały się zaczątkiem autonomicznego rządu.

10 kwietnia 1810 r. ludność otrzymała swoje „cabildo“ w Wenezueli, 25 maja — w Buenos Aires, 20 lipca — w Bogocie. W tym samym roku, w Meksyku, ksiądz Hidalgo zbuntował

się i oskarżył Hiszpanów o chęć oddania jego kraju Francuzom.

Ale dla uzyskania pełnej niepodległości tych krajów trzeba było przede wszystkim wyswobodzić Peru, ognisko zwolenników korony hiszpańskiej, otoczone silnymi oddziałami nieprzyjacielskimi. Na północy Bolivar z Sucrem u boku, a na południu San Martin z pomocą O'Higginsa, nie licząc się z granicami wicekrólestwa, ruszają do walki z wojskami, sprzeciwiającymi się wyzwoleniu i przebywającymi w wysokich Kordyliery, rwące rzeki i dziewicze puszcze.



Podczas gdy wyzwolenicze oddziały w Ameryce znajdującej się pod hiszpańskim jarzmem, toczą nierówne boje, w Europie Święte Przymierze stara się umocnić absolutną władzę monarchów i przeciwdziałać ruchom ludowym. Święte Przymierze organizuje co raz to nowe kongresy, poświęcone badaniu sytuacji międzynarodowej i przygotowywaniu zbrojnej interwencji w krajach, gdzie absolutny reżim znajduje się w niebezpieczeństwie i gdzie obala się prawowitych władców.

W 1814 r. z aprobatą Napoleona Ferdynand VII powraca na tron Hiszpanii. W Ameryce fakt ten dodaje otuchy monarchistom, którzy w wielu miejscach dławią powstanie. Pod koniec 1815 r. Hiszpanie zwyciężają wszędzie z wyjątkiem Argentyny.

W tym czasie wszystkie rządy europejskie starają się uregulować konflikt między Hiszpanią a jej koloniami, ale każdy w sposób, który mu najbardziej odpowiada. Stany Zjednoczone ze swej strony zachowują najściślejszą neutralność.

W sześć lat potem Hiszpania pod absolutnymi rządami Ferdynanda VII ekwipuje 20 tysięcy żołnierzy z zamiarem wysłania ich do Ameryki dla zdławienia powstania, które znowu zwycięża w hiszpańskich koloniach. Cała Europa z wyjątkiem Anglii przychylnie przyjmuje ten projekt.

Wojska hiszpańskie nie zdążyły jeszcze opuścić ojczystych brzegów, kiedy dzielny oficer Riego, który bronił Hiszpanii w czasie inwazji napoleońskiej, powstaje przeciw absolutnej władzy króla Ferdynanda. Przywrócona zostaje wówczas liberalna konstytucja i wojska hiszpańskie pozostają w kraju. Dzięki powstaniu Riega Ameryka uniknęła dziesięciu lat wojny.

Prezydent Stanów Zjednoczonych James Monroe, widząc jak Europa, a w szczególności jego rywalka w dziedzinie handlu — Anglia, której rzecznikiem jest George Canning, interesuje się z każdym dniem bardziej losami terytoriów, o które toczy się walka na południu kontynentu między Hiszpanami a kreolami, zwraca się w 1822 r. z orędziem do Kongresu: „Jeżeli weźmiemy pod uwagę długi czas trwania tej wojny, całkowite zwycięstwo prowincji, obecną sytuację różnych obywateli i niezręczność hiszpańskich konszachtów, zmuszeni jesteśmy wyciągnąć stąd wniosek, że losy zostały rzucone i że należy uznać prowincje, które ogłosiły swą niepodległość i które

nią się cieszą". Nazajutrz po odczytaniu oświadczenia Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił uznanie niepodległości tych krajów.

Jednak zwycięstwo, o którym wspominał Monroe, nie było całkowite. Ostateczne zwycięstwo osiągnięto w 1824 r., kiedy generał Sucre pokonał Hiszpanów w bitwie pod Ayacucho.



Kiedy czytamy gazety europejskie z tamtych czasów i oficjalne wypowiedzi w związku z walką wyzwolenczą kolonii hiszpańskich, można znaleźć liczne podobieństwa z tym, co dzisiaj czytamy w tak zwanej „wolnej prasie“, jak również z poglądami głównych rzeźników „europejskiej wspólnoty obronnej“.

Tak więc w 1804 r. najbardziej postępowy odłam brytyjskiej burżuazji domagał się — broniąc swoich interesów handlowych — udzielenia pomocy koloniom hiszpańskim w ich walce o niepodległość. Lord Coldcleagh wysłał w tym czasie notatkę, mającą na celu „ostrzec parlament i opinię publiczną przed tego rodzaju próbami na tak rozległych i dalekich obszarach, gdzie nie się nie da uzyskać, jeżeli nie będzie się ubiegać o zjednanie sobie w pierwszym rzędzie przychylności mieszkańców“.

Jak widać, lord Coldcleagh złożył dowód rozsądku, którego całkowicie brak dzisiaj senatorom i generalom, domagającym się w Waszyngtonie zagar-

nięcia „dalekich i rozległych obszarów Chin, mimo że naród chiński nie żywi wobec nich żadnych wrogich uczuć. Ale jakkolwiek lord Coldcleagh sprzeciwiał się interwencji, był on konserwatystą. Świadczy o tym drugi ustęp jego pisma: „Interwencja byłaby nawet szkodliwa. Trzeba by rozwiązać istniejące rządy i wywołać powstania. Postużyłoby to jedynie do rozpowszechnienia teorii jakobińskich i demokratycznych, a wreszcie powstańcy zajęliby miejsce rządów hiszpańskich“. Lord Coldcleagh zupełnie jak wielu polityków „świata zachodniego“ najbardziej obawiał się ustroju politycznego, jaki wyzwolone narody mogłyby sobie wybrać.

Gdyby przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i krajów Ameryki Łacińskiej w ONZ czerpali doświadczenie z historii, kiedy chodzi o decydowanie o losie obecnych kolonii w Azji i w Afryce, przypomnieliby sobie, że kiedy nasze kraje wywalczyły sobie niepodległość, wybrały sobie ustrój, który im najbardziej odpowiadał, a nie ten, który chciało im narzucić Święte Przymierze. I że mimo wszystko zwyciężyły.

W maju 1809 r., kiedy grupa, reprezentująca kreolów, domagała się u Cisnerosa, wicekróla Rio de La Plata pozwolenia na utworzenie „cabildo“, ten odpowiedział...: „oficerowie, którzy zaprzysięgli mi wierność, nie pozwolą, aby kilku nieświadomych i zbuntowanych, którzy sami siebie nazywają narodem, obalało fundamentalne podstawy monarchii wicekrólestwa“.

Czy mówi to Czang Kai-szek, czy też Li Syn-man? Nie, jakkolwiek myśl jest ta sama, forma — odmienna. Ale ci, którzy gotowi są popierać am-

bicje jednego z tych przywódców, do-
brze robią, przypominając sobie, że
ci „nieświadomi“ i „zbuntowani“, o
których mówił wicekról, wywalczyli po-
tem ostatecznie wolność dla połowy
kontynentu.



Jednak pamięć obu Ameryk nie mo-
że zasilać się tymi samymi wspomnie-
niami. Wydarzenia, które zaszły po wy-
walczeniu niepodległości, pchnęły każ-
dy naród na inne tory i spowodowały,
że w pewnej mierze Ameryka Łacińska
czuje się jeszcze w pewnej mierze czę-
ścią świata kolonialnego.

Zaledwie w rok po wysunięciu w
Kongresie Stanów Zjednoczonych żą-
dania, by uznał niepodległość hiszpań-
skich „prowincji“, prezydent Monroe
wydał mowę oświadczenie, które wysu-
wało „jako zasadę, ściśle związaną z
prawami i interesami Stanów Zjedno-
czonych, że amerykańskie kontynenty
— ze względu na wolność i niepodle-
głość, którą się cieszą — nie mogą być
uwazane w przyszłości za teren kolo-
nizacji dla mocarstw europejskich“.

To oświadczenie Monroe wywołało
zupełnie usprawiedliwioną nieufność.
Gdyby powiedział, że „kontynentów
amerykańskich nie wolno uważać za
teren przyszłej kolonizacji, *jakiegokol-
wiek* kolonizacji“, narody pozostałych
części Ameryki poparłyby jego doktry-
nę, czego nigdy nie uczyniły, i same
Stany Zjednoczone, mimo swojego za-
interesowania dla zdobyczy kolonial-

nych na tym kontynencie, nie uznały-
by się za uprawnione do przywłasz-
czania sobie nowych państw, do opa-
nowania podług swego upodobania
Kuby i zagarnięcia Panamy czy Ko-
lumbii.

Wyprana z wszelkiej wartości mo-
ralnej, z wszelkiego ogólniejszego zna-
czenia doktryna Monroe, która na-
stępnie zacieśniła się do hasła: „*Ame-
ryka dla Amerykanów*“, brzmi jak
smutna ironia wobec innych narodów
amerykańskiego kontynentu poza na-
rodem amerykańskim w Stanach Zje-
dnoczonych. Ironia ta nabiera szcze-
gółnej ostrości w obecnej chwili, kiedy
wiadomo, że reszta świata przywykła
nazywać krótko „Amerykanami“ tylko
ludność Stanów Zjednoczonych.

Natomiast dla ludzi, kierujących dzi-
siaj losami Stanów Zjednoczonych, do-
ktryna Monroe może — w odniesie-
niu do krajów Ameryki Łacińskiej —
usprawiedliwić panowanie i nacisk eko-
nomiczny, stawianie przeszkód na dro-
dze do nawiązania stosunków handlo-
wych z innymi narodami; zamachy sta-
nu przeciw wybrany przez narody
rządom, jeżeli nie są całkowicie posłu-
szne rozkazom rządu Stanów Zjedno-
czonych, popieranie niepopularnych
rządów, jeżeli biorą pod uwagę rozka-
zy amerykańskich konsorcjów, wreszcie
narzucanie paktów wojskowych, ma-
jących na celu „obronę“ kontynentu,
którego nikt nie atakuje i atakować nie
zamierza.

Te doświadczenia zbyt blisko obcho-
dzą nas, narody Ameryki Łacińskiej,
abyśmy mimo wszystko, co może po-
wiedzieć „Associated Press“, czy „Uni-
ted Press“, dali się oszukiwać piękny-
mi frazesami, głoszonymi przez Tru-
mana i Eisenhowera m. in. po to, by

nie dopuścić do uznania Chińskiej Republiki Ludowej i do przyjęcia jej do ONZ.

Wszystkie bez wyjątku narody krajów Ameryki Łacińskiej uważają, że rzeczą sprawiedliwą i logiczną byłoby uznanie Chin i utrzymywanie z nimi wymiany handlowej i kulturalnej. Związane z Waszyngtonem nie tylko układami i paktami, ale i zależnością gospodarczą rządy nie ośmielają się uczynić pierwszego kroku, który by je pogodził z tradycjami ich narodów, z ich szczęściem, z suwerennością narodową.

Stany Zjednoczone, kraj suwerenny, zrodzony z powszechnych i szlachetnych zasad, winny obecnie przypomnieć sobie o początkach powstania, które pozwoliło im uzyskać niepodległość. Ich naród, którego każdy obywatel z osobna wzięty dąży do tego, by „dać szansę“ wszystkim swym rodakom, powinien wiedzieć, że rząd amerykański jest w trakcie wznawiania błędów, popełnionego niegdyś przez Anglię, kiedy odstąpiła monopol herbaty w swych amerykańskich koloniach „Kompanii Indyjskiej“.

Naród amerykański winien wiedzieć, że konsorcja i trusty, o wiele potężniejsze niż stara „Kompania Indyjska“ rządzą dzisiaj polityką ich kraju i kontrolują wszystkie środki informacji. Te

monopole mogą wciągnąć go w nową wojnę, jeżeli uznają, że jest to sposób utrzymania ich pierwszeństwa na pewnych rynkach i w odniesieniu do pewnych źródeł surowców.

Ale te kolonie, te narody, które jeszcze nie przeszły ewolucji w swoim stosunku do metropolii, mają także swego Jerzego Waszyngtona. Uważają się za zdolne do samodzielnego rządzenia się i do życia w dobrobycie. Uważają, że one także mają prawo przekształcić się w samodzielne narody.

Narody krajów Ameryki Łacińskiej winny nadal pozostawać wierne swojej tradycyjnej polityce międzynarodowej, głoszącej, że konflikty należy rozwiązywać drogą rokowań, a nie przy użyciu siły. Ale ponieważ siła występuje nie tylko w postaci akcji zbrojnej, ale także w formie presji gospodarczej, narody krajów Ameryki Łacińskiej nie mogą walczyć o pokój, nie walcząc jednocześnie o swą niezależność gospodarczą. Dopóki pozostawać będą na łasce zagranicznego kapitału, dopóty ich polityczna suwerenność pozostanie martwą literą i będzie narażona na różne zamachy.

Przed sto laty wielki Benito Juarez powiedział: „Zarówno między jednostkami, jak i między narodami poszanowanie prawa drugiej strony nazywa się *Pokojem*“.



WSIEWOŁOD PUDOWKIN

wielki artysta i człowiek

MIĘDZY Moskwą a Wołgą, nad rzeką Sura leży miasto Penza. W 1889 roku wydało ono na świat jednego ze swych najsłynniejszych aktorów filmu niemego — Iwana Możuchina; 16 lutego 1893 r. urodził się w tym mieście Wsiewołod. I. Pudowkin, jeden z największych twórców filmu.

W 1898 r. rodzina młodego Wsiewołoda przenosi się na stałe do Moskwy. Chłopiec uczęszcza do tamtejszego uniwersytetu i mając 21 lat kończy wydział przyrodniczy.

W 1915 r. Pudowkin wstępuje do wojska. Wkrótce dostaje się do niewoli. Wykorzystuje ten okres przymusowej bezczynności ucząc się pięciu języków, w tym niemieckiego, co ułatwia mu ucieczkę. Powraca do Rosji z chwilą wybuchu Rewolucji Październikowej.

Przez jakiś czas Pudowkin pracuje w zawodzie inżyniera-chemika, później muzyka. Wreszcie zaczyna występować jako aktor-amator. Pierwszą jego rolą, to rola oficera Armii Czerwonej w filmie „Dni walki” (1920). Wyświetlany w tym czasie w Piotrogradzie i w Moskwie amerykański film D. W. Griffitha „Nietolerancja” wzbudza w Pudowkinie i w wielu przyszłych filmowcach rosyjskich — zdecydowane powołanie.

W rok potem Pudowkin bierze udział jako aktor i asystent w filmie „Sierp i Młot”, a następnie występuje już jako współpracownik Gardina, nakręcając z nim wstrząsający film dokumentarny „Głód! Głód! Głód!”, znany również pod nazwą „Głód w Rosji”. W tym samym czasie wchodzi na ekrany film „Ślusarz i Kanclerz”, nad scenariuszem i realizacją którego Pudowkin pracuje razem ze słynną reżyserką filmową — Olgą Preobrażeńską.

W 1922 r. przechodzi do „Pracowni doświadczalnej” prowadzonej przez Lwa Kuleszowa, wybitnego teoretyka i badacza filmu radzieckiego — gdzie pracuje jako asystent i dekorator w czasie nagrywania komedii satyrycznej „Mister West w kraju bolszewików” (1925). W filmie naukowym Kuleszowa pt. „Promień śmierci”, ośnuty na tle książki Aleksandra Tołstoja (1925) — Pudowkin znów bierze czynny udział w opracowaniu scenariusza, w przygotowaniu dekoracji i reżyserowaniu filmu. Pudowkin — podobnie jak jego mistrz — był wyznawcą teorii postępowych. Uważał, iż zarówno on sam, jak i wykonawcy jego filmów powinni być „Żywym przykładem”.

W tym okresie doskonalili się w sztuce tworzenia i montowania filmów

FRED GARHIAT

Rezultatem jego pracy jest wspianiała komedia „Gorączka szachów“ (1925 r.), którą opracował wraz z Czipkowskim. Film ten, który po raz pierwszy wyświetlano niedawno w Europie zachodniej, jest jedną z najzabawniejszych komedii świata. W Moskwie odbywa się międzynarodowy turniej szachistów. Mistrz kubański gra w tym filmie swoją własną rolę. Szaleństwo gry ogarnia wszystkich mieszkańców miasta. Następuje cały szereg prze-zabawnych wypadków, które pokazują, jak gorączka gry w szachy doprowadza do zerwania między zakochaną parą. Młodzi odzyskują swe szczęście z chwilą, gdy kobieta również zostaje ogarnięta pasją gry. Operatorem Pudowkina w tym filmie był znakomity technik Gołownia — mistrz światła i fotografii, który pracował ze znakomitą reżyserem aż do 1950 roku.

W 1925 r. Pudowkin nareszcie puszcza się sam na szerokie wody. Wykorzystując swą wiedzę przyrodniczą, opracowuje doskonały popularyzatorski film dokumentalny pt. „Mechanizm mózgu“. Sam Pawłow, członek Akademii, dopomagał mu w tym filmie, który wykazał jasno prawo odruchów warunkowych u dzieci i zwie-



rzat. Film został przyjęty i szeroko rozpowszechniony we wszystkich uniwersytetach, a zwłaszcza w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

W 1926 r. Pudowkin rozpoczyna serię wielkich filmów na temat budzenia się u prostych ludzi świadomości rewolucyjnej.

W filmie „Matka“, opracowanym według książki Maksyma Gorkiego, ukazuje się w pełni wielki artyzm Pudowkina, u którego sprawa montażu nabiera równocześnie wartości psychicznej. Sceny końcowe, przedstawiające pochód rewolucji i pękanie lodów, na których widać wpływ „Drogi na Wschód“ D. W. Griffitha (1920 r.), są wprost niezapomniane. Postać matki odtworzyła we wzruszający sposób Baranowska, podczas gdy Pawłem był Batałow,

przyszły bohater „Drogi życia“. Sam Pudowkin grał rolę carskiego oficera.

W „Końcu Petersburga“ (1927 r.) występowali ci sami aktorzy z Pudowkinem w roli żołnierza niemieckiego. Kulminacyjnym punktem tego wspańniętego filmu są sceny w okopach z podtytułami: „Dla kogo się bijemy?“ Sceny te są przeplatane debatami kapitalistów, którzy omawiają transakcje giełdowe. Tematem filmu jest zbudzenie się świadomości u chłopą, który rozumie braterstwo proletariatu. Satyryczne podejście Pudowkina objawia się w podtytułach „Chwała Ojczyźnie“, dotyczących scen wypowiedzenia wojny.

W „Burzy nad Azją“ („Potomek Dżyngis-Chana“ — 1928 r.) — do której scenariusz napisał Osip Bryk, przyjaciel poety Majakowskiego — zabłysnął talentem wybitny aktor Inkidzinow. Ten rewolucyjny film, pełen dynamizmu i satyry, zawierający oryginalne opisy rytuału buddyjskiego, czyni niezapomniane wrażenie. Zwłaszcza wspaniała jest scena końcowa przedstawiająca burzę, która unosząc stos puszek od konserw i zeschnięte liście wypędza imperialistów z Azji.

Tego samego roku Pudowkin gra rolę bogatego mieszczanina francuskiego z okresu Komuny Paryskiej w sztuce Koźnicewa i Trauberga pt. „Nowy Babilon“. Następnie wystąpił w Niemczech odtwarzając jedną z głównych ról w „Żywym trupie“ Ozeпа według powieści Tołstoja (1929 r.).

„Zwykłym zdarzeniem“ rozpoczyna szereg filmów eksperymentalnych w 1929 r. na temat „kontrapunktu

słuchowo - wzrokowego“. Występowała tam np. „kobieta odprowadzająca swego męża na dworzec. Kobieta obawia się, że pociąg nie pojedzie. Słychać gwizd i widać ruch lokomotywy. Widać jak obracają się koła wagonów — a jednak pociąg stoi w miejscu. Obraz ten ma wyrażać obawy kobiety, nie zaś rzeczywistość“ (Arnheim). W 1933 r. Pudowkin gra rolę tragarza w filmie „Dezertier“, którego akcja toczy się wśród dozorów Hamburga. Na pewien okres porzuca reżyserię i obejmuje wykłady w Państwowym Instytucie Filmowym. Wykłady te prowadzi przez kilka lat, starając się — jak sam to określił — „jak najlepiej uczyć tych, którzy przychodzą po to, aby korzystać zarówno z naszych błędów jak i osiągnięć. Czyli mówiąc wyraźniej mamy dzielić się naszymi doświadczeniami i wiadomościami. Mniej bowiem może znaczą same dzieła, aniżeli wnioski i nauki z nich wyciągnięte“.

W 1936 r. Pudowkin tworzy „Zwyczajstwo“, na temat lotnictwa radzieckiego. W trzy lata później — pod wpływem reminiscencji wielkiej bitwy na lodzie z filmu „Aleksander Newski“ Eisenszteina (1938 r.) — powstaje nowy film Pudowkina „Minin i Pożarski“. Jednym z piękniejszych epizodów tego filmu jest wspaniała bitwa, w której bierze udział husaria polska. Szapozin skomponował do niego muzykę i chóry. Dzieło to otrzymało Nagrodę Stalina.

W 1940 r. znakomity reżyser współpracując ze specjalistką montażu filmowego Esterą Szub, złożył hołd „20-leciu filmu radzieckiego“, będącego filmem dokumentarnym, zawie-

rającym również niektóre części inscenizowane. W rok później wspaniały historyczny film Pudowkina „Suworow” z udziałem znakomitego aktora Czerkasowa uzyskał znowu nagrodę Stalina. Tego samego roku (1941 r.) Pudowkin reżyseruje „Fejstyn w Żirmunce” według utworu Leonida Leonowa. Był to film krótkometrażowy, włączony do 6-go numeru aktualności wojennych. Następnie adaptuje serię nowel Berta Brechta do filmu „Ucieczka morderców”, nakręcanego w Alma-Ata w Kazachstanie (1942 r.). Film ten nigdy nie został eksploatowany. Wątek tematyczny do filmu „W imię Ojczyzny” (1943 r.) Pudowkin zaczerpnął ze sztuki Konstantego Simonowa „Ludzie rosyjscy”. Za realizację tego dzieła otrzymał on Order Czerwonego Sztandaru Pracy.

W tym samym czasie Eisensztein tworzy „Iwana Groźnego”. Pudowkin odtworza tam po mistrzowsku krótką, epizodyczną rolę Mikołaja „Wielkiego Prostaka” (1945 r.).

W 1947 r. znakomity reżyser powraca do filmu historycznego. Wówczas powstaje jego „Admirał Nachimow”, w którym aktor Dykij (odgrywający później rolę Józefa Stalina w „Bitwie pod Stalingradem”) i sam Pudowkin (w roli księcia Mieńszikowa) występują w pamiętnej bitwie podczas nawałnicy morskiej. Film ten został wielokrotnie nagrodzony w Związku Radzieckim, a także na festiwalach w Locarno i w Wenecji. Nazwisko Pudowkina zabłysło jeszcze w rodzajowym filmie „Trzy spotkania”, przypominającym film radziecki pt. „Najpiękniejsze lata naszego życia”. Tematem „Trzech spot-

kań” jest powrót żołnierzy po skończonej wojnie do domu.

W 1950 r. tworzy biograficzny film z życia pioniera aeronautyki pt. „Żukowski”. Jest to pierwszy film kolorowy nakręcony przez Pudowkina.

Od początku istnienia Komitetu Obrońców Pokoju Pudowkin jest aktywnym członkiem w jego kierownictwie. Wysoka postać znakomitego reżysera i „diabelski” uśmiech stają się znane wszystkim na Kongresach Wrocławia, Budapesztu i Wiednia. Pudowkin jest też uczestnikiem zebrań i festiwalów filmowych w Peryz, w Cannes i w Bombaju.

Na wiosnę 1952 r. — widząc pewnego rodzaju sztuczność i mało dydaktyczny schematyzm niektórych scenariuszów radzieckich — Pudowkin wraz ze swoim przyjacielem pisarzem Konstantym Simonowem zaczyna się wypowiadać w szeregu artykułów na łamach „Litieraturnoj Gaziety”, „Prawdy”, „Izwestii”, tygodnika „Sztuka i Film” i „Sztuka Radziecka”. Wypowiedzi te miały na celu usunięcie zbytecznych powikłań natury technicznej, godzących w jasność tematyki filmowej. Ten zba wienny ruch samokrytyki znalazł odźwięk nie tylko w kierownictwie kinematografii radzieckiej, lecz nawet u najwyższych władz państwowych. G. Malenkov w swoim przemówieniu na XIX-tym Zjeździe Partii zażądał dobrych filmów różnego rodzaju.

Pierwszą udaną próbą tego nowego kierunku była adaptacja do filmu powieści G. Nikołajewa „Żniwa”. Pudowkin zmienił nazwę na „Powrót Wasyla Bortnikowa” i przedstawił daty powieści, obierając za tło akcji rok 1950 zamiast 1946. W międzyczasie

aktualne w latach poprzednich problemy rolnicze zostały już rozwiązane. W filmie tym Pudowkin dysponował tak wybitnym zespołem aktorów jak: Liokanow (surowy Wasyl), Medwiediewa (ujmująca Awdotia) i Timofiejew (dyskretny i szlachetny Stiepan).

Operatorem „Powrotu Wasyla Bortnikowa“ był Uruszewski, który stworzył cudowne obrazy o delikatnych, zamglonych tonach. Temat filmu bardzo prosty: Wasyl — o którym sądzono że zaginął — wraca po wojnie do domu. Zastaje w nim żonę Awdotię, która w międzyczasie poślubiła jego dawnego przyjaciela Stiepana. Stiepan, człowiek rozumny, kocha swoją żonę i jest pełen uznania dla jej inteligencji — podczas gdy Wasyl nigdy jej nie doceniał. Pudowkin, pragnąc temu klasycznemu dramatowi nadać wyraz aktualnej rzeczywistości — wykazał, iż tylko prawda społeczna życia radzieckiego może dać właściwe rozwiązanie zagadnienia trójkąta małżeńskiego. Kołchoz staje się głównym elementem dramatu osobistego. Film przemawia do nas językiem czystej sztuki. Widzimy tu przepiękne sceny jak np. powrót żołnierza w śnieżną noc do domu (przypomina nam to pewne obrazy z filmu „Matka“), pierwsze zebranie komórki partyjnej i śmierć ojca Wasyla — inspirowana prawdopodobnie przez „Ziemię“ w opracowa-

niu drugiego wielkiego reżysera radzieckiego Dowżenka (1930 r.). Ta ostatnia scena przedstawia człowieka rażonego złą wieścią. Wokół rozciągają się łąny zboża. Żniwa w pełni. Młode kobiety pracują i śpiewają.

Pudowkin unika tu próżnych słów. Wrażliwości i domyślności widzów pozostawia odkrycie dramatu psychologicznego, ukrytego w zwykłym życiu kołchozu. Udaje mu się po mistrzowsku przedstawić stałość przyrody, której zmieniające się pory roku tworzą cudowny leit-motiv.

Jeszcze tuż przed śmiercią, która nastąpiła trzy miesiące temu, Pudowkin snuł wielkie plany. Zamierzał stworzyć film o Piotrze Wielkim, w którym pragnął rozwinąć i uświetnić kolorami temat wzięty z filmu Petrowa. Miał zamiar zrealizować też inny film, którego treścią byłaby walka o pokój.

Wsiewołod Pudowkin był nie tylko artystą i człowiekiem, lecz także nauczycielem. Jego książki na temat gry aktorskiej, techniki i tematyki filmowej były tłumaczone na języki angielski i włoski. Słusznie wyraził się Leon Moussinac, mówiąc iż człowiek, artysta i dzieło wyrażają się jedno przez drugie. Pudowkin, który wraz ze swoim przyjacielem Eisenszteinem tyle razy ożywiał historię — z kolei sam stał się żywą postacią historyczną.



FILM HINDUSKI



GERALD CAZAUBON

SPOTKAŁEM Anil Biswas w Budapeszcie w czasie sesji Światowej Rady Pokoju, na którą był zaproszony. Spotkałem go ponownie po dwóch tygodniach w Paryżu, gdzie zatrzymał się na 48 godzin przed wyjazdem do Indii. Starałem się oprowadzać go od pomnika do pomnika i umożliwić mu „połknięcie” wszystkich wspaniałości miasta, a wśród nich również gastronomii.

W pewnej restauracji na bulwarach nad Sekwaną zamówiliśmy pstrągi na szaro. Wiedziałem, że mieszkańcy Bengalu uwielbiają ryby, nie znałem jednak sposobu w jaki je zjadają. Stało się to małym

przedstawieniem teatralnym w owej restauracji. Anil Biswas skończył już delektować się delikatnym mięsem pstrąga i kelner zabierał się do sprzątnięcia jego talerza, gdy ten poprosił go grzecznie, aby zechciał mu jeszcze zostawić talerz. Byłem zdumiony. Jeszcze bardziej zdumiałem się, gdy Biswas wziął swój nóż i widelec, pociął na równe części kręgosłup pstrąga i zabrał się do zjadania głowy i ości, mówiąc do mnie: „Pan wie o tym, że szpik ości jest najdelikatniejszą częścią ryby? My w Bengalu zjemy ryby tylko po to, aby delektować się tym szpikiem.” Kelner zawołał swego patrona, aby

przyszedł przyjrzeć się temu fenomenowi. Następnie przyszedł szef, goście powstawali, aby się przyglądać, a niektórzy mówili, że to fakir. Tak, jak gdyby w Indiach byli sami fakirzy! Ostatecznie, szpik ości



rybich jest może bardzo dobry; dlaczego nie zjada się go?

Zawsze uważałem za coś absurdalnego manię przyglądania się cudzoziemcom jak dziwolągom i traktowanie jako coś nienormalnego gestów lub sposobów wyrażania się przyjętych powszechnie w innych krajach. Faktem jednak jest, że mieszkańcy różnych kontynentów nie znają się i że na przykład dla nas Francuzów, jest w Indiach wiele dziedzin, których zupełnie nie znamy.

Tak ma się sprawa z filmem. Kto widział film indyjski? A przecież indyjska produkcja filmowa zajmuje drugie miejsce w świecie. Kroczy bezpośrednio po produkcji Hollywood, wydając około 300 filmów rocznie. Okazuje się, że są to filmy szczególnego rodzaju i nie znajdują zbytu na rynku świata zachodniego. Eksportowane są jedynie w Azji, do Iranu, Iraku, Syjamu, Burmy itd.,

czyli do krajów, w których upodobania ludności są wyraźnie takie same, jak upodobania narodu hinduskiego. Nie ulega wątpliwości, że masowy import tych filmów nie byłby wskazany, lecz od tego to faktu, iż film indyjski pozostaje dziedziną zupełnie nieznaną, o której jedynie specjaliści posiadają pobieżne pojęcie z racji międzynarodowych festiwalów, jest kawał drogi.

Plac Zgody; Anil Biswas zaczyna śpiewać piosenkę popularną w Bombaju, piosenkę, której jest autorem i która śpiewana była po raz pierwszy w filmie, którego był twórcą. Anil Biswas jest bowiem kompozytorem i producentem filmowym. Jest on również prezesem wszechindyjskiego stowarzyszenia kompozytorów muzyki filmowej i jeśli nazwisko jego prawdopodobnie nie jest znane publiczności europejskiej i amerykańskiej, to jednak figuruje na ekranach kin w Indiach w takich samych wielkich rozmiarach, jak na przykład nazwiska Kurta Weila w Stanach Zjednoczonych lub Józefa Kosma we Francji. Powiedziałbym nawet, że w większych rozmiarach aniżeli nazwiska Kurta Weila i Józefa Kosma, gdyż w Indiach filmy są w zdecydowanej większości filmami muzycznymi i kompozytor odgrywa rolę równie doniosłą i jest równie dobrze znany publiczności jak scenarzysta i gwiazdy filmowe. Publiczność indyjska ogląda w rzeczywistości filmy dla ich muzyki. Nuci piosenki i wraca do kina, aby zobaczyć ponownie ten sam film, by na nowo usłyszeć ulubioną melodię.

Pewnego dnia Anil Biswas poszedł do kina Roxy w Bombaju, w którym już 151 tygodni wyświetlany był je-

den z jego filmów pt. „Kismet“ (Przeznaczenie) — historia pewnego nicponia, który stał się dobrym chłopcem. Przy wejściu do kina wypisany był plan godzin śpiewanych w filmie piosenek. Film indyjski ma około 4.500 metrów, wyświetlanie jego trwa dwie i pół godziny i zawiera zazwyczaj od ośmiu do dziesięciu piosenek. I widzowie, którzy przybyli jedynie po to, aby wysłuchać jednej lub dwóch ulubionych piosenek, czekają aż one nadejdą w toku wyświetlanego filmu, wchodzili na salę, po czym wychodzili, gdy kolejna piosenka się kończyła. Niektórzy, pytani przez Anil Biswas, przechodzili już ponad 50 raz.

Nie należy z tego wnioskować, że filmy indyjskie to operetki przerebione na film, albo że muzyka wprowadzona jest do scenariusza w sposób całkowicie sztuczny, jak w niektórych produkcjach zachodnich. Nie! Pieśń występuje jedynie w momencie silnych wzruszeń. Sądzę, że ma się tu do czynienia ze starą tradycją wschodnią. Wspomnijcie „Tyś i jedną noc“, kiedy to główni aktorzy różnych opowieści doznają wzruszeń trudnych do wyrażenia zwykłym językiem i przechodzą do śpiewu lub do improwizowania poematów.

Nawet dziś, w czasie manifestacji politycznych, jakie mają miejsce w Azji, na przykład w Iranie lub w Indiach, kiedy dochodzi do paroksyzmu podniecenia, które policja tłumi i kiedy są ofiary, trafiają się często ludzie, którzy nagle wdzierają się w środek tłumu i deklamują improwizowane poematy, w których wyrażają swoje uczucia i swój bunt. Tak samo jest w filmach indyjskich. Sko-

ro scena staje się patetyczną, dialog zaczyna być śpiewany, monotonnie deklamowany, aby lepiej wyrazić intensywność napięcia uczuciowego. Na przykład: młoda dziewczyna zostaje sama po pierwszym spotkaniu miłosnym. Śpiewa, aby wyrazić swą radość. Kobieta znajduje swego męża zmiążdżonego w wypadku i śpiewa by wyrazić swój smutek. Kiedy zaś wzruszenie obejmie więcej osób, mamy duet lub chór.

Czasami scenarzyści używają zabiegu bardziej sztucznego dla wprowadzenia śpiewu. Wybierają na bohatera śpiewaka. Tak w „Hamdrad — pocieszycielka“, filmie z r. 1951, do którego muzykę skomponował Anil Biswas, główną postacią jest ślepy śpiewak. W pierwszej części widać go jak siedzi w kawiarni. Jego wielkie otwarte oczy zdają się widzieć. Śpiewa. Do kawiarni wchodzi młoda dziewczyna. Zdumiona jego śpiewem siada przed nim i ślepiec, nie domyślając się kto go słucha, śpiewa pieśń miłosną. Młoda dziewczyna, wstydliva, sądzi, że słowa są przeznaczone dla niej, że człowiek ten czyni jej propozycje i policzkuje go. Kiedy jednak widzi, jak ślepiec zrywa się i maca wokół siebie mówiąc: „kto tam jest, kto tam jest“ i uderza w próżnię, ogarnia ją wstyd i aby naprawić swój błąd siada obok ślepca i mówi mu, że sama również jest dotknięta ślepotą. Aby lepiej pocieszyć człowieka, którego spoliczkowała niechcąc, prosi go, by nauczył ją śpiewać. Następna część filmu ukazuje ślepca udzielającego młodej dziewczynie lekcji śpiewu i uczącego ją śpiewać pieśni czterech pór roku, której mitologiczne perypetie są sfilmowane.

Film ten odznacza się cechą szczególną, która stanowi rewolucję w historii filmu indyjskiego. Partytura muzyczna oparta jest na indyjskiej muzyce tradycyjnej. Anil Biswas



jest zatem jednym z młodych kompozytorów indyjskich, dążących do spopularyzowania wśród szerokiej publiczności indyjskiej tradycyjnej muzyki swego kraju i pragnących zerwać ze zwyczajem komponowania dla filmu pozbawionej wyrazu muzyki wywodzącej się z Hollywood, która nie ma nic wspólnego ani z Zachodem ani ze Wschodem. Partytura muzyczna większości filmów indyjskich jest często inspirowana przez hollywoodzki pseudo-jazz i nie ma powiązania z żadnym kierunkiem. Kultura indyjska, przez okres okupacji angielskiej już silnie rozbita, ulega jeszcze w dziedzinie muzyki wpływom, które pozbawiają ją wszelkiego charakteru narodowego. I aby walczyć z tym najazdem, grupa kompozytorów, której jednym z pionierów jest Anil Biswas, postanowiła spopularyzować muzykę ludową różnych prowincji Indii oraz tradycyjną muzykę indyjską.

Kiedy pewnego wieczoru w hotelu Anil Biswas zaimprovizował dla mnie pieśń opartą na tradycyjnym motywie, uprzedził mnie: „Pan zdaje sobie sprawę z tego, że obcokrajowcy nie rozumieją naszej muzyki tradycyjnej. Ona zbyt zbija z tropu. Proces tworzenia muzyki i myślenia jest rzeczywiście inny od waszego, a treść wybitnie indywidualistyczna“. Muzyka tradycyjna jest najstarszą w Indiach, a prawdopodobnie również najstarszą na świecie. Przypuszcza się, że istniała zanim jeszcze ludzie poznali użycie słowa. Jej rytmy, skale, motywy, jak również reguły tradycyjnego tańca indyjskiego, przekazane zostały z najbardziej zamierchłej starożytności przez Braminów, którzy twierdzą, iż wywodzą swe tajemnice od samych bogów, a w licznych prowincjach Indii, z których każda posiada odmienne język, jedynie muzyka tradycyjna posiada jednolitą składnię, zrozumiałą przez wszystkich.

Jeszcze przed 50 laty muzyka tradycyjna była przywilejem nababów, bogaczy lub też grana była jedynie przez prostytutki w zamkniętych domach. Później, dwóch lub trzech śpiewaków, zrywając z tradycją, dawało publiczne koncerty. W muzyce tradycyjnej nie ma słów, nie ma pieśni pisanych. Artysta wybiera motyw muzyczny zwany „raga“ (istnieje większa ilość motywów na każdą godzinę dnia), potem bierze jakiś temat, na przykład „kocham cię“ i zaczyna swój śpiew, improwizując poprzez modułacje tysiące sposobów wyrażania miłości. Opierając się na sztywnej tonacji motywu wyraża swą mowę wewnętrzną, swe uczucie i nawiązuje bezpośredni kontakt ze

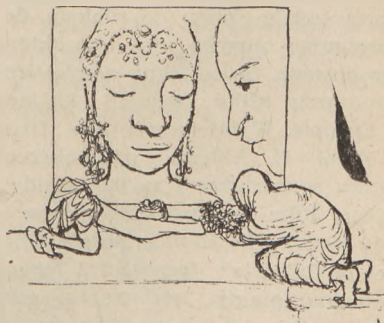
swymi słuchaczami do tego stopnia, że koncert staje się wspólną ekstazą. Tę muzykę tradycyjną, dostosowaną do potrzeb filmu, podobnie jak pieśni i tańce ludowe różnych prowincji Indii Anil Biswas i liczni inni młodzi kompozytorzy wprowadzili do partytur muzycznych swoich filmów. Publiczność indyjska przyjęła je bardzo gorąco, a jeden z tych filmów pobił rekord długotrwałości wyświetlania w ciągu trzech kolejnych lat w jednym z kin w Kalkucie.

W Indiach mówi się, że kino jest jedyną rozrywką ubogich. Filmy są oglądane i dyskutowane w bardzo szerokich kręgach publiczności, która na ogół lubi, aby film opowiedział jej pełną historię, historię, w której podane będą wszystkie szczegóły, przeszłość osób, zrodzenie się konfliktu, przegląd rozlicznych form przeciwności, które rozłączają bohaterów itp. Filmy, które w brutalny sposób przedstawiają wycinek życia, nie są na ogół cenione.

Filmy indyjskie podzielić można na trzy kategorie. W pierwszym rzędzie filmy informacyjne, tzn. krótkometrażówki dokumentarne realizowane przez służbę informacyjną rządu Indii. Na mocy rozporządzenia rządu, każde kino zobowiązane jest wyświetlać równocześnie z wielkimi filmami jeden z takich filmów dokumentarnych traktujących o różnych zagadnieniach, bądź to ekonomicznych, pedagogicznych, bądź z dziedziny higieny społecznej, bądź też z dziedziny obyczajów lub dzieł sztuki, w rodzaju na przykład krótkometrażówek o sławnej świątyni wznoszącej się na stokach Himalajów, o starożytnych instrumentach

muzycznych itp. oraz przepiękną serię filmów o tradycyjnym tańcu indyjskim. W związku z tym zaznaczyć trzeba, że kino jest szeroko stosowane w walce z analfabetyzmem. Ruchome kino na samochodach wyjeżdżają na wieś; nauczyciele posługując się filmami pedagogicznymi uczą chłopów czytać.

Z kolei następują filmy mitologiczne. Filmy te, których rodzaj jest na Zachodzie zupełnie nieznany (chyba, że uznalibyśmy za formę „religijną“ seryjne filmy o Nadczołwieku w Stanach Zjednoczonych), pokazują historię bogów religii bramińskiej. Wyświetlaniu tych filmów na wsi towarzyszą czasem gwałtowne sceny i dyskusje religijne pomiędzy wyznawcami różnych religii lub też sceny niezwykle wzruszające. Często chłopci wierzący w reinkarnację swego boga na ekranie padają na twarz przed jego podobizną, składają kwiaty i objawiają na tysiąc sposobów swoje uczucia religijne w czasie trwania seansu filmowego.



Na koniec przychodzi kategoria filmów fabularnych, które w zdecydowanej większości są filmami muzycznymi, a które scharakteryzowaliśmy wyżej. Przedmiot tych filmów

sięga od historii miłości do biografii. Od czasu jednak wojny dokonała się rewolucja w dziedzinie tematu przez wprowadzenie filmów o tematyce społecznej. Kilku młodych wytwórców walczących przeciwko dotychczasowemu biegowi wydarzeń, postanowiło odmalować warunki życia w swoim kraju.

Pierwsze ich filmy odniosły wielki sukces finansowy. Zachęceni tym sukcesem, ci młodzi producenci mogli założyć niezależne wytwórnie i udowodnić w ten sposób pięciu czy sześciu wielkim indyjskim wytwórniom filmowym, które nie chciały do tykać tematów traktujących o stosunkach społecznych, że publiczność indyjska o wiele bardziej woli oglądać filmy, których bohaterowie wszyscy pochodzili spośród niej, aniżeli cukierkowe i zmanierowane historie zapożyczone z Hollywood.

Rewolucja ta dokonała się równolegle z wprowadzeniem muzyki tradycyjnej do filmu indyjskiego i do nowych filmów o tematyce społecznej, które, jak wszystkie inne filmy, wprowadzają śpiew do dialogu dostosowując muzykę do charakteru narodowego. Są to filmy demonstrowane przy kilku rzadkich okazjach w Europie. Wymieńmy z nich „Dzieci ziemi“ K. Abbasa, największego autora scenariuszy i reżysera indyjskiego. Film ten zrealizowany w r. 1946 przez „All India's People Theatre of Calcutta“ (postępowa grupa teatralna) maluje wydarzenia podczas wielkiego głodu, który srożył się w Bengalu pod koniec wojny, zwłaszcza zaś tragiczną epopeję Wielkiego Pochodu Głodowego.

Innym dziełem, które uzyskało pierwszą nagrodę w r. 1949 w Knok-

ke le Zoule w Belgii, jest „Kalpana“, tańczony i grany przez jednego z największych współczesnych tancerzy indyjskich, Uday Shankar. Wszystkie tańce wykonywane w tym filmie oparte są na tematyce społecznej. W lutym 1952 r., w czasie międzynarodowego festiwalu filmowego odbytego w Bombaju, pokazano liczne nowe filmy o tematyce społecznej. Festiwal ten był dowodem zwycięstwa młodych producentów, którzy walczyli o odnowienie tematyki filmów indyjskich i otworzył drogę rosnącej produkcji o warunkach życia w Indiach.

Jednym z tych producentów jest Prithvi Raj Kapoor, który jest prawdopodobnie największym i najbardziej popularnym spośród aktorów indyjskich. Jest on ponadto przewodniczącym indyjskiego Komitetu Obrońców Pokoju i członkiem Światowej Rady Pokoju. Raj Kapoor nakręcił w r. 1952 film „Awarā“, film o włóczędźce, do którego scenariusz napisał K. Abbas. Film ten wystawiony był w r. 1953 w Cannes podczas ostatniego festiwalu filmowego.

Innym z tych producentów jest Anil Biswas, który nakręcił ostatnio dwa filmy, jeden pod tytułem „Dwa akry ziemi“, traktujący o położeniu chłopów, drugi „Rahi“. „Rahi“ wnika głęboko w rzeczywistość dzisiejszych Indii i wiąże się szczególnie z okresem powstania Pakistanu, z krwawymi zamieszkami pomiędzy muzułmanami i braminami oraz ze straszliwą wędrówką, jaką przeżyli mieszkańcy jednej i drugiej strony nowej granicy Pakistanu.

„Rahi“ przedstawia dzieje samot-

nego włóczęgi, rozgoryczonego i wytrąconego z równowagi przez wszystkie te nieszczęścia, które godziły w niego w czasie podziału Indii. W czasie wędrówki utracił wszystko co posiadał. Dzieci jego zostały zabite, żona została zgwałcona, a potem umarła z nędzy. Jest on symbolem owych tysięcy emigrantów, którzy znaleźli się bez niczego, wygłodniali na drogach całych Indii.

Z wszystkich tych nieszczęść, które go dotknęły, wyniósł jedynie głęboką nienawiść do ludzi. Pewnego dnia w czasie swych wędrówek przybywa na jakąś plantację herbaty, gdzie zostaje zatrudniony jako kierownik grupy. Udręczony, zgorzkniały, okazuje się twardym i bezwzględny dla robotników i przy tej okazji film ujawnia straszliwe warunki życia robotników rolnych i nędzę chłopów. Potem następuje scena niezwykle piękna. Na polach pracują robotnicy, z boku pilnuje ich kierownik grupy z batem w rękę, gotów ukarać najmniejsze ich niedociągnięcie. A robotnicy zaczynają śpiewać. Kierownik grupy zrywa się z wściekłością, czuje wstręt do śpiewu i krzyczy na nich, aby przestali wrzeszczeć. Lecz robotnicy śpiewają

dalej i kierownik grupy rzuca się na nich i chłoszcze ich, aż przestają. Wtedy na obliczu jego pokazuje się wyraz radości; lecz na sąsiednim polu inna grupa robotników zaczyna śpiewać, a kierownik grupy rzuca się ku nim, krzyczy, bije, póki nie przestaną. Wśród ciszy, na nowo przywróconej, inny śpiew rozlega się z pola bardziej odległego, a kierownik grupy zaślepiony złością wywołaną śpiewem biegnie od plantacji do plantacji, bije, ryczy, lecz w końcu zostaje zwyciężony głosami pracujących, które zapalają się, gdy inne gąsna i słowami pieśni, która głosi: „gdy jesteśmy zjednoczeni, nie można nami kierować batem“. Pod koniec filmu zgorzkniały włóczęga, bezwzględny kierownik grupy odzyskuje wiarę w człowieczeństwo i z okazji strajku uwieńczonego sukcesem przechodzi na stronę robotników.

Nie sądzę, aby szacunek dla obcych obyczajów pchnął mnie pewnego dnia do tego, aby jeść ości pstrąga, lecz z drugiej strony wiem, że skłoni mnie on do energicznego domagania się, aby film indyjski nie był dłużej dla świata zachodniego dziedziną nieznaną.



ilustr. ZUKA



Pisarz i jego naród

CLAUDE ROY

1

Czao Czu-li nie jest może najwybitniejszym z żyjących pisarzy chińskich. Kuo Mo-żo — to większa postać — można ją nazwać goethowską, Kuo jest człowiekiem o olbrzymiej kulturze, którego wszechstronne wykształcenie nigdy nie wysusza i nie odwraca biegu wiecznie żywych źródeł uczucia. Jest on zarazem lekarzem, archeologiem, historykiem. Jego poematy i sztuki, jego autobiografia dorównują w znaczeniu jego dzie-

łom naukowym i uzupełniają je. Przetłumaczył na język chiński Goethego i Marksa, Puszkina, Tolstoja i Gorkiego. Podczas swego długiego wygnania w Japonii pracował nad gruntowną przeróbką historii starożytnych Chin. Znający całą literaturę zachodnią, głęboki i mądry poeta, wykształcony na krytycznych badaniach chińskiej tradycji, poświęcił się dziś sprawom niecierpiącym zwłoki, sprawom trudnym, którym zawsze potrafi sprostać nie tracąc nigdy mądrego uśmiechu. Pisarz okazał się wielkim mężem stanu.

Wobec tego olbrzymiego dzieła, drobne i małe opowiadki Czao Czu-li nie mają, być może, wielkiej wagi. Jednakże Czao Czu-li jest dzisiaj jeżeli nie największym, to w każdym razie na pewno najbardziej popularnym pisarzem współczesnym. Słyszałem jak imię jego wymawiają z równym akcentem przyjaźni i wesołości chłopci i profesorowie, robotnicy Szanghaju i żołnierze na froncie koreańskim, pisarze z Pekinu i dokerzy na Jang-tse. Potrafił

zdziałać cud zyskania entuzjastycznego posłuchu wśród mas i całkowitego szacunku wśród swych kolegów po fachu.

Pisze krótkie opowiadania i bajki. Jest barwnym i pełnym humoru kronikarzem życia chłopów. Książki jego dotrzymują kroku ewolucji wiejskiego życia w dzisiejszych Chinach. „**Małżeństwo Hsiao Erh-hei**“ (1943) jest historią dwojga wiejskich zakochanych, którzy chcą się pobrać wbrew przeciwnym wiatrom, falom, przesądom i rodzinom. Wokół tych dwojga upartych i sprytnych gołąbków krąży mały pocieszny i prawdziwy światek: Trzecia Panna Wróżka, jasnowidząca, mały tyran lokalny, zabobonni, bojaźliwi i przebiegli rodzice. Wątkiem „**Piosenki Li Yu-tsai**“ (1944) jest walka chłopów przeciwko obszarnikom. Li Yu-tsai to biedny chłop, który bawi się kosztem możnych, improwizując śpiewaną kronikę powiatu. „**Zmiany we wsi Li**“ (1946) są poświęcone temu samemu tematowi i okupacji japońskiej. Inne, krótsze bajki opisują stare zwyczaje wiejskie, trudności, które się z nich rodzą, stosunki między młodymi żonami a teściowymi, wpływ Nowego Prawa Małżeńskiego na chłopów itd.

Czao Czu-li zawdzięcza swe powodzenie nie tylko darowi obserwacji, bardzo chińskiemu poczuciu humoru i wesołemu tonowi ludowego bajczarza. Najlepsze nawet tłumaczenie pominie zawsze jakiś zasadniczy element jego uroku. Z różnorodnych dialektów wiejskich Chin Czao wziął to co najlepsze. Stworzył sobie język bardzo prosty, bardzo żywy, pozbawiony sztuczności, lecz nie sztuki. Próbowałem, przy pomocy mego przyjaciela Czen Te-lung, przetłumaczyć bajkę Czao. Próba jest zniechęcająca. Na to, by zachować barwę tych dialogów i opowiadania, trzeba by grać na kilku rejestrach, podobnie jak robi to Czao.

Wiele wieczorów spędziłem z Czao. Opowiadał mi o swoim życiu. Jack Belden w swej pięknej książce o Chinach zamieścił o nim opowiadanie pt. „**Żebrak pisarzem**“. Opowiadanie to ubawiło Czao. Uważał, że jego biografia (w wersji amerykańskiej) jest sympatyczna, lecz cokolwiek nazbyt „malownicza“. Muszę stwierdzić że ta, którą mi opowiedział, jeżeli nawet różni się trochę od opowiadania Beldena, jest również dosyć malownicza.



Urodziłem się w 1906 r. w wiosce, leżącej w górach Szansi. W wiosce było 50 zagród. Żyliśmy w ośmiu na 16 mu *) nędznej ziemi; jeden człowiek może uprawiać 20 mu, które mu wystarczają akurat do życia. Mój ojciec, by związać koniec z końcem, poza pracą rolnika plótł koszyki. Jeżeli chcecie, bym wam upłótł koszyk lub walizkę z łożyny, mogę to zawsze zrobić.

Chłopi z wioski najmowali nauczyciela, któremu płacili (źle) i którego żywili (jak się dało). Nauczanie polegało zasadniczo na chorałnym powtarzaniu, nie rozumiejąc ani słowa, wierszy „**Klasyka w Trzech Charakterach**“ tak nazwanego, ponieważ każdy wiersz ma trzy sylaby, tj.

*) 1 mu = $1\frac{1}{16}$ hektara



trzy słowa. Ponieważ książka pochodzi z XII wieku, uczniowie nic nie rozumieli, lecz przy jej pomocy uczyli się 506 charakterów pisma. Podczas żniw i większych robót nikt nie szedł do szkoły. Wolałem grać na wiejskiej trąbce i uczyć się od starszusków balad i pieśni.

Śmierć moich dziadków w ciągu kilku miesięcy zrujnowała rodzinę. Mój ojciec miał już długi, płacił 30% obszarownikowi. Musiał się jeszcze za dłużyć na kupno trumien i zapłacie pogrzebów. W najlepszych dniach jadaliśmy proso, lecz najczęściej odpadki ryżowe, używane zazwyczaj jako pasza dla bydła. Gdy miałem 12 lat, przez cały rok nie jedliśmy mięsa. Na Nowy Rok, gdy mieliśmy wieprzowinę na stole, wszyscy zjedli jej tyle, że się pochorowali. By ulżyć rodzinie, ojciec posłał mnie do szkoły podstawowej w Czeng-Cze, gdzie dostałem stypendium.

Przybyłem do miasta, jak głupiec, którego wszystko dziwi. W mojej wsi, w 1920 r., ludzie myśleli, że cesarz wciąż jeszcze żyje. Nie znali niczego, co sprzedawano w miejskich sklepach i co zaczynało się zawsze od znaku **yan** („to pochodzi z za morza“). Zapalki **yan hoa** (ogień zamorski), papierosy **yan yen** (dym zamorski), nafta **yan yo** (zamorska woda, która się pali) — wszystko to zachwyciło mnie.

Mając lat 17 byłem chudym gamoniem, szanującym rodziców, Konfucjusza, bogów. Lecz powoli metoda nauczania, czysto formalistyczna i papuzia, kontrast między życiem mych rodziców a mieszczan, czytanie rewolucyjnych gazet, przynoszonych ukradkiem do szkoły, zmieniły mnie do tego stopnia, że gdy miałem lat 20, wyrzucono mnie ze szkoły jako niespokojnego ducha. Zostałem ożeniony przez mych rodziców z biedną dziewczyną z naszej wsi i nie miałem ochoty tam wracać. We wsi rozeszła się pogłoska, że jestem diabłem-komunistą. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co to jest komunista, lecz wiedziałem, że to coś bardzo zaszczytnego.

Zacząłem wówczas życie tułaczę, które trwało 7 lat. Wędrowałem od miasta do miasta pisząc satyry do małych gazet, pracując po drodze w gospodarstwach, by zarobić na utrzymanie. Dziadek nauczył mnie wielu recept lekarskich, jak zbierać zioła lecznicze na napary i jakich plastrów używać na rany. Zostałem znachorem. Byłem bardzo ostrożny. Gdy choroby wydawały mi się zbyt poważne, posyłałem moich pacjentów do lekarza. Co się tyczy reszty, to polecałem im środki przeczyszczające i nieszkodliwe herbatki z ziół.

Ponieważ żona umarła (miała 18 lat), powróciłem do wsi. Pomimo mojej złej reputacji zaangażowano mnie tu jako nauczyciela, gdyż dawny zmęczył się zdychaniem z głodu. Ktoś jednak zadenuncjował mnie jako wywrotowca, zjawiła się więc policja i zabrała mnie ze szkoły. Spędziłem 9 miesięcy w więzieniu Tai-Yuen. Było nas ze 20 więźniów, z których 15 nie wiedziało o co zostali oskarżeni, trzech komunistów i dwóch szpicli na przynętę. Rozdawano nam antykomunistyczne ulotki, które wiele mnie nauczyły. Dzięki nim odkryłem Marksa, Lenina, Związek Radziecki i program ich pociągnął mnie. Dyskutowaliśmy z trzema komunistami w więzieniu i było to bardzo ciekawe. Zwolniono mnie równie bez żadnego powodu jak mnie aresztowano i znowu rozpocząłem tułaczkę. Pracowałem po kolei w przedsiębiorstwie wydającym skrypty uniwersyteckie, jako reporter w gazecie Kuomintangu, której redaktorzy byli wszyscy potajemnie komunistami, jako subiekt w księgarni, nauczyciel, pisarz publiczny. Pewnego dnia spotkałem poznałego w więzieniu towarzysza. Otworzył szkołę w Czeng Tse i zaproponował mi tam pracę. Szerzyliśmy tam „nowego ducha“. Ale policja zaniepokoiła się naszymi poczynaniami i zaczęła nadzorować szkołę.

W 1917 r., gdy Japończycy zajęli te okolice, utworzyła się tu „Liga Poświęcenia dla Zbawienia Ojczyzny“. Spytałśmy naszych uczniów, czy chcą uciec w góry i bić się; 150 uczniów na 300 poszło z nami do partyzantki. Zajęliśmy małe miasteczko i rozpoczęliśmy organizację ruchu oporu. Okolice były piękne, wielkie lasy pełne jeleni, wilków, lampartów, zamieszkałe przez chłopów-myśliwych. W 1937 8-ma Czerwona Armia liczyła tu 50 ludzi. W 1939 r. było ich już 1500 pod bronią. Ale okolicę rabowały bandy dezterterów Kuomintangu, którzy zabierali i niszczyli wszystko. Gdy się zjawiały, chłopci opuszczali wsie i uciekali w góry. Wpadłem raz w łapy byłych żołnierzy. Chcieli mnie zabić.

— Jesteście głodni — powiedziałem im — jestem za chudy, by wystarczyć wszystkim jedzenia. Byłoby dużo mądrzej wejść w dobre stosunki z chłopami, którzy by was żywili. Zamiast tego, siejecie strach i gdy przychodzicie do wsi, wszystkie zapasy są ukryte lub wyniesione!

— Ma rację — powiedział jeden z żołnierzy-bandytów. — Ale jak to zrobić?

Zaproponowałem, że pójde ukladać się z chłopami, których kryjówki znałem. Najtrudniejszą rzeczą po wymknięciu się żołnierzom było przekonanie chłopów. Udało mi się to. Osiem dni później — 60 dezterterów, którzy omal mnie nie zamordowali, zaciągnęło się do 8 Armii Czerwonej.



Polecono mi stworzyć gazetę „Kraj Gór“. Pisałem ją sam jeden: artykuły wstępne, nowele, bajki i „ta kou“ (wielkie bębny) — rodzaj satyrycznych poematów, śpiewanych na jarmarkach i podczas uroczystości. Wtedy zacząłem naprawdę pisać. Ponieważ moje artykuły i opowiadania podobały się chłopom i żołnierzom, partia umieściła mnie w wydawnictwie Sin Hua (Nowe Chiny), którego siedziba przenosiła się z miasta do miasta, w miarę rozwoju wypadków wojennych.

Pisałem sztuki dla lokalnych zespołów amatorskich i żołnierskich. Sztuki te, w rękach aktorów ludowych, stają się czymś całkiem innym od tego co napisano. Aktorzy zmieniają je, dodają coś lub odejmują, tłumaczą dialogi na dialekt miejscowy, improwizują, zmyślają. Po roku autor nie może poznać sztuki! A jest tyle różnych rodzajów teatrów w każdej prowincji, prawie w każdym powiecie, że bajka i powieść stają się jedynymi środkami wyrazu w skali narodowej, dla całych Chin. W 1942 r. napisałem moje pierwsze duże nowele. Drukowało się książki w okropnych warunkach, fa-

brykując ręcznie farbę i papier z kory morwowej i kory drzew. Książkom naszym udawało się przerwać blokadę Kuomintangu i przeniknąć przez linie japońskie, rozchodziły się one po całych Chinach. Pisałem dla mas chińskich. Czytałem chłopom i żołnierzom moje opowiadania zanim oddawałem je do druku, próbowałem je na nich. Napisałem cztery książki. Teraz pracuję nad piątą.



Czao Czu-li nie wygląda zupełnie na żebraka, jak uważa Jack Belden. Raczej na chłopca z Szansi. Ma trzy małe sprytne zmarszczki w kątach oczu, długą krzywą twarz, z początku wielką nieśmiałość, która rozkwita w wesołość, żółte zęby, chude i suche ręce. Przypomina swego najslawniejszego bohatera, słynnego Li Yu-tsai, chłopca-barda, którego chłopcy przewali **„Stary-Nie-do-Utopienia“**, ponieważ zawsze wypływał na wierzch. Gdy Li Yu-tsai wraca z pracy, **„wszyscy towarzyscy ludzie schodzą się w jaskini, żeby żartować, rozmawiać, słuchać jego opowiadań“**. W jaskini Czao Czu-li zbiera się 500 milionów słuchaczy by słuchać jego opowiadań i bajek. **„O to właśnie chodzi“** — mówią. Gdy powiedzieli — **„O to właśnie chodzi“** Czao jest zadowolony. Widzi, że to co zrobił jest dobre.





IRAN

KOLEJNE zamachy stanu, które ostatnio wydarzyły się w Iranie, ponownie wysunęły Iran na pierwsze miejsce na arenie międzynarodowej. Wiemy, że Mossadik, który pewnego dnia zwyciężył, został następnie obalony, że generał Zahedi i spiskowcy szacha Pahlevi, zaledwie uwięzieni, aresztowali swych prześladowców, gdy tymczasem auta pancerne i zbrojne oddziały patrolują miasta, obywatele irańscy giną w walkach ulicznych, a szach goni swe zmartwienia od jednego strachu do drugiego i od Rzymu do Belgradu, by powrócić wreszcie do stolicy, której opustoszałych w czasie oficjalnego przejazdu ulic strzeże policja.

W cieniu tych wydarzeń wznoszą się wieże wiertnicze szybów naftowych, które drażnią poządlliwość obcych mocarstw. Kryje się za tymi wydarzeniami przede wszystkim wola niepodległości narodu irańskiego, który cierpi jeszcze wyzysk feudalny. Aby lepiej zrozumieć wydarzenia w Iranie, proponujemy cofnąć się w przeszłość i zbadać warunki społeczne, zasoby i główne fakty polityczne, charakteryzujące ten kraj.

W drugim tysiącleciu przed naszą erą jedna gałąź Indoeuropejczyków, Indo-Irańczycy osiedliła się na obszarze, zwanym w języku geografów wyżyną irańską. Ci Indo-Irańczycy dzielili się na wiele plemion — Persów, Medów, Partów i innych, którzy nadawali sobie imię rodzajowe Arya (co oznaczało prawdopodobnie „szlachetny“). Od tego pochodzi nazwa Iranu, której we wszystkich czasach używano do oznaczenia ojczyzny irańskiej. Co do nazwy Persja, którą często przypisuje się Iranowi, to wymyślili ją Grecy. Trzeba podkreślić, że język i literaturę Iranu nazywa się zawsze perskimi.

Ze względu na swe granice Iran zajmuje dzisiaj niesłychanie ważną pozycję strategiczną. Na północy Iran graniczy ze Związkiem Radzieckim. Tę granicę dzieli na dwie części Morze Kaspijskie. Trzeba podkreślić w związku z tym, że na mocy zawartego z rządem radzieckim układu, Iran odstąpił rybakom radzieckim na Morzu Kaspijskim prawo połowu ryb na wybrzeżu irańskim i zgodził się na utworzenie mieszanego towarzystwa połowów, zainteresowanego głównie połowem jesiotrów ze względu na znakomity kawior.

Tymczasem w 1953 r. Związek Radziecki zrezygnował ze swego prawa na rzecz Iranu, nie domagając się żadnego odszkodowania, inaczej niż Anglicy, których pretensje w związku z utratą ich koncesji naftowych są wszystkim znane.

Na zachodzie Iran ma wspólną granicę z Turcją i z Irakiem.

Na południu Iran kąpie się w wodach Zatoki Perskiej, usianej wyspami bogatymi w naftę, jak wyspa Bahrein, która należy do Iranu.

Na wschodzie Iran sąsiaduje z Pakistanem i z Afganistanem.

Iran dzieli się na jedenaście prowincji, na czele których stoją gubernatorzy. Władzę prawodawczą sprawuje wspólnie szach i parlament, złożony z Medżlisu (162 posłów, wybranych w bezpośrednich wyborach powszechnych na przeciąg dwóch lat) i z senatu (60 członków, w tym 30 mianowanych przez szacha). Władza wykonawcza znajduje się w rękach szacha.



Od końca XVIII wieku Iran znajdował się pod wpływami Anglii. W tym mniej więcej czasie Anglia zagarnęła Indie. Chcąc chronić zaplecze nowozdobytych ziem, rząd brytyjski starał się zapewnić sobie sympatie rządów i szefów plemion Środkowego Wschodu, a w szczególności plemion irańskich. Ta sympatia zamięlniła się w prawdziwą dominację, kiedy na obszarach Iranu wykryto naftę.

W XIX wieku rząd carskiej Rosji chciał zagarnąć bogactwa Indii i umocnić się w Zatoce Perskiej. Tak się zaczęła wojna anglo-rosyjska na Środkowym Wschodzie. W Iranie wzmogła się walka obu przeciwników o wpływy i dynastia szachów Kajar, dla utrzymania swej władzy absolutnej nad ludem Iranu, opierała się bądź na jednej, bądź na drugiej partii, tak jak za naszych czasów panująca rodzina Pahlevi i rząd irański utrzymują się u władzy, uginając się bądź to przed Stanami Zjednoczonymi, bądź przed Wielką Brytanią.

Pod koniec XIX wieku przeważały wpływy angielskie, a w 1901 r. Brytyjczyk William Knox d'Arcy uzyskał

za cenę kilku tysięcy funtów szterlingów koncesje na eksploatację źródeł naftowych na południowym zachodzie, które na parę lat przedtem odkrył francuski archeolog Jacques de Morgan.

Intensywna eksploatacja ropy irańskiej zaczęła się naprawdę dopiero z chwilą, gdy brytyjska admiralicja wykupiła za radą Winstona Churchilla większość akcji tej koncesji i utworzyła Anglo-Iranian Oil Company.

W 1917 r. nowy czynnik zerwał równowagę sfer wpływów w Iranie. Była nim Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa. Iran był pierwszym na świecie krajem, który uznał młodą władzę radziecką. W 1921 r. podpisany został układ między Teheranem a Moskwą. Pierwszy jego punkt głosił, że obala się wszystkie przywileje, przyznane przez Iran reżimowi carskiemu. Drugi punkt, który ma poważne znaczenie w naszych czasach, dawał Związkowi Radzieckiemu prawo wprowadzania wojsk w granice Iranu i przeprowadzania tam operacji wojskowych w następujących okolicznościach:

- 1) jeżeli jakieś postronne państwo chciało dokonać interwencji zbrojnej w Iranie;

- 2) jeżeliby jakieś mocarstwo chciało wykorzystać Iran jako bazę wypadową przeciw Związkowi Radzieckiemu;

- 3) jeżeliby jakieś obce mocarstwo zagrażało granicom Związku Radzieckiego lub jego sojusznikom.

Aby umocnić swą władzę nad Iranem, Anglicy sprowokowali w 1925 r. zamach stanu przeciw dynastii Kajar. Wynieśli przypadkowego żołnierza Rezę Pahlevi, który w ciągu roku

zagarnął tron i stał się szachinszachem (królem królów). Reza Pahlevi sprawował władzę dyktatorską aż do września 1941 r. Już w chwili wybuchu drugiej wojny światowej ujawniał sympatie proniemieckie i wpuszczał do Iranu elementy hitlerowskie.

Chcąc zwalczyć te elementy, wojska angielskie i radzieckie weszły do Iranu jesienią 1941 r. Pod naciskiem irańskiej opinii publicznej Reza Pahlevi musiał abdykować na rzecz swego syna Mohammeda Reza Pahlevi, obecnego szacha.

Trzeba podkreślić, że w owym czasie elementy prohitlerowskie, wśród nich generał Zahedi, obecny premier, próbowały prowadzić w Iranie agitację z pomocą niemieckich agentów, na skutek czego alianci zmuszeni byli ich aresztować.

W 1943 r. Wielka Trójka na konferencji w Teheranie zagwarantowała poszanowanie nienaruszalności i niepodległości jego terytorium.



W okresie powojennym Iran zajął czołowe miejsce na arenie międzynarodowej; dla wielu ludzi Iran stał się synonimem ropy. Tymczasem w rzeczywistości strefa naftowa jest tam geograficznie bardzo mała, choć ten kraj zajmuje na świecie czwarte miejsce w wydobywaniu ropy naftowej. Iran jest głównie krajem rolniczym. (Nie będziemy mówić o licznych złożach rud, które prawie nie są eksploatowane).

Na powierzchni 1.645.000 km kw. (czwarta część powierzchni Anglii i szósta — Chin) Iran posiada 15 proc. ziemi ornej, a na resztę składają się łańcuchy górskie ze szczytami o wysokości 5.000 m. i kamienistymi pustymi

niami. 80 proc. ludności (Iran liczy 18 milionów mieszkańców) to chłopci. Niemal wszyscy ci chłopci są dzierżawcami lub drobnymi właścicielami małych skrawków ziemi. Irańskie Stowarzyszenie Pomocy dla Chłopów podało ostatnio do wiadomości, że 60 proc. rodzin chłopskich jest pozbawionych ziemi, że 33 proc. spośród nich posiada mniej niż 3 ha i że natomiast 1 proc. wielkich bogaczy zajmuje 56 proc. całej ziemi ornej.

Temu nierównemu podziałowi towarzyszy intensywny wyzysk chłopów, dzierżawiących ziemię. Podział zbiorów i dochodów przeprowadza się zgodnie ze starożytnym prawem pięciu elementów, które wchodzi w skład robót polnych — ziemi, wody, nasion, narzędzi pracy i samej pracy. Tak więc, jeżeli chłop przynosi ze sobą narzędzie pracy (wóz, czy krowę na przykład) oprócz swej własnej pracy, a właściciel daje mu ziemię, wodę i nasiona, to właściciel bierze trzy piąte dochodów, a chłop — dwie piąte. Z tych dwóch piątych państwo zabierze mu olbrzymią część w formie pośrednich podatków. 80 proc. podatków płacą chłopci, wpędzeni w najsłabszą nędzę.

Wśród wielkich właścicieli trzeba wyróżnić szefów plemion — Gaszków w okręgu Sziraz, Bakhtiarów w okręgu Ispahanu, których jednym z wódzów jest ojciec żony szacha — Soraya, Kurdów, których dążeń do uzyskania autonomii rząd w Teheranie nie uznaje i wielką rodzinę właścicieli ziemskich Zofakari między Teheranem a Tebrizem. Wszystkie te plemiona poświęcają się wyłącznie hodowli i prowadzą częściowo życie koczownicze.

Szefowie plemion i wielcy posiadacze rządzą w swych posiadłościach jak prawdziwi tyrani. W okrutny sposób zdusili bunt chłopskie, które wybuchały tu i ówdzie w ciągu ostatnich lat. Mają oni wielki wpływ na parlament, rząd i dwór. Co do ich postawy wobec zagranicy, trudno ją określić (niegdyś wszyscy byli germanofilami, dzisiaj są albo proangielscy, albo proamerykańscy), zależy ona od sytuacji w danym momencie.

Niedawno opracowano kilka projektów reformy rolnej, szach przeprowadził gdzieś podział ziemi, ale ani te projekty, ani ten podział nie miały realnych następstw.

W rzeczywistości prawdziwa reforma rolna jest w Iranie palącą koniecznością. Chodzi bowiem o polepszenie losu chłopów, a zarazem o zwiększenie produkcji rolnej, która wydatnie spadła w ciągu ostatnich lat.



Z wyjątkiem Abadanu, stolicy ropy, miasta irańskie są w większości wielkimi targami, starożytnymi miejscami postoju karawan. Ich ludność składa się przede wszystkim z rzemieślników, kupców, inteligencji i urzędników.

Kilka ośrodków przemysłowych jak Teheran, Ispahan i Tebriz mają ludność robotniczą.

Głównymi produktami rzemiosła perskiego są dywany, których motywy różnią się w zależności od okręgu, wyroby garncarskie, przedmioty z kutego srebra, artystyczne wyroby z hebanu, mozaika. Rzemieślnicy pracują w małych kramikach, zgrupowanych w Bazarze, olbrzymiej dzielnicy o wąskich uliczkach, która znaj-

duje się we wszystkich miastach irańskich. Dzielnica ta otoczona jest murami, których ciężkie bramy są w nocy zamknięte. W Bazarze znajdują się również kramiki małych sklepikarzy, bary i meczety. Kler odgrywa w Bazarach przodującą rolę zarówno w dziedzinie świeckiej, jak i duchowej. Znany jest na przykład wpływ Ajat Allaha Kaszaniego w Bazarze Teheranu.

W pobliżu Bazaru znajduje się dzielnica ubogich, gdzie gromadzą się łachmaniarze, „nożownicy“, którzy często wykonują brudne roboty na polecenia skrajnie prawicowych partii. Jedną z charakterystycznych cech obecnych Bazarów w Iranie jest opór rzemieślników i małych kupców wobec zalewu taniej importowanej tandety, w większości pochodzenia amerykańskiego. Częściowo z tego właśnie oporu zrodziła się wśród rzemieślników i kupców wola zdobycia niepodległości.

Co do większych kupców, importerów i eksporterów, dążą oni do opuszczenia Bazaru i do urzędzenia się w gmachach, położonych w nowoczesnej dzielnicy miasta oraz do zamieszkania, tak jak wysocy urzędnicy, w pobliżu rezydencji, w takich np. dzielnicach jak Shemran w Teheranie.

Począwszy od 1930 r. podejmowano w Iranie próby uprzemysłowienia kraju. Założono cukrownie, przędzalnie, fabryki mydła, garbarnie, fabryki szczonek, cegielnie i cementownie, zbudowano kilka wysokich pieców, a potem je zaniedbano. Z tych czasów datuje się pierwsza linia kolejowa w Iranie, przecinająca cały kraj. Ale na ogół wysiłki uprzemysłowienia Iranu pozostały bezsku-

teczne. W bliższych nam latach, w 1949 r., zainicjowano plan siedmioletni w typie „giętkiego“ planowania. Jak dotąd, wykonanie jego pozostaje w zawieszeniu.



Wydobycie nafty stanowi bezsprzecznie największe przedsięwzięcie przemysłowe kraju. W okręgu Abadanu pracuje 120 tysięcy robotników. Ci właśnie robotnicy pierwsi wypowiedzieli się za nacjonalizacją przemysłu naftowego i porwali za sobą cały lud irański do walki o niepodległość i o wypędzenie obcych eksploatatorów. Pierwszym etapem ruchu, mającego położyć kres brytyjskiej eksploatacji Iranu, były strajki, które wybuchły w całej południowo-zachodniej części Iranu. W tym okresie także Stany Zjednoczone starały się wmieszać do spraw Iranu, by wykorzystać lub przyspieszyć upadek prestiżu Wielkiej Brytanii.

Wpływ Stanów Zjednoczonych dał się naprawdę odczuć dopiero od 1942 r., kiedy do Iranu przybyły — w okresie wojny — wojska amerykańskie na tej samej podstawie co wojska angielskie i radzieckie.

W 1939 r. Wielka Brytania produkuje dzięki Anglo-Iranian Oil Company 76 proc. całej ilości wydobycia nafty na Środkowym Wschodzie, gdy tymczasem Stany Zjednoczone — tylko 17 proc.

Zdając sobie sprawę, że jak długo Anglo-Iranian Oil Company rządzi politycznymi losami kraju, nie będą mogli nic zdziałać w Iranie, Amerykanie, począwszy od 1942 r. zaczęli nawiązywać intrygi, zmierzające do obalenia przewagi Anglii. Niebawem udzielili swego poparcia małej grup-

ce „frontu narodowego“ złożonej z siedmiu posłów do Medżlisu, której przywódcą był wielki właściciel ziemski, Mohammed Mossadik.

W 1950 r. robotnicy naftowi zapoczątkowali wielkie strajki w Abadanie. W całym kraju koła opinii demokratycznej i lewicowa Partia Ludowa Tudeh (działająca w podziemiu od lutego 1949 r.) wystąpiły z żądaniem nacjonalizacji przemysłu naftowego i przyznania Iranowi prawdziwej niepodległości. Stworzono Narodowe Stowarzyszenie do walki z imperializmem, którego zadaniem było poprowadzić tę narodową walkę aż do zwycięstwa. Wykorzystując tę wolę mas ludowych i strach, jaki wywołało w parlamencie zabójstwo generała Razmari, premiera rządu, Mossadik przeprowadził 15 marca 1951 r. wszystkimi głosami posłów Medżlisu nacjonalizację irańskiego przemysłu naftowego. Następnie zostały zerwane stosunki dyplomatyczne z Anglią.

Odtąd rozmowy między Anglią, Stanami Zjednoczonymi i Iranem, zmierzające do uregulowania „po przyjacielsku“ problemu nacjonalizacji irańskiego przemysłu naftowego, nie dawały żadnych rezultatów. Anglia odmówiła uznania wyroku Trybunału Międzynarodowego w Hadze, który w procesie między Anglią a Iranem skłaniał się ku tezie irańskiej i sprzeciwiała się sprzedaży nafty irańskiej na rynkach światowych pod pretekstem, że Iran winien jest odszkodowanie za znacjonalizowanie „jej“ nafty.

A ponieważ Mossadik — mimo proponowanych ofert — nigdy nie wyraził zgody na sprzedaż nafty krajom demokracji ludowej, produk-

cja nafty spadła gwałtownie z 32 milionów ton w 1950 r. do 1 miliona ton w 1952 r., który zużytkowany został na potrzeby wewnętrzne i dla kilku klientów włoskich i japońskich.

Przez ten cały czas Stany Zjednoczone wysyłały swoich rzeczoznawców do różnych ministerstw w Teheranie i opracowały program „pomocy gospodarczej“ z tytułu Punktu IV. „Pomoc“ ta nic w praktyce nie przyniosła, natomiast stała się osławiona przez to, że doprowadziła do najoczywistej niepotrzebnego importu osłów z Cypru, oraz importu chorych kur, które zaraziły kury perskie i zdziesiątkowały perskie kurniki.

Podpisany został również tajny układ między Stanami Zjednoczonymi a rządem irańskim, pozwalający prezydentowi Stanów Zjednoczonych „wysyłać podoficerów i żołnierzy“ do Iranu. Układ ten otwierał drogę do okupacji wojskowej, która z jednej strony ułatwiała Amerykanom zagarnięcie nafty w Abadanie, a z drugiej odpowiadała planom „globalnej strategii“ Pentagonu. Ale ten projekt przekształcenia Iranu w amerykańską bazę strategiczną nie został jeszcze zrealizowany, a irańskie siły demokratyczne wielokrotnie w ciągu ubiegłych lat manifestowały wolę obrony swej nafty i przeciwstawienia się wszelkiemu nowemu zamachowi ze strony czy to Anglików, czy Amerykanów.

Wobec tej zdecydowanej woli mas irańskich, których przykład jest zdaniem imperialistów niebezpieczny dla sąsiednich krajów, jak Arabia Saudyjska, czy Irak — Stany Zjednoczone i Wielka Brytania dążą,

każde na swoją rękę, do umocnienia swoich pozycji.



W ciągu ostatnich trzech lat irańskie życie parlamentarne było jedynie odbiciem tych sprzeczności. Główna rozgrywka toczyła się między rządem a Mossadikiem. W lipcu 1952 roku szach chciał narzucić jako prezesa rady ministrów starego politycznego wygę Ghavama es Sultaneha. Wobec tej groźby siły demokratyczne udzieliły Mossadikowi swego poparcia i po trzech dniach krwawych walk doprowadziły do wycofania kandydatury Ghavama es Sultaneha. Ale Mossadik, nie okazując żadnej wdzięczności za tę pomoc, dalej prowadził politykę represji w stosunku do sił demokratycznych.

Opętany tą polityką, nie chciał brać pod uwagę ostrzeżeń, jakie otrzymywał od roku na temat spisku wojskowego, uknutego na dwo-

rze szacha. Niedawna wizyta amerykańskiego generała Schwarzkopfa w Teheranie zdawała się przyspieszać moment wykonania tego spisku. Jednak po próbie zamachu z 15 sierpnia i ucieczce szacha do Włoch, Mossadik nie przyjął propozycji Partii Tudeh, odmówił ogłoszenia republiki i zadowolił się rozpętanem nowych represji przeciw lewicy, wypuszczając jednocześnie na wolność elementy prohitlerowskiej organizacji faszystowskiej Sumka i grupy pan-irańskiej, utworzonych przez siostrę szacha, księżniczkę Ashraf.

Zbyt mało przekonany obrońca niepodległości narodowej, Mossadik okazał się zbyt słaby, by przeciwstawić się puczowi wojskowemu generała Zahedi i padł jego ofiarą. Nie potrafił ani dostatecznie dobrze zdradzać, ani dostatecznie dobrze służyć swemu krajowi.

Jaka będzie przyszłość Iranu? Pokażą nam to wydarzenia najbliższych miesięcy.



Dwie drogi Niemiec

JEAN - MAURICE HERMANN

NIEMCY, kraj o największej liczbie ludności i najbardziej uprzemysłowiony w Europie zachodniej, jest rozbity na dwie części, tak od siebie rozdzielone, jakby były dwoma wrogimi wobec siebie narodami. Niemcy okupowane są przez obce siły zbrojne. Posiadają jedynie prowizoryczny statut międzynarodowy.

A przecież wojna skończyła się osiem lat temu. Zdrowy rozsądek wskazuje, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie. Będzie ona coraz bardziej nie do przyjęcia w miarę, jak dorastać będą nowe pokolenia i zacierać się będą wspomnienia klęski III Rzeszy. Sytuacja ta stanowi poważną rewizjonistyczną propagandę nacjonalistycznej, dając jej w ręce dogodne powody do wysuwania żądań, uniemożliwia krajowi osiągnięcie zdrowej równowagi, musi stać się przyczyną zająć, a nawet konfliktów między Zachodem a Wschodem, których siły zbrojne stykają się na tej sztucznej linii demarkacyjnej, bardzo często porównywanej z 38 równoleżnikiem w Korei. Ale jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Istnieją tylko dwa możliwe rozwiązania. Albo rozwiązanie przy pomocy siły — wtedy jedna z dwóch części Niemiec po prostu wchłonęłaby dru-

gą, albo przez zjednoczenie, osiągnięte drogą rokowań na bazie zasady, która byłaby do przyjęcia przez zainteresowane strony. Tutaj również zdrowy rozsądek nie pozwala się wahać. Należy uczynić wszystko, by uniknąć pierwszego z tych rozwiązań. Oznaczałoby ono bowiem zderzenie między Wschodem a Zachodem i według wszelkiego prawdopodobieństwa — trzecią wojnę światową, gdyż nie można poważnie brać pod uwagę zwykłej kapitulacji jednej strony na rzecz punktu widzenia drugiej.

Ci, którzy mogli żywić tego rodzaju złudzenia, marząc o monopolu najstraszliwszej broni na świecie, muszą dzisiaj niewątpliwie poddać swe idee rewizji. Pozostają — czy kto chce, czy nie chce — rokowania.

Rokowania odpowiadają interesom wszystkich mocarstw okupujących Niemcy. Odpowiadają one tym Niemcom, którym nic nie przyjdzie z utrzymania status quo i mniej jeszcze z tego, gdyby kraj ich, który zaledwie dźwiga się z ruin, miał się przekształcić w pole bitwy.

Rokowania te pozostają w zgodzie z międzynarodowymi zobowiązaniami, gdyż Układ Poczdamski i Karta ONZ wyraźnie upoważniły cztery wielkie mocarstwa (Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Związek Ra-

dziecki i Francję) do przygotowania traktatu pokojowego, który by zapewnił pokojowe rozwiązanie problemu niemieckiego, gwarantując bezpieczeństwo wszystkich sąsiadów Niemiec, jak również ich własne. Wreszcie rokowania są bardziej realne niż kiedykolwiek dzięki obecnemu klimatowi odprężenia sytuacji międzynarodowej.

Rozejm w Korei pokazuje, że nawet długie i trudne rokowania mogą zawsze doprowadzić do konkretnych rezultatów. Wielkie nadzieje obudziło przemówienie Churchilla, zgodne w niektórych punktach z hasłami ruchu w obronie pokoju. A przecież Churchill w swoim czasie, wygłaszając przemówienie w Fulton, stał się jednym z pionierów zimnej wojny. Obecnie zaś wysunął żądanie zwołania konferencji wielkich mocarstw na najwyższym szczeblu bez warunków wstępnych w celu znalezienia środków umocnienia odprężenia międzynarodowego, mając w pierwszym rzędzie na myśli rozwiązanie problemu niemieckiego.

Ta nadzieja nie zagasła, ale spotkała się z gwałtowną reakcją przeciwników wszelkich rokowań. Problem niemiecki wszedł w decydującą fazę.

Związek Radziecki ponownie wysunął szczegółowe propozycje. Można dyskutować nad tym czy innym ich punktem, ale są one cenne co najmniej przez to, że istnieją i że dają możliwą podstawę do rozpoczęcia wymiany poglądów. Mówią one o zwołaniu w ciągu sześciu miesięcy konferencji pokojowej, w czasie której wszystkie kraje, które walczyły z Niemcami, podpisałyby traktat pokojowy, jak to się już od dawna stało w

odniesieniu do Włoch, Węgier, Bułgarii, Finlandii...

W ciągu tych sześciu miesięcy cztery wielkie mocarstwa przygotowałyby projekt traktatu, opracowany przy współpracy Niemiec. Jakich Niemiec? Związek Radziecki proponuje utworzenie prowizorycznego rządu, jednego dla obu części Niemiec, wyłonionego przez oba obecne rządy, które mogłyby zresztą przez pewien czas nadal administrować każde swoim obszarem.

Rząd prowizoryczny przygotowałby zjednoczenie Niemiec w praktyce, przede wszystkim wolne wybory, w których wyniku ukonstytuowałby się właściwy rząd.

Propozycja ta odpowiada na wszystkie mędrkowania propagandy, już z góry wysuwane na temat mniej lub więcej „wolnego” charakteru takich wyborów. Jakaż bowiem kontrola nad wyborami byłaby bardziej skuteczna niż kontrola władzy niemieckiej, reprezentującej zarówno tendencje Bonn jak i wschodniego Berlina? Można polegać na czujności każdej z nich, jeżeli chodzi o pilnowanie tego, co się będzie działo u drugiej, o wiele bardziej, niż na jakiegokolwiek zagranicznej komisji badawczej.

Co do charakteru samego traktatu Związek Radziecki ogranicza się do przypomnienia projektu, który wysunął 10 marca 1952 r. Jest to tylko projekt, tylko teza, którą jedna ze stron wysuwa rozpoczynając dyskusję z innymi stronami. Można sobie wyobrazić inne projekty, ale ten zasługuje na zbadanie tym bardziej, że jak słusznie zauważa nota radziecka, żaden z trzech pozostałych okupan-

tów nigdy nie wysuwał żadnego innego projektu.

Jakie są główne zasady projektu radzieckiego? Utworzenie zjednoczonych, niepodległych, demokratycznych i pokojowych Niemiec, zakaz działalności organizacji wrogich demokracji i pokojowi. Te Niemcy, których siły zbrojne byłyby ograniczone ściśle do potrzeb obrony, zobowiązałyby się nie uczestniczyć w żadnej koalicji lub sojuszu wojskowym skierowanym przeciw któremuś z dawnych aliantów i zasiadałyby w ONZ.

Z terytorium Niemiec, określonego granicami wytyczonymi w Poczdamie, byłyby w ciągu jednego roku ewakuowane wszystkie obce bazy. Usunięto by wszystkie obce bazy. Nie widać a priori, czemu tego rodzaju propozycje wydawałyby się nie do przyjęcia i rażące dla kogokolwiek, a jednak odmawia się wzięcia ich pod dyskusję, zwłaszcza jeżeli — jak wielu obrońców pokoju — wołałoby się, aby całkowite rozbrojenie Niemiec stało się początkiem rozbrojenia innych narodów. A jednak takie było dotąd — z różnych powodów — stanowisko krajów zachodnich, określone przez Stany Zjednoczone, za którymi poszła Francja i Wielka Brytania.

Kraje zachodnie nie wysunęły żadnej propozycji w sprawie przygotowania traktatu pokojowego przez cztery wielkie mocarstwa, ani w sprawie treści tego traktatu.

Ograniczyły się one do zaproponowania spotkania czterech ministrów spraw zagranicznych, których jedynym zadaniem byłoby zbadanie wstępnych warunków do odbycia po-

wszechnych wyborów w Niemczech i ich kontroli. Mówią one, że dopiero po utworzeniu jedyne go rządu ogólnoniemieckiego będzie można dyskutować nad traktatem pokojowym. To stanowisko — w zestawieniu z ich dyskusją co do formy przyszłego traktatu — musi niepokoić drugą stronę.

Wystarczy porównać ilościowy stosunek ludności obu części Niemiec i ich skład polityczny, by zauważyć, że rząd ogólnoniemiecki będzie najpierw rządem, na którego czele stać będzie partia prozachodnia. Wiedzą o tym i Związek Radziecki i Niemiecka Republika Demokratyczna i zgadzają się na konsekwencje takiej sytuacji za cenę utrwalenia pokoju, co świadczy o rzadko spotykanym szerokim poglądzie na rzeczy. Ale jakkolwiek prezentowałby się ten rząd ogólnoniemiecki, nie mógłby rządzić w Niemczech, podzielonych między czterech okupantów, prowadzących różną politykę.

Traktat pokojowy będzie zawarty bez trudności, gdy cztery mocarstwa okupacyjne dojdą do porozumienia, ale nie dojdzie do skutku bez tego porozumienia.

Jaka byłaby sytuacja Niemiec, jednocześnie zjednoczonych w wyniku wyborów, ale jeszcze podzielonych, jak się to dzieje teraz, na przeciwstawne sobie strefy okupacyjne? Taka sytuacja zagrażałaby właśnie wtedy, gdyby, jak to zaproponowały trzy zachodnie mocarstwa, zaczęto badać, czy istnieje zgoda co do zasadniczych punktów. Wyobraźmy sobie na przykład, że już po wyborach niemieckich jeden z okupantów oświadcza, że nie chce wycofać swoich

wojsk okupacyjnych? Albo, że cztery wielkie mocarstwa nie zgadzają się co do granic zjednoczonych Niemiec? Rokowania znalazłyby się w impasie. Nie byłoby traktatu. Napięcie zaostrzyłoby się, a komplikacje byłyby jeszcze gorsze niż teraz, kiedy przynajmniej w każdej strefie istnieje porozumienie między władzami lokalnymi a okupantami.

Ogólnoniemiecki rząd mógłby być wykorzystany przez jedno mocarstwo okupacyjne, lub grupę mocarstw okupacyjnych, z którymi porozumiałby się co do stwarzania trudności innemu mocarstwu w jego strefie. Sytuacja mogłaby stać się nie do zniesienia. Jeżeli nie chce się do tego doprowadzić, trzeba zachować ostrożność. A jeżeli chce się naprawdę osiągnąć kompromis, nie ma powodów, aby się zaraz do tego nie zabrać.

Inny jest pogląd kanclerza Adenauera. Niemcy i to Niemcy — nacjonaliści powinni być najbardziej gorliwymi zwolennikami jedności narodowej. Ale Adenauer od lat sprzeciwia się konferencji czterech wielkich mocarstw. Jeżeli zgodził się ostatnio na projekt zwołania takiej konferencji, by nie razić uczuć narodowych, uczynił to, jak powiedział 19 sierpnia w Godesbergu, „w celu obalenia złudzeń narodów świata co do pokojowych zamiarów Związku Radzieckiego“, a naprawdę po to, by pchnąć rokowania na ślepe tory.

Adenauer przeciwny jest wszelkim kontaktom z władzami Niemieckiej Republiki Demokratycznej, tak, jakby bez tych kontaktów możliwe było zorganizowanie wolnych wyborów, których się domaga i połączenie

stref. O ile rząd Niemieckiej Republiki Demokratycznej proponuje zrezygnować — nie ze swych ideałów, ale z szansy ich realizacji w ciągu najbliższych lat — w zamian za zjednoczenie, to Adenauer ze swej strony robi inne obliczenia. W zjednoczonych Niemczech mogliby rządzić socjaldemokraci, a w każdym razie w kołach chrześcijańskich katolicy staliby się mniejszością. Otóż Adenauer woli małe Niemcy katolickie od wielkich Niemiec protestanckich lub świeckich.

Podział kraju jest mu nawet na rękę, bowiem wzmacnia szowinistyczną i odwetową prawicę, której poparcie jest konieczne dla polityki krucjaty, z którą związał swe losy. Jedność? Zapewne mówi o niej i pragnie jej, tak jak Li Syn-man chciałby zjednoczenia Korei przez włączenie Korei Północnej do Południowej i ustanowienia nad całością reżimu, wykluczającego komunistów i organizacje demokratyczne, pod ochroną wojsk amerykańskich, które mocą traktatu pozostawałyby tam sine die.

Siła Adenauera polega na tym, że te poglądy zbiegają się na nieszczerście z poglądami klanu, który kieruje obecnie polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych. To ci ludzie dali mu władzę. Niemcy zachodnie, ich generałowie i ich fabryki, których są współwłaścicielami — są głównym oparciem dla ich strategii na kontynencie. O ile noty obecnych władców Waszyngtonu milczą na temat ich koncepcji traktatu pokojowego z Niemcami, o tyle oficjalne ich przemówienia są bardzo wymowne. „Europejska wspólnota obronna“ ma

uzbroić Niemcy zachodnie w bloku atlantyckim i utrzymywać ich okupację przez pięćdziesiąt lat. Zjednoczenie Niemiec dokonać się może jedynie drogą wchłonięcia całych Niemiec do tej „wspólnoty“.

Waszyngton popiera rząd boński, w którym rolę przeważającą w coraz większym stopniu odgrywa przemysłowa i wojskowa prawica, rząd który wypuścił na wolność kandydata na hitlerowskiego führera, Naumanna, rząd, który zdelegalizował związek ofiar hitlerizmu i przygotowuje się do tego, by wkrótce po wyborach zdelegalizować partię komunistyczną.

Taka podstawa do rokowań ze Wschodem nie jest możliwa, toteż nie chcą oni na ten temat dyskutować. Jakże zatem Adenauer i J. F. Dulles zamierzają urzeczywistnić zjednoczenie Niemiec? W sposób, który J. F. Dulles nazywa „dynamiką wyzwalań“. Przedsmak tego daje rozpętanie rozruchów w Berlinie w dniu 17 czerwca br. i „wojna paczkowa“ w Berlinie. Mają oni nadzieję, że doprowadzą do upadku Niemieckiej Republiki Demokratycznej, że zmuszą Związek Radziecki do wycofania z niej swych wojsk, z czego nie omieszkaliby skorzystać. Jest to niebezpieczna gra i absurdalne uroje-
nie.

Co pokazały wydarzenia czerwcowe? Że Niemiecka Republika Demokratyczna nie dysponuje 400.000 czy 500.000 zmilitaryzowanych policjantów, wyposażonych w czołgi, których widmo posłużyło za pretekst do żądań remilitaryzacji Niemiec zachodnich, ale także, że olbrzymia większość ludności nie poszła za prowo-

dyrami, inaczej porządek nie zostałby tak szybko i z tak niewielkimi stratami przywrócony.

Ostatnie kroki Związku Radzieckiego wobec Niemieckiej Republiki Demokratycznej położyły kropkę nad „i“. Dokonując wobec NRD koncesji gospodarczych, do których wzywał w swojej nocie do mocarstw zachodnich w odniesieniu do całych Niemiec, Związek Radziecki podkreślił, że notę tę traktuje poważnie. Wymieniając ambasadorów z Niemiecką Republiką Demokratyczną, Związek Radziecki pokazuje, że nie zamierza jej zaniedbać, ani nie pozwoli traktować jej lekceważąco w porównaniu z rządem bońskim.

Wreszcie Związek Radziecki daje do zrozumienia, że jest to ostatnia szansa i że jeżeli Zachód nadal będzie z uporem odrzucał dyskusję, krępował inicjatywę pokojową i przyspieszał remilitaryzację Niemiec zachodnich, będzie zmuszony zgodzić się na podział Europy i pomoże Niemieckiej Republice Demokratycznej zająć miejsce wśród krajów demokracji ludowej.

Związek Radziecki nie skapitułuje i Niemiecka Republika Demokratyczna nie „upadnie“. „Zjednoczenie“, widziane oczami panów Dullesa i Adenauera, mogłoby się dokonać jedynie siłą, to znaczy poprzez wojnę. Wiedzą o tym, ale mimo to nie rezygnują.

Oto, jak wygląda sytuacja.

Niemcy, jak stwierdził G. Malenkov, mają przed sobą dwie drogi. Albo pokojowa współpraca ze wszystkimi ich sąsiadami w dobrobycie i bezpieczeństwie, albo odrodzenie militarizmu, który dwukrotnie raz po

razie doprowadził je do najstraszniejszej katastrofy.

Zrozumiało to wielu Niemców nie tylko w Niemieckiej Republice Demokratycznej, ale i w Niemczech zachodnich, gdzie potężniejszy prąd opinii na rzecz rokowań między czterema wielkimi mocarstwami. Nawołuje do nich wielu socjalistów, partia b. kanclerza katolickiego Wirtha, komuniści, zwolennicy b. ministra spraw wewnętrznych Heinemanna.

Opinia prostych ludzi może zdziałać bardzo wiele. Ona to — szczególnie w Anglii i w Stanach Zjednoczonych — przyczyniła się do narzucenia rozejmu w Korei. Mniej rzucające się w oczy, ale równie ważne jest

zwycięstwo, które opinia publiczna odniosła we Francji, nie dopuszczając od blisko półtora roku do ratyfikacji układów z Bonn i z Paryża, które doprowadziłyby do remilitaryzacji Niemiec zachodnich i do likwidacji wszelkiej nadziei na porozumienie w sprawie pokojowego uregulowania problemu niemieckiego.

Zwolennicy wojny w Stanach Zjednoczonych grożą bezpośrednim uzbrojeniem Bonn. Jest to niemożliwe bez Francji, mocarstwa okupacyjnego, równoprawnego ze Stanami Zjednoczonymi i bez terytorium i portów francuskich. Francja ma w ręku środki, przy pomocy których może zmusić do rokowań.

Cztery dywizje niemieckie we Francji

THEODOR Blank, odpowiedzialny za sprawy „bezpieczeństwa“ w rządzie bońskim, oświadczył 31 grudnia 1952 r.:

„Mam nadzieję, że Niemcy nadzornie będą mogły wysłać kilka jednostek wojskowych do innych krajów wspólnoty europejskiej, aby do żołnierzy tych mógł przeniknąć duch zjednoczonej Europy“.

Życzenie, wyrażone przez Blanka w wigilię Nowego Roku, wydaje się już w tej chwili nie tak bardzo platoniczne. Dowiadujemy się z Bonn, że plan rozmieszczenia jednostek przyszłej „armii europejskiej“ był dyskutowany w lipcu w Stanach Zjednoczonych przez kierownictwo armii amerykańskiej (byli tam: Wilson oraz generałowie Bradley, Grünther i Ridgway) i delegację Niemiec zachodnich (z udziałem Blanka i generała Heusingera).

Proponuje się, aby na terytoriach innych krajów członkowskich rozmieścić jednostki wojskowe każdego kraju, należącego do „europejskiej wspólnoty obronnej“. Zdaniem autorów tego planu, byłby to wygodny sposób przekształcenia „armii europejskiej“ w „armię zdenacjonalizowaną“ słuchającą bez zastrzeżeń rozkazów dowództwa atlantyckiego. Jednostki te uczestniczyłyby w tym co się nazywa „obroną tyłów“, tworząc pomocnicze siły policyjne w krajach okupowanych, gdyby wybuchły w nich „nieporządki“.

Część tego planu przewiduje, że sześć z dwunastu przewidzianych dywizji niemieckich stacjonowałoby na zachód od granic Niemiec zachodnich: jedna w Belgii, druga w Holandii, a cztery we Francji.

Plan ten ma być wprowadzony w życie po ratyfikacji przez państwa Europy zachodniej traktatu o „europejskiej wspólnocie obronnej“ — jeżeli kiedykolwiek do tego dojdzie.

NA OSI Waszyngton-Bonn

WŁADYSŁAW SZCZERBIC

DNIA 19 sierpnia, a więc na krótko przed wyborami parlamentarnymi, które odbyły się w Niemczech zachodnich 6 września br., burżuazyjny dziennik zachodnio-niemiecki „Die Welt” pisał:

„Jest tajemnicą poliszynela, że w Stanach Zjednoczonych, które obecnie bardzo się interesują wyborami w Niemczech zachodnich, Adenauer cieszy się dużymi sympatiami... Nie jest również dla nikogo tajemnicą, że rząd amerykański chce kontynuować dotychczasowy kurs swej polityki w Europie, której główną podstawą jest europejska wspólnota obronna. Polityka ta opierała się dotąd na trzech wielkich europejskich mężach stanu: na Robercie Schumanie, Alcide de

Gasperim i Adenauerze. Tylko jeden z tych trzech — Adenauer — zachował jeszcze swój urząd i godności. Ameryka spodziewa się więc, że nie utraci również i tego partnera”.

Dla zmaterializowania tej „nadziei” rząd amerykański uczynił bardzo wiele. Uciekł się do takich „argumentów” wyborczych na rzecz Adenauera, jak osobiste listy prezydenta Eisenhowera do kanclerza odwoławców z Bonn, jak przyrzeczenie wyekwipowania przez USA 12 dywizji nowego Wehrmachtu, jak wypuszczenie z więzień nowej porcji hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, jak wreszcie ogłoszona tuż przed wyborami deklaracja sekretarza stanu USA Dulles, stanowiąca jawną ingerencję w wewnętrzne sprawy narodu niemieckiego.

Nie poskąpił swego poparcia kłice Adenauera i Watykan. Najwyżsi dostojnicy katolickiej hierarchii kościel-

nej w Trizonii uczestniczyli czynnie w kampanii wyborczej. Przekształcili oni ambony w trybuny wiecowe, a pielgrzymki wiernych i błogosławione przez papieża zjazdy religijne — w manifestacje polityczne na rzecz Adenauera. Biskupi Trizonii ogłosili list pasterski, grożąc wiernym ogniem piekielnym, jeśli nie będą głosować na listy wyborcze adenauerowskiej koalicji, która skupia najbardziej odwetowe elementy zachodnio-niemieckiej reakcji.

W jednej z bawarskich miejscowości, Matzenhausen, wystąpił w kościele proboszcz Leonhardt Modlmeier, oświadczając m. in.:

„Musimy znów posiadać wojsko. Potrzebne nam są dywizje, przewidziane w układzie o europejskiej wspólnocie obronnej. Możemy je mieć tylko wówczas, jeśli wybierzemy 6 września dra Adenauera. Z chwilą gdy będziemy mieli te dywizje — Amerykanie będą mogli z powodzeniem rozpocząć wojnę. Wszyscy weźmiemy wówczas broń do ręki i pomaszerujemy razem z Amerykanami przeciwko Wschodowi“.

Adenauer nie mógł się również skrzyżnić na skąpstwo swoich mocodawców. Jego kasy wyborcze zasilili monopolści Trizonii poważną sumą w wysokości 45 milionów marek. Amerykański komisarz Conant dołożył 6 milionów marek. Puszczone na pełne obroty oszukańcza propaganda, uzupełniona pałkami policyjnymi i innymi środkami terroru, dokonała reszty. „Pod naciskiem bezprzykładnego terroru, w atmosferze bezwzględnych prześladowań i w warunkach jawnej interwencji imperialistów amerykańskich — ludność Niemiec zachodnich

powzięła fałszywą decyzję“ — pisał organ Komunistycznej Partii Niemiec „*Freies Volk*“.

Chrześcijańsko-demokratyczna partia Adenauera, CDU uzyskała 244 mandaty na ogólną liczbę 287, czyli posiada obecnie absolutną większość w bawarskim Bundestagu.

Stało się rzeczą jasną, że zwycięstwo wyborcze Adenauera powiększa napięcie sytuacji w Europie, że utrudnia ono poważnie załatwienie najważniejszej sprawy na naszym kontynencie, sprawy pokojowego uregulowania problemu niemieckiego.

Amerykańscy reżyserzy „zimnej wojny“ i organizatorzy paktu atlantyckiego powitali z radością sukces ich bawarskiego pupila. „Zwycięstwo wyborcze CDU wzmocni stosunki niemiecko-amerykańskie“ — oświadczył przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych USA senator Wiley. Sam zaś prezydent Eisenhower wyraźnie sprecyzował agresywne cele tej współpracy, stwierdzając w swoim telegramie gratulacyjnym do Adenauera: „Rząd USA z radością wita perspektywę dalszej współpracy z Republiką Federalną, współpracy zmierzającej do wzmocnienia wolnej Europy i wspólnoty atlantyckiej. Gotowość rządu amerykańskiego do współpracy dotyczy zarówno dziedziny politycznej, jak i gospodarczej, wspólnej obrony, zjednoczenia Niemiec i obalenia reżimu w Niemczech wschodnich“.

Jasne, niedwuznaczne. Prezydent Stanów Zjednoczonych osobiście zapewnia szefa trizoińskich militarystów o gotowości całkowitego poparcia dla realizacji ich agresywnych celów. Zachęca ich wprost do zbrojnego ataku

na Niemiecką Republikę Demokratyczną.

Zresztą Adenauer nie potrzebował nawet tej zachęty. Już wieczorem 7 września, na olbrzymiej manifestacji zorganizowanej na wzór hitlerówki, oświadczył: „*Ludność Niemiec zachodnich nie powinna myśleć kategoriami zjednoczenia Niemiec, lecz wyzwolenia Wschodu. Naszym celem jest wyzwolenie 18 milionów Niemców w radzieckiej strefie okupacyjnej... Ale cel ten możemy osiągnąć jedynie wraz z naszymi przyjaciółmi*”.

Tak więc Adenauer już zupełnie wyraźnie sprecyzował cele, w imię których odbudowuje za amerykańskie dolary hitlerowski Wehrmacht, w imię których Niemcy zachodnie mają pełnić rolę głównego filara agresywnej „wspólnoty atlantyckiej” i głównej bazy agresji w Europie.

Zresztą nie zamierza on ograniczyć się do „wyzwolenia” NRD. Chciałby „wyzwolić” również i Polskę, „wyzwolić” z rąk robotników i chłopów polskich, oddać znów pod komendę hitlerowskich generałów i zbirów z SS. W specjalnym wywiadzie udzielonym amerykańskiej agencji „Associated Press” Adenauer nawiązuje do kon-szachtów kluki bońskiej z niedobitkami „polskiej” emigracji i wysuwa projekt przekształcenia naszych Ziem Zachodnich w „kondominium polsko-niemieckie”.

Prasa Niemieckiej Republiki Demokratycznej ostro napiętnowała te agresywne majaczenia bońskiego fuhrera. „Adenauer daje jawnie do zrozumienia — pisał dziennik „Neues Deutschland” — że identyfikuje się z programem Dullesa, z programem militarnej inter-

wencji i wskrzeszenia reakcyjnych rządów w krajach demokracji ludowej”.

Zresztą nie tylko na Wschód kieruje Adenauer i jego klika swoje pożądliwe apetyty. W Bonn rozlegają się coraz głośniejsze wezwania do „uporządkowania” problemu Zagłębia Saary, które znajduje się obecnie we władaniu Francji. Opinia publiczna krajów Europy zachodniej pamięta zresztą słowa Eisenhowera wypowiedziane w czasie zeszłorocznej kampanii wyborczej na prezydenta USA: „*Nie zgadzam się z tymi, którzy uważają, że armia niemiecka powinna być silna tylko dla krzyżowego pochodu przeciw Wschodowi, a zarazem słaba dla marszu przeciw Zachodowi. W naszym interesie leży — to jest nasze zadanie — uczynić tak, aby armia niemiecka mogła wyruszyć w tym kierunku, jaki my, Amerykanie, uznamy za konieczny*”.

Obecnie Adenauer bardziej niż kiedykolwiek stał się głównym amerykańskim oparciem w Europie zachodniej. I właśnie perspektywą wyłącznego oparcia się na Trizonii rząd USA szantażuje inne kraje Europy zachodniej, a zwłaszcza Francję, celem wymuszenia ratyfikacji i realizacji układu o tzw. „europejskiej wspólnocie obronnej”. „*Niemcy uchodzą za Oceanem za wzór działalności, którą wieńczy powodzenie — pisze amerykański dziennik „New York Herald Tribune” z 11 września. — Francja natomiast uchodzi za kraj nieco staromodny, frywolny i perwersyjny... Jeśli Francja nie zdecyduje się na szybką ratyfikację układu o armii europejskiej — grozi wspomniane pismo — niewątpliwie utraci ona prawo do pretendowania do roli kierowniczej*”.

Adenauer zresztą już stawia Francji swoje własne żądania i swoje własne warunki. W rozmowie z wysokim komisarzem francuskim w Bonn, Francois Poncet zażądał on, aby Francja ratyfikowała układ o „armii europejskiej“ w ciągu trzech miesięcy. Oficjalne czynniki bońskie podkreślają, że w razie niemożności utworzenia „armii europejskiej“ Trizonia winna być włączona bezpośrednio do paktu atlantyckiego. Aby jednak „nakłonić“ rząd francuski do bezwarunkowego spełnienia życzeń osi Waszyngton — Bonn, Adenauer proponuje utworzenie „biura niemiecko-francuskiego“ dla ustalania „wspólnej polityki zagranicznej Niemiec zachodnich i Francji w celu wywarcia wpływu na kierunek francuskiej polityki zagranicznej“.

Te bezczelne żądania dolarowego kanclerza z Bonn wywołały zrozumiałe oburzenie we Francji. Prawicowy senator Debre ogłosił na łamach pisma „*Information*“ artykuł, w którym występuje przeciw ratyfikacji układu o „armii europejskiej“ i stwierdza m. in.: „Armia europejska stworzy sytuację niedopuszczalną i dramatyczną dla Francji. Jaki cel ma przed sobą „armia europejska“, która w rzeczywistości byłaby Legionem Cudzoziemskim o przewadze niemieckiej i pod dowództwem amerykańskim? Celem tym byłby podbój terenów wschodnich. Jest to prawdziwy koszmar!“ Zaś skrajnie reakcyjny dziennik francuski „*Aurore*“ pisze z goryczą: „Niemcy naprawdę zbyt szybko sobie poczynają. Wystosowali oni swego rodzaju ultimatum do Francji... Niemcy kanclerza Adenauera winny jednak pamiętać, że są jeszcze w mocy porozumienia wynika-

jącego z ich kapitulacji. Domagamy się, aby porozumienia te były dotrzymane“.

Jak więc widać, dziś nawet skrajnie reakcyjna prasa burżuazyjna zaczyna „przypominać“ sobie, że istnieją układy zabraniające remilitaryzacji Niemiec, że istnieje Układ Poczdamski, który przewiduje, że „militaryzm i narodowy socjalizm niemiecki będą wyrwane z korzeniem“. Ale przecież właśnie polityka rządów Francji i Anglii walcnie dopomogła amerykańskim protektorom Adenauera w pogwałceniu tych układów, w rozbiciu Niemiec i w rozdmuchiwaniu zarzewia agresji w Trizonii.

Obeonie również w Anglii podnoszą się głosy protestu przeciw pasowaniu Adenauera przez USA na „głównego męża stanu“ w Europie zachodniej. Były labourzystowski minister obrony Shinwell oświadczył, że zwycięstwo wyborcze Adenauera stanowi „ewentualne zagrożenie pokoju w Europie“ i wezwał naród angielski do zachowania czujności wobec polityki Bonn. Angielski dziennik „*Daily Mail*“ ostrzega, że „możemy spotkać się z coraz bardziej rosnącą pewnością siebie Niemców, a to wobec mnożenia się oznak upadku politycznego we Francji i Włoszech oraz faktu, że nadzieje USA będą się wiązać prawdopodobnie coraz bardziej z odradzającymi się Niemcami“. Oczywiście, to co redaktor „*Daily Mail*“ nazywa „upadkiem politycznym we Francji i Włoszech“ oznacza po prostu przegnięcie podstaw panowania reakcyjnych rządów, oznacza wzrost woli walki narodów tych krajów przeciw amerykańskiemu dyktatowi, o niepodległość i o pokój. To zaś, co w języku „*Daily Mail*“ nazywa się „odrodzeniem Niemiec“ — ozna-



Adenauer: — No, teraz stanęłem mocno na nogach!

Rys. JANTAR

cza nic innego, jak odrodzenie ducha faszystwu i militarystwu, ducha odwetu i agresji, tego wszystkiego, na co stawiają amerykańscy reżyserzy agresji i co tak bardzo cenią u ich bońskich partnerów.

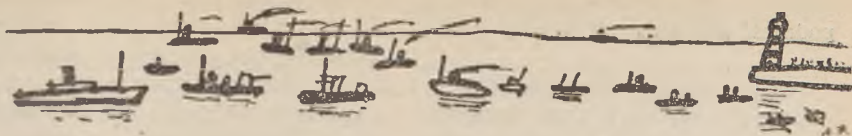
Nie wolno jednak zapominać, że i w Niemczech zachodnich władza amerykańskiego pupila Adenauera nie opiera się na zupełnie pewnych podstawach. Ze mimo rozgłasy propagandy i terroru, na liście partii opozycyjnych padło 9 milionów głosów. Ze wreszcie agresywna polityka rządu Adenauera otwiera oczy coraz szerszym kręgom zachodnio-niemieckiej opinii publicznej, która zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie kryje w sobie ta polityka dla samego narodu niemieckiego.

I nie wolno zapominać, że istnieje i północnie z dniem każdym Niemiecka

Republika Demokratyczna, ośrodek walki o zjednoczenie Niemiec na podstawach demokratycznych i pokojowych, że walka ta jest dziś naczelnym hasłem wszystkich narodów Europy, że niezłomnym heroldem tej walki jest Związek Radziecki, to niezwykłe mocarstwo, które położyło kres majaczeniom Hitlera o panowaniu w Europie.

Naród polski zdaje sobie w pełni sprawę, że agresywne knowania na osi Waszyngton — Bonn, knowania cieszące się poparciem Watykanu, zagrażają bezpośrednio naszemu bezpieczeństwu, całości granic naszego kraju. I dlatego naród nasz popiera z całego serca wszystkie posunięcia zmierzające do pokojowego zjednoczenia Niemiec, do zlikwidowania w Niemczech zachodnich ogniska agresji, które grozi wzniesieniem płomienia wojny w Europie.





Argentyna chce eksportować

MAURICIO BIRGIN

ARGENTYNA jest zasadniczo krajem eksportującym. Problem międzynarodowej wymiany handlowej ma dla nas niesłychanie wielkie znaczenie zarówno jeżeli chodzi o dobrobyt naszego narodu, jak i o nasz rozwój jako niepodległego państwa.

Nasz handel zagraniczny w coraz większym stopniu staje się monopolem jednego kraju kupującego. W rezultacie nasze zakupy wzrastają lub maleją nie w zależności od naszych własnych potrzeb, ale zależnie od potrzeb, wygod i wyboru tego jednego kupującego.

W ten sposób fundusze, które moglibyśmy czerpać z handlu zagranicznego, są zablokowane i nie można ich wykorzystać na zakup towarów, potrzebnych dla rozwoju naszej gospodarki. Fakt ten, w połączeniu z dewaluacją naszego pieniądza, pociągnął za sobą wielkie straty w dewizach. W tych warunkach, kraj nasz za dewizy, którymi dysponuje, może kupić w przybliżeniu tylko połowę artykułów, które by mógł uzyskać w dogodnym momencie.

Kraj nasz uzależniony jest od zmiennych potrzeb swego klienta. Stany Zjednoczone zatrzymały np. ostatnio magazynowanie wełny. Cena tego artykułu wydatnie spadła na rynkach światowych. Na skutek tego w Argentynie nagromadziły się wielkie zapasy wełny i chcąc je upłynnić, rząd argentyński zmuszony był przeprowadzić dewaluację pieniądza w odniesieniu do walut krajów kupujących, co w sumie przyniosło wielką stratę w dolarach.

Niebezpieczeństwo posiadania jednego tylko klienta daje się odczuwać nawet wtedy, kiedy kraj ten kupuje wielkie ilości towarów. Pamiętamy, jak w swoim czasie Amerykanie kupowali niemal całą naszą wełnę, co w następstwie wywołało trudności w naszym przemyśle włókienniczym, pozbawionym w ten sposób surowców.

Musimy zatem starać się skończyć z gospodarką wojenną i przejść do nieograniczonej światowej współpracy gospodarczej. Pozwoli nam to uczynić naszą gospodarkę, przy-

spieszyć nasz rozwój przemysłowy, podnieść poziom życia naszego narodu.

Jak już powiedziałem, jesteście w pierwszym rzędzie krajem eksportującym. Eksportujemy ponad jedną trzecią całej naszej produkcji. Jest rzeczą oczywistą, że w świecie, liczącym pięćdziesiąt milionów istot niedożywionych, produkty nasze można by łatwo upłynnić. I wzajemnie — moglibyśmy zwiększyć ich ilość, gdybyśmy mieli możność zaopatrzyć się w towary, niezbędne dla naszej gospodarki.

Od bardzo wielu lat jednym z głównych artykułów naszego eksportu było mięso. Głównym rynkiem zbytu dla naszego mięsa był rynek angielski. Wielka Brytania narzuciła dla swoich zakupów wręcz złoje warunki, oferując ceny niższe od cen rynku wewnętrznego.

Tradycyjna polityka rządów oligarchicznych wolała utrzymać za wszelką cenę rynek angielski, poświęcając interesy ogólne naszej gospodarki. Tę samą politykę prowadzi nasz rząd obecnie.

Poza samym mięsem możemy eksportować jego produkty uboczne. Argentyna posiada niesłychanie rozwinięty przemysł chłodniczy, który chwilowo przechodzi ciężki kryzys. Na skutek braku zamówień tysiące robotników utraciło pracę. Wymiana handlowa na skalę światową może przewyciężyć takie właśnie trudności: kiedy miliony ludzi cierpią głód, w argentyńskim przemyśle chłodniczym panuje bezrobocie!

Argentyna posiada również wielką obfitość skór. W ciasnych ramach, w których dusi się handel argentyński,

nie mają one zbytu. Nasi producenci artykułów skórzanych ponieśli wielkie straty, a przecież mogliby uzyskać bardzo korzystne ceny.

Związek Radziecki kupował nasze skóry. Ale jakkolwiek Argentyna utrzymuje stosunki dyplomatyczne z tym krajem, stosunki handlowe niemal nie istnieją.

Argentyna, typowy kraj rolniczy, jest wielkim eksporterem roślin zbożowych. Wielkie obszary ziemi ornej umożliwiają uprawę na szeroką skalę. Mechanizacja naszego rolnictwa mogłaby wielokrotnie zwiększyć naszą obecną produkcję. Potrzeba nam traktorów, dużo traktorów. Ale na skutek takiej a nie innej polityki gospodarczej naszego rządu, otrzymaliśmy tylko 900 traktorów z Czechosłowacji — o połowę taniej, niż kosztują traktory amerykańskie — które nasi rolnicy natychmiast rozkupili.

Jesteśmy również eksporterami lnu i oleju lnianego. Ale w ciągu ostatnich lat cena oleju lnianego znacznie spadła z braku kupców w zbyt małej liczbie krajów, z którymi pozostajemy w stosunkach handlowych.

Argentyna jest słabo uprzemysłowiona. W ciągu ostatnich lat rozwinął się przemysł lekki — włókienniczy i spożywczy. Ale pilnie potrzebne nam są maszyny. Otóż wielka ilość krajów mogłaby nam je dostarczyć, co pozwoliłoby nam rozwiązać trudne problemy, stojące na przeszkodzie w rozwoju naszej gospodarki.

Dysponujemy wielkimi rezerwami ropy, ale brak nam wyposażenia wiertniczego. Jak dalece go nam brak, świadczy fakt, że nasza produkcja ropy nie wystarcza nam nawet na pokrycie naszych własnych

potrzeb i musimy importować ją ze Stanów Zjednoczonych. Podczas gdy kraj ten odmawia nam dostarczenia potrzebnego wyposażenia, by nie dopuścić do ewentualnej konkurencji z naszej strony, Związek Radziecki wysunął konkretne propozycje, oferując nam niezbędne maszyny i sprzęt w zamian za nasze produkty.

Potrzebujemy wszelkich typów maszyn, jakich mogą nam dostarczyć kraje o rozwiniętym przemyśle w zamian za nasze własne produkty. Oto przykład: Czechosłowacja buduje nam destylarnię alkoholu w zamian za produkty naszej ziemi.

Potrzebujemy materiału i maszyn rolniczych, motorów wszelkich typów, jak również materiału dla kolei żelaznych. Koleje nasze kupiliśmy od Anglików za bardzo wysoką cenę, o wiele ponad ich realną wartość, jakkolwiek były w złym stanie. Musimy je zatem reperować, a nie możemy tego robić z powodu braku dewiz.

Potrzebujemy wreszcie rud i metali oraz wszelkiego sprzętu, niezbędnego dla gospodarczego rozwoju kraju, który nie ma ciężkiego przemysłu.

Radziecka delegacja handlowa z przewodniczącym Instytutu Handlu Zagranicznego przybyła w dniu 5 sierpnia do Buenos Aires, gdzie podpisała układ handlowy z Argentyną na sumę 200 milionów dolarów. Jest to poważna suma. Produkty, przewidziane w wymianie — to przeważnie te, o których była mowa w tym ar-

tykule. Sądzymy, że podpisanie tego układu i lojalne wypełnienie jego warunków muszą przynieść wielkie korzyści naszemu narodowi.

Oto przykład, który winniśmy naśladować. Wyjść spod zależności od bloku amerykańskiego, handlować ze wszystkimi krajami, niezależnie od formy ich rządów, byleby tylko były skłonne kupować nasze produkty i dostarczać nam artykułów, potrzebnych do rozwoju naszej gospodarki.

Argentyna przechodzi poważny kryzys gospodarczy, którego skutki możemy złagodzić otwierając rynek światowy. Nie możemy pozostawać nadal uzależnieni od jednego bloku kupującego. Problem dewiz ogranicza i dusi możliwości handlowe naszego kraju. Eksportować, by móc kupować — oto życiowy dla nas problem. Przywrócenie normalnego handlu światowego ma dla naszego kraju podstawowe znaczenie. Poza tym musiałoby to także być korzystne dla handlu i przemysłu wszystkich krajów.

Obecna sytuacja międzynarodowa stwarza sprzyjające warunki dla rozwoju handlu światowego. Musimy zapewnić zwycięstwo duchowi rokowań, aby ocalić ludzi przed okropnościami wojny. A zwycięstwo ducha rokowań przyniesie ze sobą otwarcie rynku światowego. Dla nas będzie to miało największe znaczenie, ponieważ w ten sposób będziemy mogli wyzwolić się z zależności od gospodarki, która paraliżuje nasz rozwój jako niepodległego kraju.



Zagadnienie bezpłodności

DR YVETTE
SALOMON-BERNARD



S POLECZENSTWO dzisiejsze, z przyczyn psychologicznych mniej lub więcej uzasadnionych, uważa kobiety za jedynie odpowiedzialną za niepłodność małżeństwa. W rzeczywistości zaś bardzo często małżonek winien jest takiemu stanowi rzeczy, a tylko pycha męska nie chce uznać swej winy.

Celem dokładnego rozsądzenia tych sprzeczności, konieczne jest szczególnie w medycynie poznanie stanów i zjawisk normalnych (fizjologicznych) i nienormalnych (patologicznych).

Prześledzimy więc całą długą drogę plemnika (spermatozoid) i jajka (ovulum) odbytą celem spotkania się pojedynczych komórek tj. zapłodnienia.

Mężczyzna wytwarza od wieku pokwitania do końca życia plemniki z najprymitywniejszych komórek

czyli spermatogony w jądrach. Stąd plemniki poprzez liczne i długie kanałiki przebiegają do grubszej rurki (długości około 5 cm.) do tzw. nadjądra, po czym przez dwa kanałiki nasienne (długości 40 cm.) dostają się do jamy brzusznej w pobliżu gruczołu sterczowego do dwu pęcherzyków nasiennych gdzie się zbierają. Podczas aktu płciowego lepki płyn wytwarzany przez gruczoł sterczowy łączy się z plemnikami i zostaje złożony w pochwie.

Plemniki są to niewielkie komórki zaopatrzone wityką i obdarzone ogromną ruchliwością. Ilość ich jest bardzo duża, 1 cm³ zawiera 60 — 120 milionów plemników.

Inaczej u kobiety. Młoda dziewczyna od wieku pokwitania posiada jąc zbiornik jajek tzw. jajnik wydziela jedno jajko w 14-tym dniu swego okresu miesięcznego. Jajko to

dostaje się do jajowodu (tuba Fallopa), który prowadzi do macicy. Są dwa jajniki i dwa jajowody, wchodzące po obu stronach macicy. Macica jest narządem nieparzystym, formy gruszkowatej, cieńszą częścią umieszczona w dnie pochwy.

Jajnik wydziela dwa różne hormony. Przez 14 dni, do czasu wydzielania jajka, wydziela folliculinę, następnie 14 dni hormon luteinowy. Działanie tych hormonów na błonę śluzową macicy powoduje co 28 dni złuszczenie nabłonka śluzówki macicy wraz z krwawieniem, w razie zapłodnienia zaś przygotowanie śluzówki macicy do zatrzymania zapłodnionego jajka.

Podczas całego 28-dniowego okresu jajko wydzielone przez jajnik przedostaje się przez jajowód do macicy, gdzie oczekuje zapłodnienia. Plemniki złożone w głębi pochwy grawitują w kierunku części pochwowej macicy, której chemizm je przyciąga. Wszystkie plemniki, które zostaną w pochwie, giną z powodu odczynu kwaśnego, jaki tam istnieje.

Ta dążność plemników do jajka jest selekcją najsilniejszych, najruchliwszych plemników, które pokonać muszą nieprzyjazne środowisko pochwy, dostać się do macicy i tam odnaleźć jajko biernie czekające. Wokół jajka istnieje ruch i walka, gdyż duża ilość plemników stara się dotrzeć do niego, choć wiemy że może się dostać tylko jeden plemnik. Jednak warto zaznaczyć, że istnieje w tej walce czynność zespolowa. Plemniki wytwarzają pewną substancję zwaną hyaluronidazą, która powoduje osłabienie otoczki

jajka. Tylko jednemu plemnikowi udaje się przebić otoczkę i dostać się do komórki jajka. W ten sposób następuje zapłodnienie. Od tego momentu jajnik wydziela luteinę. Komórki wypełniające miejsce w jajniku po wydzieleniu jajka tworzą ciałko żółte. To ciałko żółte wywiera przez 4 miesiące działanie zapewniające istnienie ciąży do czasu wytworzenia się łożyska w macicy, która obejmuje funkcję odżywiania płodu. Śluzówka macicy pod wpływem luteiny pomaga umocnieniu się jaja płodowego w macicy mniej więcej w ciągu tygodnia po zapłodnieniu. Następnie zapłodnione jajko w macicy przechodzi w ciągu 9 miesięcy przeobrażenia w płód (embrion), umieszczony w błonach płodowych w macicy, utrzymywany przez łożysko i tą drogą odżywiany.

Jak widzimy, jajko i plemnik przechodzą wiele przeistoczeń i długich dróg najeżonych różnymi trudnościami, korzystają z różnych sprzyjających warunków, ale także muszą się stosować do określonych warunków funkcjonowania aparatu rozrodczego kobiety. Niewątpliwie zjawisko zapłodnienia nie jest nam jeszcze całkowicie znane.

* * *

DOSZLIŚMY do punktu, gdzie skończyliśmy omawianie zjawisk fizjologicznych i przejdziemy obecnie do zjawisk patologicznych celem poznania zjawiska bezpłodności.

Powodem bezpłodności może być kobieta, może być mężczyzna, lecz może się zdarzyć nierzadko — że oboje.

Od najdawniejszych czasów uważano kobietę za odpowiedzialną za bezpłodność, ponieważ ona nosiła płód i rodziła dziecko. Ona też miała być powodem, że małżeństwo zostawało bezpłodne. Większość ludzi do dziś tak myśli i wiemy z doświadczenia, że w małżeństwach bezpłodnych kobiety poddają się najrozmaitszym zabiegom lekarskim. Natomiast mężczyzna nie tylko niechętnie pozwala się zbadać lub wręcz odmawia poddania się badaniom, lecz jeszcze bezpodstawnie zrzuca na kobietę winę bezpłodności. Ponieważ jednak większość przyczyn niepłodności bywa stwierdzana u kobiet, zaczniemy oł schorzeń kobiecych.

Pierwszą najliczniejszą przyczyną bezpłodności kobiet jest niewątpliwie choroba — infekcja. Zakażenie dróg płciowych kobiety przez wtargnięcie drobnoustrojów może nastąpić dwoma drogami: przez ujście macicy w części pochwowej i przez jajowody. Wiemy, że plemniki spiesząc do wnętrza macicy muszą przejść przez szyjkę macicy, która może ulec zakażeniu. Plemniki, które muszą mieć pewne określone warunki do życia, w warunkach stworzonych przez zakażenie szyjki macicy giną.

Używane obecnie w tych wypadkach antybiotyki, stosowane umiejętnie, bardzo często w krótkim czasie doprowadzają do normy stosunki w narządach rodnych kobiecych i następuje pożądane zapłodnienie. Jeżeli infekcja nastąpi w jajowodach, to proces chorobowy spowodować może zwężenie jajowodu lub zupełne zamknięcie. Wskutek tego

przejście jajka do macicy może być utrudnione lub zupełnie niemożliwe. Zapłodnienie nie może nastąpić w miejscu normalnym, typowym. W pewnych warunkach zapłodnienie może nastąpić w jajowodzie co grozi komplikacjami w postaci tzw. ciąży pozamacicznej. Leczenie jajowodów (salpingitis) jest trudne i długotrwałe. Dobre wyniki uzyskuje się przez stosowanie antybiotyków, szczepionek i fizykoterapii, jak dławic termia krótkofalowa.

Nowoczesna chirurgia zrobiła wielkie postępy również i w tej dziedzinie. W stanach opornych leczeniu chirurdzy zaczęli stosować metody operacyjne, którymi mogą posługiwać się tylko wykwalifikowani specjaliści. Chodzi o usunięcie przeszkód w jajowodach. Jest to prawdziwa operacja plastyczna.

Dlaczego zakażenia narządów rodnych kobiety są tak częste? Jakim sposobem kobieta ulega zakażeniu drobnoustrojami? Obecnie choroby weneryczne są znacznie rzadsze, a mimo to zapalenie jajowodów jest częstsze wskutek sztucznie wywołanych poronień. Znaczenie niektórych powikłań infekcji zostaje często bagatelizowane, ponieważ bezpośrednio nie zagraża życiu kobiety, mimo iż powoduje tak poważne skutki jak bezpłodność. Dramat zjawia się później. Kobieta szuka pomocy aby mieć dziecko, a w młodości kilkakrotnie unicestwiała ciążę. Jakie badania pozwalają stwierdzić zamknięcie jajowodów? Są dwa sposoby. Jeden — to przedmuchanie jajowodów. Drugi — to radiografia jajowodów, wypełnionych płynem kontrastowym. Oba te badania mają na

wet pewne znaczenie w leczeniu jajowodów.

Drugą przyczyną bezpłodności bywa gruźlica narządów płciowych. Choroba ta często przebiega bezobjawowo i zostaje ujawniona dopiero przy badaniu jajowodów z powodu bezpłodności. Wskutek postępu badań stwierdza ją się coraz częściej. Leczenie streptomycyną, passem, rimifonem pozwala spodziewać się szybkiej poprawy i uleczenia schorzenia. Naturalnie wyleczenie gruźlicy jajowodów nie jest jednocześnie wyleczeniem jajowodów do tego stopnia, by były zdolne do przepuszczenia jajka. Niestety, zmiany powstałe w jajowodach z powodu gruźlicy są nieusuwalne.

inną przyczyną niepłodności kobiety może być złe funkcjonowanie hormonów. Wiadomo nam, że śluzówka macicy zmienia się pod wpływem hormonów folliculiny i luteiny wydzielanych przez jajnik, w zależności od działania przysadki mózgowej.

Brak odpowiedniej zależności między gruczołami hormonalnymi może spowodować bezpłodność. Badania są bardzo trudne i definitywnie jeszcze nie ustalone. Najczęściej przyczyną bezpłodności jest złe funkcjonowanie jajnika. Niekiedy jajnik nie wydziela jajek, czasem nie wydziela luteiny i śluzówka macicy nie zmienia się jak należy. Wyprodukowane i zapłodnione jajko nie może się zagnieździć w macicy. W pewnych wypadkach wszystkie hormony działają sprawnie, ale śluzówka macicy nie wykazuje działania na nią folliculiny i luteiny. Na podstawie najnowszych prac można by po-

wiedzieć, iż w pewnych wypadkach powodem bezpłodności jest brak działania systemu nerwowego śluzówki, który nie przyjmuje podnieť hormonów. Bywa tak, że następuje zapłodnienie, zagnieźdzenie jajka zapłodnionego w macicy, lecz ciałko żółte w jajniku nagle obumiera i płód w ciągu kilku dni zostaje wydany.

Jak zbadać hormonalne wydzielanie wewnętrzne kobiety? Przede wszystkim może nas orientować przebieg temperatury ciała. Normalnie w ciągu pierwszych 14 dni okresu temperatura ranna po przebudzeniu się będzie ca. 36,8° (zawsze poniżej 37°). Później, po wydaleniu jajka z jajnika temperatura podnosi się do 37° lub 37,2 aż do następnienia periodu. Dokładne badanie krzywej temperatury w ciągu kilku miesięcy może nam dać ważne wskazówki.

Badanie „rozmazu“ z pochwy daje nam również wiele ciekawych szczegółów. Pozwala ono na obserwowanie działania jajnika na przemiany śluzówki macicy. Tamponem z waty pocieramy w różnych miejscach pochwę, przenosimy otrzymaną wydzielinę wraz z komórkami pochwy na szkiełko i badamy pod mikroskopem.

Leczenie bezpłodności hormonalnej jest wyłącznie leczeniem produktami wewnętrznego wydzielania i wymaga znalezienia równowagi między hormonami i ich normalnym działaniem.

Jajko wydalone przez jajnik może być zapłodnione tylko w ciągu krótkiego czasu, około 12 godzin.

Plemniki zachowują zdolność zapłodnienia również tylko w ciągu około 36 godzin. Celem zapłodnienia konieczne jest spotkanie o określonej porze jajka i plemnika. Niedogodność polega na niemożności ustalenia dokładnej godziny wydzielania jajka przez jajnik. Najprawdopodobniejsze obliczenie dostarcza nam krzywa temperatury. Istnieje wreszcie niewielka ilość kobiet, które zostają nieplodne z powodów budowy anatomicznej. Niedorozwój pochwy, macicy, jajników, jajowodów jest zasadniczą przeszkodą w płodności.

Obecnie musimy się zająć przyczynami bezpłodności pochodzącymi z winy mężczyzny. Wiele przyczyn polega na pewnych niedostatkach nasienia męskiego. Brak zupełny plemników (azoospermia), niewielka ilość plemników (oligospermia), ewt. niewielka ilość plemników i mała ilość poruszających się plemników (oligoastheniospermia) są przyczynami bezpłodności. Koniecznie należy powtarzać badania nasienia wielokrotnie, gdyż zmiany w nasieniu mogą się zjawiać przejściowo. Poza tym nasienie zazwyczaj bywa więcej zagęszczone przez plemniki, jeżeli stosunki płciowe bywają rzadko. Jakie są przyczyny braków nasienia? Niewydolność jąder tj. nieprodukowanie plemników lub zanik jąder, niewydolność przysadki mózgowej, ponieważ ona bezpośrednio

wpływa na funkcje jąder, wreszcie zakażenie.

Zakażenie może spowodować duże szkody. Jedna z nich — to zniszczenie jądra, tj. narządu produkującego plemniki. Druga — wytworzenie przeszkód, ewentualnie zamknięcie przewodów, którymi przechodzą plemniki. Te zmiany następują wskutek zakażenia gonokokami, gruźlica, zapalenia przyusznych gruczołów ślinowych (świnka). Zasadnicze badanie nasienia polega na stwierdzeniu ilości plemników i ich ruchliwości.

Niespodzianką bywa czasem stwierdzenie u nieplodnego mężczyzny normalnej ilości plemników i ich dobrej ruchliwości uzyskanych przez nakłucie jądra. Dowodzi to, iż istnieje tylko mechaniczna przeszkoda na drodze, którą przechodzą plemniki. Leczenie wewnętrzne może tylko pomóc w jakości nasienia. Leczenie braku plemników należy do chirurga.

Stan mężczyzny i kobiety oraz ich budowa i konstytucja mają wpływ na częstsze lub rzadsze zapłodnienie.

Obecnie wielu lekarzy zajmuje się sprawą bezpłodności. Specjaliści uzyskują dodatnie wyniki, ponieważ więcej niż jedna kobieta na pięć leczonych może zostać matką.

Rozwój walki z bezpłodnością niewątpliwie da nam jeszcze lepsze wyniki.



Z aparatem filmowym wśród dzikich zwierząt



JEAN BENEZECH

AUTOR tych notatek jest jednym z realizatorów amerykańskiego filmu „Śniegi na Kilimandżaro”. Po nakręceniu części filmu w Europie ekspedycja filmowców udała się sa-

molotem do Kenii, gdzie miano nakręcić drugą część filmu. Jean Benezech notował co wieczora swe wrażenia z dnia. Podajemy tu wyjątki z jego zapisków.

Notatki

15 października

PO kilku dniach, spędzonych na waleśnaniu się po Nairobi, które to dni wykorzystaliśmy dla zaaklimatyzowania się i na specjalne wyekwipowanie na pobyt w brussie (afrykańskie gęstwiny), wyruszyliśmy z „safari”¹⁾ do Parku Narodowego i Królewskiego w Amboseli, o około 160 mil na południe od stolicy, w pobliżu granicy Tanganiki. Park Narodowy jest w niektórych miejscach mniej, w innych więcej obszernym terytorium (czasami o powierzchni francuskiego departamentu), oznaczonym jedynie na mapach. Na drodze lakoniczna tablica informująca, że się do niego wchodzi lub wychodzi z niego. W miejscu tym znajduje się szlaban, podobny do kolejowego, obsługiwany przez tzw. rangera²⁾, który mieszka w małej budce w pobliżu szlaku. Parki te zostały niedawno założone celem uchronienia niektórych, zanikających całkowicie, gatunków zwierząt przed prawdziwie niszczyielskim szaleństwem myśliwych. Rząd kolonii, który dopomógł do założenia parków, musiał długo walczyć przeciwko prywatnym towarzystwom handlującym kością słoniową, którym nowość ta bynajmniej nie przypadła do gustu.

17 października

JUŻ nazajutrz po przybyciu do obozu w Ol Tukai Lodge zaczęliśmy przygotowywać wozy do zdjęć. Są to specjalne samochody: karoseria została wzmocniona, przedłużona i podwyższona. Ponadto nie ma ona ścian bocznych, co pozwala na doskonałą widoczność zarówno dla oka, jak i dla obiektywu aparatu. Statywy aparatów zostały umocowane po długich i nudnych nastawianiach. Wreszcie wszystko było gotowe.

¹⁾ Safari: słowo w języku swahili oznaczające „podróż”. Używa się go dla oznaczenia wyprawy myśliwskiej, gdyż podróż w zachodniej Afryce jest zawsze polowaniem ze strzelbą lub aparatem fotograficznym.

²⁾ Ranger: strażnik i dozorca parków. Po kilkudniowych, a nawet tygodniowych obchodach terenu parku melduje stale w raportach o miejscu pobytu i ruchach stad różnych zwierząt, żyjących w parku. Potrafi nawet oznaczyć ilość zwierząt.

O świcie ślicznego dnia jesiennego wyruszyliśmy w step na poszukiwanie pierwszych gwiazd filmowych.

Natychmiast po opuszczeniu obozu zostaliśmy dosłownie otoczeni przez liczne stada różnych zwierząt. Gazele, antylopy, żyrafy, zebry i nawet małpy o czarnych pyskach skakały na wyścigi wokół nas. Nie wiedzieliśmy wprost na co skierować obiektyw! Tego dnia zużyliśmy całe kilometry filmu! Po kilku dniach ugania się za tymi trawożernymi podjęliśmy trudniejszą pracę. Chodziło o spotkanie grubej zwierzyny: słoń, nosorożców, hipopotamów i lwów. Zaczęliśmy od słoń, które, moim zdaniem, są prawdziwymi „królami dżungli“.

Pierwszy, którego spotkaliśmy, niszczył sumiennie gałązki akacji. Zbliżyliśmy się do niego powoli i jak najciszej. Aparaty były skierowane w jego stronę i wszyscy operatorzy znajdowali się na swych posterunkach. W odległości 25 metrów stanęliśmy, nie zatrzymując jednak motoru. Na nieszczęście hamulec samochodu zapiszczał, gdy kierowca zatrzymał wóz... słoń odwrócił się błyskawicznie i spojrzał na nas o! niedługo, żaden zresztą aparat nie był w ruchu, i zaszarżował nas od razu. Auto ruszyło równie, zdaje mi się, gwałtownie jak mastodont, a ponieważ nikt nie był przygotowany ani na atak słoń, ani na gwałtowne ruszenie wozu zostaliśmy mniej więcej wszyscy rzućni na spód samochodu! Każdy umieścił się więc jakoś na siedzeniu i rozpoczął się szalony pościg!... Słoń miał nad nami początkowo przewagę, potem, dzięki łączce, zwiększyliśmy dzielącą nas odległość; w lesie natomiast przecięły nam wielokrotnie drogę kolczaste zarośla, które trzeba było omijać, lub zwalone drzewa tworzyły przeszkodę, które nasz kierowca wymijał gwałtownymi skrętami. Wówczas wściekły słoń odzyskiwał stracony teren! I tak ciągle, w miarę jak napotykaliliśmy łąki lub las... Wreszcie, po jakimś czasie, zwierzę zrezygnowało z pościgu... ale zrozumieliśmy, że stare samotniki nie będą już wzbudzać naszej sympatii.

20 października

PO przejechaniu jakichś 20 mil przybyliśmy na olbrzymią plantację kawy, należącą do Francuza, który nas zaprosił. Nowe na ogół budynki, w których odbywa się oczyszczanie owoców z łupiny, mycie i suszenie, tworzą ośrodek wielkiej farmy, ciągnącej się aż do wzgórz na horyzoncie. Wszystko jest zielone, jaskrawą aż raziącą w oczy zielonością. Chatki,

pod ochroną nonszalanckich palm bananowych, stanowią mieszkania tubylczych robotników. Nasz gospodarz kazał zbudować małe domki murowane, ale nie podobają się one czarnym (pochodzącym z plemienia Kikuju). Tylko kilku kawalerów je zamieszkuje. Inni, żonaci i ojcowie rodzin, wolą stare, dobre chaty z bambusów i papirusów oblepionych błotem lub gliną. Europejska urbanistyka bynajmniej ich nie wzrusza... Plantacja ta, jak twierdzą wtajemniczeni, jest bardzo mała. Tylko 250 hektarów. Kawowce, to małe drzewka wysokości ok. półtora metra; wysokość tę osiąga się przycinając je, inaczej miałyby od 3 do 4 metrów. Robi się



Filmowanie lwów spoza schronienia za solidną siatką

to dla ułatwienia zbioru owoców. Owoce są zielone a dojrzewając, stają się czerwone; przypominają trochę wydłużone czereśnie. Krzaki sadi się w prostych szeregach, jak do przeglądu; z samolotu braliśmy je za winnicę. Owoce zbiera się po jednym, co wymaga wielu robotników, dlatego też wioska tubylcza na plantacji jest bardzo ważna. Owoce myje się po zerwaniu, następnie przechodzą przez specjalną maszynę, pozbawiającą je łupiny, po czym myje się je ponownie





i umieszcza na wielkich klepiskach betonowych lub metalowych kratkach dla wysuszenia. Gdy wyschną i zostaną automatycznie zaworkowane, praca plantatora jest skończona. Całą zieloną kawę zakupuje rząd, który ją pali, by sprzedać ją za podwójną cenę kupna. W dobrym roku zbiór wynosi 450 ton, w złym 200 ton. Nie ma bowiem sezonu na zbiór! Zbiera się przez cały rok, oprócz pory deszczów a nawet i wtedy! To jeszcze bardziej zdumiewające, niż 4 zbiory bawełny w Dolnym Egipcie.

25 października

ZDJĘCIA w dolinie Athi River. Miejsce niezwykle żyzne, gdzie wszystko, począwszy od trawy do wielkich drzew afrykańskich, jest tak zielone, że wprost chce się krzyknąć. Wjeżdżamy na wzgórek, by zrobić zdjęcia ogólne tego terenu. Naganiacze sygnalizują nosorożce u podnóża wzgórz. Dla zyskania na czasie ludzie przenoszą aparaty na plecach. Wyruszyłem, z aparatem filmowym na ramieniu, w kierunku wijącej się w dolinie rzeki. Nie ma nawet ścieżki i kierujemy się niewyraźnymi śladami hipopotamów, które schodzą wieczorem do wodopoju. Schodzę wciąż, za mną idzie kolega, by, w razie czego, pomóc mi. Drapią mnie ciernie, jest bardzo gorąco i przewracam się ciągle na kamieniach. Przybywszy na dół, podczas gdy resztę naszej grupy zasłaniają drzewa i krzaki, widzę nosorożca wychodzącego z grupy krzewów na jakieś 15 metrów od nas. W tej chwili kolega szepce mi do ucha: „Nie ruszaj się, za tobą grzechotnik!“ Ładna sytuacja, z przodu nosorożec, z tyłu grzechotnik i 30-kilowy aparat na plecach. Szczęściem kolega zabił węża uderzeniem toporka, a nosorożec zląkł się i uciekł pędem. Mnie... nie było zimno! I musiałem usiąść, by odzyskać dech...

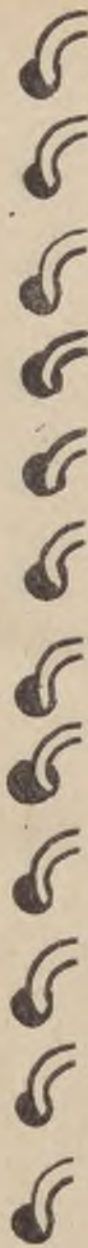
1 listopada

NIKT nie ma ochoty pracować. Podczas gdy koledzy są w obozie, leżąc w hamakach, piją chłodzące napoje i słuchają przez radio sprawozdania Georges Priquet z meczu Francja — Austria, ekipa filmowa wyrusza na poszukiwanie zwierząt. Oddalamy się jak najdalej od stepu i chronimy się przed wiatrem okrążając olbrzymi las akacjowy. Wydaje się, że to raj. Szereg małych wzniesień i gaików, które przypominają Normandię lub laski Wandei. Miękka trawa ma 50 centymetrów wysokości. Jakby to było dobrze w niej wypocząć (jakżeż zielona była ta dolina). Wszyscy są mego zdania. Szukamy miłego kącika. Oto jest... Mały strumyczek

wije się koło wielkiej płaszczyzny cienia. Motor naszego samochodu zatrzymuje się. Odpowiada mu głuche mruczenie. Z gęstego krzaka wyskakuje lampart. Rzuca nam, bynajmniej nie gościnne spojrzenie. Zmieniamy miejsce. Trochę dalej, na brzegu tego samego strumyka, u stóp baobabu, trawnik nas zaprasza. Wsiadamy: para grzechotników podnosi się, sycząc i nadymając się. Znowu odjeżdżamy. Dzieścić mil dalej. Dywan z zielonego aksamitu, idealny na piknik. Uff! Oddychamy. Na lewo poruszyły się krzaki! Zjawia się rodzina lwów! Pięć lwic, cztery lwiątko i lew „wspaniały i łaskawy“. Nie odpoczywaliśmy tego dnia! Gdy wróciliśmy do obozu (po grze w belota w samochodzie) i koledzy zapytali: nas cośmy widzieli, odpowiedzieliśmy niewinnie: „Nic, kilka królików i to wszystko“.

7 listopada

POSTANOWILIŚMY nakręcić sceny z sępami. O ósmej wszystko było na miejscu, wszystko oprócz sępów. Myśliwy zabił gnu, rodzaj antylopy-konia i umieścił ją na wskazanym miejscu. Ani jednego ptaka na czystym niebie... po 20 minutach, z zegarkiem w ręku, mieliśmy przed sobą jedynie szkielet... otoczony setkami drapieżców o nagich szyjach! Nie był to cud, powtarzaliśmy kilkakrotnie scenę i za każdym razem było tak samo. Wytlumaczenie: wielkie ptaki drapieżne siedzą na szczytach najwyższych w dżungli drzew. O świcie nie latają, gdyż skrzydła ich są mokre od rosy i starają się wysuszyć je jak najprędzej w promieniach wschodzącego słońca. W tym celu rozciągają je jak najszerzej i siedzą na najwyższych gałęziach. Inne, mniejsze drapieżce, jak myszołowy, gołębiarze, błotniaki i sokoły korzystają z tego, by latać bez przeszkód. Gdy tylko spostrzegły naszą przynętę zaczęły nad nią krążyć, badając czy nie kryje pułapki. Siedzące jeszcze na drzewach sępy zauważyły ten manewr. A potem dwa, potem dziesięć, wreszcie sto przyleciało sprawdzić. Starannie obserwowały ze swego, tak charakterystycznego lotu szybowego. Potem lądowały po kolei. Ich ptasia hierarchia wymaga, by najstarszy zbliżył się pierwszy do zabitego zwierzęcia. Przeprowadza on właściwie próbę i wyrzywa padlinie oko... jeżeli nic się nie ruszy trzy inne sępy zbliżają się do trupa i wyrzywają mu wnętrzności (każdy ma swój rodzaj pracy) itd... tak długo, dopóki nie pozostaną same kości! Jeżeli są bardzo brzydkie, a nawet odpychające, to posiadają jednak zaletę, której nie mają ludzie: mają niezwykle bystry wzrok. Szybując (mogą unosić się godzinami w po-



wietrzu na wysokości 200 metrów bez jednego poruszenia skrzydeł) widzą przebiegającą w trawie mysz, wielkości dużego palca i spadają na nią z piorunującą szybkością.

12 listopada

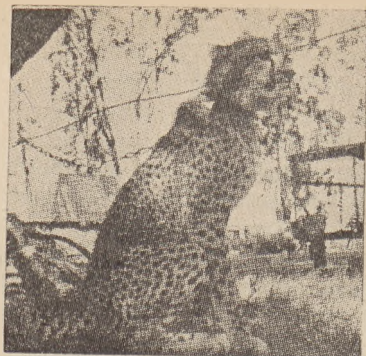
JADĄC raz z jednego do drugiego obozu złamaliśmy skrzynkę biegów w naszym Jeepie. Naprawa w małej wiosce (ostatniej, którą przejeżdżaliśmy) i pogoń za większą częścią karawany. Zapadała już noc. Byliśmy sami na stepach Serengeti, gdzie żyje najwięcej na świecie dzikich zwierząt i różne stada uciekały przed nami. Skręcając na szlaku, omal że nie wpadamy na grupę lwów. Nagłe zahamowanie, skręt kierownicy i motor staje. Korzystam z tego, by policzyć zwierzęta. Dwadzieścia dwie lwice, cztery lwy i dobry tuzin lwiatek. Zabawna menażeria. Motor warczał, lecz byliśmy otoczeni i nie mogliśmy ruszyć nawet o metr naprzód! Jakaś bardziej od innych ciekawa lwica położyła łapy na zderzaku. Inna polizała oponę. Jeszcze inna położyła się przed samochodem i zaczęła lizać swoje lwiątko. Jedna drapała pazurami tył wozu. Lew ryknął, zapewne dla zabawy, ale nas przeszył ciarki... Wreszcie myśliwy, który nam towarzyszył, musiał wystrzelić w powietrze z rewolweru, by nareszcie przepędzić lwy. Ruszyły w końcu i mogliśmy przejechać, nie ryzykując rozgniecenia lwich łap.

12 grudnia

JUŻ od dwóch miesięcy mieszkam w Kenii. Zaczynam pozwolić mówić językiem tubylców, narzeczem swahili. Zdaje mi się, że stałem się kolegą czarnych. Kilku z nich odwiedziło mnie w namiocie, by zadawać pytania. Mniej więcej tak: „Jesteś Francuzem. Stolicą twego kraju jest Paryż... Powiedz nam jak tam jest?”

Opisałem im Paryż i jego kamienice, które stykają się ze sobą na długości 15 kilometrów, inaczej niż w Nairobi. „Czy mieszkasz w Paryżu? — Nie, na przedmieściu, to znaczy obok. — A zatem jeździsz wozem, bo jesteś biały. — Nie, autobusem lub metro“. I wytłumaczyłem im co to jest pociąg, który jedzie pod ziemią przez tunele. Porozumieli się między sobą i powiedzieli: „Jak można oddychać dymem?“ Z trudem znalazłem proste słowa dla wytłumaczenia im elektryczności.

Oświadczyli, że lubią rozmawiać ze mną, lecz nie z Amerykanami, którzy podczas pracy traktują ich jak niewolników, a po pracy nie zwracają na nich uwagi.



*Gepard w roli
stróża domowego*

15 grudnia

PRZYJECHALIŚMY do trapera Carr Hartley'a. Wysyła on żywe zwierzęta do ogrodów zoologicznych całego świata. Ma zamówienia na 350 zwierząt rocznie. Mniej więcej jedno dziennie. Żądają od niego wszelkich możliwych zwierząt afrykańskich. Od czasu wojny największym nabywcą były Niemcy. Z zamiłowania jest poskramiaczem. Najładniejsza sztuka, wspaniały sześciolatek lew, którego ZOO w San Francisco chciało kupić za 20 tysięcy dolarów. Odmówił, gdyż lew, który nazywa się Monty, jest mu wierny, jak zwyczajny piesek. Spaceruje z nim najspokojniej w świecie. Jest Winnie — hiena, Coco — miła szara małpa, Tommy — sprytny i zaradny szympan, który rano wyciąga do nas rękę, pije z butelki, otwiera nożykiem Pepsi-cola, hipopotam Catala, Molly — jeden z białych nosorożców, na którym jeździ się, jak na koniu... Wyżywienie wszystkich tych zwierząt stanowi ciekawy problem: dla lwów zebry i małe drapieżniki, małpy dla lampartów, owoce i owady dla małp, lucerna w 100-kilogramowych wiązках dla antylop, nosorożców i trawożernych, ze psute mięso dla hien i szakali, węże dla mangust, padlina dla sępów i orłów, kukurydza i zboże dla hipopotama i miód dla niedźwiadka!

Carr Hartley jest entuzjastą tresury. „Każde zwierzę — twierdzi — może być poskromione w ciągu kilku dni, pod warunkiem, że jest młode“. By to osiągnąć wchodzi do klatki i bije zwierzę gołymi pięściami. Muszę powiedzieć, że Hartley ma 2 metry wzrostu i waży ponad 100 kilo. Robi nadzwyczajne rzeczy. Orzeł królewski całuje go w usta. Nosorożec je mu z ręki. Gepardy służą mu jako psy do stróżowania. Używa zebra jako koni, a żyrafy karmi z ręki. Wspominałem już o lwie Monty, który go nie opuszcza na krok...





...Idziemy przeciw wiatrowi, a nosorożce są królkowidzami...

Łosoś — ryba królewska

LEON BERTIN

Profesor w Paryskim Muzeum Przyrody

ŁOSOŚ zajmuje pierwsze miejsce wśród ryb słodkowodnych we Francji. Jego długość przekraczająca często metr, waga, która dosięga czasami 30 funtów, doskonałe mięso, łatwość schwytania go w czasie jego wędrówki w górę rzeki, wszystko to sprawia, że jest on rybą bardzo dla nas cenną. Łosoś żyje na głębokościach morskich niedostępnych dla połowu przy użyciu zwykłego sprzętu rybackiego i wskutek tego przekształcając w swoim organizmie różne drobne żyjątka morskie, dla człowieka niedostępne — pozwala nam na ich przyswajanie.

Jeżeli dodamy jeszcze — aby nie posądzono nas, że zajmujemy się tylko kwestiami gastronomicznymi — że łosoś jest rybą, której zamiłowania włóczęgowskie są jedyne w swo-

im rodzaju i budzą wielkie zainteresowanie w świecie uczonych, dojdziemy do wniosku, że nie wolno nam obojętnie patrzeć na jej stopniowe zanikanie w rzekach naszego kraju.

Niestety! — zanikanie łososa jest faktem niezaprzeczalnym. Łosoś na przykład uwidocznił się w herbach kilku miast jest dzisiaj rybą zupełnie

nie spotykaną w ich faunie rzecznej. Przepisy wielu dawnych cechów rybackich z okolic, gdzie obecnie łosoś już się nie spotyka, zawierają postanowienia, co do wykonywania zawodu i pobierania opłat, które mają swoje uzasadnienie jedynie w przypadku obfitych połowów. W XVIII w. dochód osiągany z połowu łososi w Bretanii dosięgał sumy 200.000 funtów (co wynosi około 100 milio-

Skok łososa



nów w dzisiejszej walucie). Łososia sprzedawano po niskich cenach — dostarczał on wszystkim warstwowi społecznemu przez okrągły rok pożywienia o wielkiej wartości odżywczej. Obecnie mimo wysokich cen rynkowych połów łososia w Bretanii nie przynosi więcej niż kilka milionów rocznie.

Przykładem obrazującym tę sytuację jest Trieux, mała rzeczka przepływająca przez Cotes du Nord. W 1842 r. połów łososia w Trieux przynosił 82.000 franków dochodu, w 1865 już tylko 50.000, w 1888 spadł do 10.000 franków, a w 1910 roku wynosił już tylko 1.000 franków w ówczesnej walucie.

Zapobieganie temu spadkowi staje się rzeczą konieczną. Jeżeli więc chodzi o łososie, należy w miarę możliwości podnieść stan zarybienia rzek. Dlatego też należy zbadać dokładnie przyczyny zanikania tych ryb, co wiąże się ściśle z koniecznością dokładnego zapoznania się ze sposobem ich życia.

Młode łososie przychodzą na świat w lutym lub w marcu w małych strumykach, które dają początek basenom rzeczny, zazwyczaj w Masywie Centralnym, Masywie Armorykańskim lub w Niskich Pirenejach. Później wyjaśnimy, dlaczego właśnie tego rodzaju miejsca obierają sobie łososie na tarłowiska.

Zajmijmy się najpierw losom narybku. Pozostając w miejscu, gdzie przyszły na świat — przez 25—26 miesięcy, młode łososie osiągają długość 10—15 cm i wagę 50 g. Nazywają je w zależności od okolic „tacons”, „locans” albo „gliziks”. Wygląd ich tak się różni od wyglądu dorosłych łososi, że wielu rybaków uważa je za

specjalną odmianę innych ryb nasszych wód słodkowodnych. Z wyjątkiem pewnych różnic, które się czasami zdarzają, grzbiet ich jest niebieskawy, mają białe podbrzusza a całe utrzymane są w tonie jasnym. Na bokach pocentkowane są dziesiątkami brunatnych plam.

W kwietniu ma miejsce pierwszy fakt godny zanotowania: przejście od życia młodzieńczego do życia wędrownego. Plamy zanikają, a skóra na brzuchu zaczyna srebrzyć się połyskiwać. „Tacon” staje się „smoltem”. Zdaje się, że przemiana ta odbywa się pod wpływem gruczołów o wydzielaniu wewnętrznym.

Jakiegokolwiek by były tego przyczyny, faktem jest, że „tacon” lubi żywot osiadły, „smolt” natomiast ma instynkt włóczęgi. Płynąc lub dając się unosić z prądem rzeki, kieruje się on ku morzu, w okolice często bardzo oddalone od miejsc skąd wyruszyli jego rodzice.

Należy przypuszczać, że morze karmi lepiej niż wody słodkie, ponieważ „smolt”, który w ciągu dwu lat doszedł do 50 mniej więcej gramów wagi, teraz tyje w oczach i waży 2—3 kg po roku przebywania w morzu. Później dochodzi do 8—10 kg, a nawet zdarza się wyjątkowo, że osiąga 30 kg wagi, a długość jego wynosi od 80 cm do 1,60 m.

Nie mamy dokładnych wiadomości o miejscach, w których osiedla się łoś w morzu. Nie można go schwycić bowiem za pomocą zwykłego sprzętu rybackiego. Jest rzeczą nader prawdopodobną, że przebywa on z dala od lądu stałego na przeszło 200 m głębokości i w oddaleniu przeciętnie 100 km od brzegu. Pożywienie, jakie zdobywa na tych niedostęp-

nych dla człowieka terenach, musi być jednocześnie obfite i bogate w składniki odżywcze, sądząc z szybkiego powiększania się jego wagi, o czym wspominałem poprzednio.

Znaczenie gospodarcze łososia jest tym większe, że pożywienie jego stanowią żyjątka morskie, których człowiek nie mógłby bezpośrednio spożytkować dla własnych potrzeb konsumcyjnych. Przetwarza on te żyjątka w „mięso łososie“, umożliwiając w ten sposób organizmowi ludzkiemu ich przyswajanie. Na tym polega przewaga łososia nad innymi mieszkańcami naszych rzek. Węgorz np. tuczy się kosztem płotek, kielbi i innych ryb, które przedstawiają dla nas pewną wartość. Zubaża więc on nasze wody słodkie, jeśli chodzi o produkty jadalne.

Każdego roku łososie skierowują się do ujścia i płyną w górę rzek lub ich dopływów, aż do strumieni górskich. Wędrowcami tymi są łososie dorosłe, pchane naprzód przez instynkt rozrodczy. Tworzą one oddzielne grupy w zależności od wieku, który można rozpoznać po łuskach. Z wiosną wyruszają w drogę łososie średnich rozmiarów, liczące 4 do 5 lat. W lecie dołączają się do nich łososie młodsze. Na jesieni wreszcie przyplływają olbrzymie łososie w wieku od 5 do 6, 7 lat a nawet i starsze.

Charakterystycznym dla okresu poprzedzającego tarło łososia jest to, że nie przyjmuje on prawie żadnego pożywienia. Jeżeli złapie przynętę, to powoduje nim raczej ciekawość niż głód.

Łososie przybywające wiosną i latem poszczą przez wiele miesięcy zanim dostaną się podobnie jak największe okazy na swoje tarłowiska.

„Życie miłością i świeżą wodą“ — oto ich dewiza.

Opisywano często tarło łososi: samice żłobią brzuchem bruzdy w zwirowatym dnie rzeki wzmagając w ten sposób przez pocieranie drgania, które poprzedzają złożenie ikry — samce pływając obok nich lub za nimi podniecają się — potem następuje złożenie ikry na dnie — wytrysk mlecza — a następnie rodzice opuszczają tarłowiska i bądź giną przy brzegach z wyczerpania, bądź też unoszone przez prąd docierają do morza.

W zachowaniu łososi najbardziej zadziwiające jest to, że rokrocznie powracają na tarło do tych samych rzek lub ich dorzecza, gdzie przyszły na świat. Czyżby więc miały one — jak to mówią Anglicy — instynkt domatorów i stąd ta niezawodna pamięć, która pozwala im po wieloletnim pobycie w morzu odnaleźć w wieku dojrzałym miejsca, które opuściły jako młodzieńki łososie?

Czym sobie tłumaczyć tę nieprawdopodobną pamięć?

Początkowo przypuszczano, że łososie, które wylęgiły się w rzekach, nie oddalają się w głąb morza z zatok, do których wpływają ich macierzyste rzeki. Gdyby tak było, powrót do rzeki macierzystej byłby zjawiskiem normalnym i nie przedstawiałby żadnych trudności. Hipoteza ta została jednak nagle obalona. Łososie specjalnie naznaczone w okresie ich spływu do morza wylawiano o tysiące kilometrów z dala od ujścia „ich rzeki“.

Łososie szwedzkie wylawiano przy brzegach Norwegii lub Związku Radzieckiego. Należy więc zgodzić się z tym, że niezależnie od długości ich podróży, łososie potrafią zawsze od-

nałeżć w okresie tarła drogę do miejsca gdzie przyszły na świat. W jaki sposób udaje im się tam trafić? Jest to zagadką, jakich wiele przedstawia dla nas świat zwierzęcy. Nie kierują się one z pewnością wzrokiem. Wzrok ryb bowiem nie może się równać ze wspaniałe rozwiniętym zmysłem węchowym i smakowym. Niewątpliwie, kiedy płyną wzdłuż wybrzeża, zmysł smaku pozwala im rozpoznać z daleka rzekę, którą opuściły w wieku młodzieńczym. Najmniejsze różnice w zasoleniu, kwasocie, zawartości tlenu służą im jako niezawodny drogowskaz.

Ten sam zmysł dopomaga łososiowi w obraniu przez niego właściwego kierunku w wędrówce w górę rzek i wyborze właściwego dopływu. W Loarze na przykład łosoś niezmiennie wybiera lewe dopływy (Vienne, Allier) a gardzi prawymi (Maine), które wypływając z okolic niżej położonych są uboższe w tlen.

Czy tylko zawartość tlenu ma znaczenie dla obrania przez łososia kierunku jego wędrówki?

Dawniej tak przypuszczano.

W rzeczywistości zagadnienie to nie jest tak proste jakby się mogło wydawać. Wchodzi tu w grę nie tylko zawartość tlenu w wodzie, lecz również ilość dwutlenku węgla, kwasność wody itd.

Znając wrażliwość smakową łososia należy się dziwić, że zanika

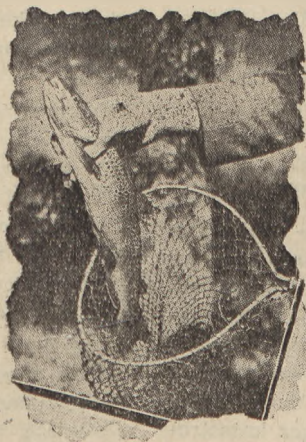
on coraz bardziej w naszym kraju, gdzie wody biejące są ustawicznie zanieczyszczane przez ujścia ścieków kanalizacyjnych i fabrycznych. Nie szuka się niestety żadnych środków, które by zapobiegły temu stanowi rzeczy. Przemysłowcy wolą być raczej w stałej wojnie ze związkami rybackimi i płacić w razie potrzeby kary, niż przeprowadzać neutralizację substancji trujących, wydalanych przez fabryki, co należy do ich obowiązków.

Drugą przyczyną zanikania łososia jest zwiększenie ilości zapór hydroelektrycznych, które nieraz stanowią przeszkodę w wędrówce łososi w górę rzeki. Rada na to jest łatwiejsza. Można zbudować tutaj „drabinki dla łososi“, to znaczy kanaliki o łagodnym spadku lub z zastawkami, które ułatwiają łososiowi przedostanie się do zbiornika.

W Stanach Zjednoczonych zbudowano nawet rodzaj wind, które podnoszą się automatycznie kiedy dostrzeżenie się do nich pewna liczba łososi.

Widzimy, że postęp w dziedzinie przemysłu nie musi być przyczyną obniżenia stanu zarybienia naszych rzek.

Trzeba jednak chcieć zastosować w każdym wypadku środki zaradcze, a nie zrzucać na innych odpowiedzialności za ten stan rzeczy.



Oświata u nas i u nich

W ŚWIECIE obozu pokoju nowy rok szkolny złączył się z oddaniem do użytku pod Moskwą w miejscowości Leninowskie Wzgórza wspaniałego miasteczka uniwersyteckiego, z gigantycznym, przeszło trzydziestopiętrowym, Pałacem Nauki. Kiedy w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej państwo i partia czynią wszystko dla krzewienia oświaty i nauki, na zachodzie, w krajach paktu atlantyckiego i obłędnych zbrojeń oświata i nauka spychane są systematycznie na szary koniec.

Poniżej podajemy kilka jaskrawych faktów, ilustrujących sytuację młodzieży zarówno w szkołach średnich jak i na uniwersytetach.

CYWILIZACJA SIEWCÓW GŁODU

Rada Ekonomiczno - Społeczna ONZ opublikowała ostatnio „**Sprawozdanie o sytuacji społecznej na świecie**“. W rozdziale „zatytułowanym „Ani mieszkań, ani szpitali, ani szkół“ znajdujemy dane cyfrowe, z których wynika, że w zakresie szkolnictwa sytuacja jest wręcz katastro-

falna. Jeżeli obecna tendencja nie ulegnie radykalnej zmianie — czytamy — to przy końcu bieżącego stulecia duży odsetek dzieci na świecie nie będzie otrzymywać nawet podstawowego wykształcenia. Sprawozdanie mówi o tym, że geografia chorób na świecie jest równocześnie geografią ciemnoty. Sprawozdanie przynosi mapę, na której zakreślone są obszary najbardziej zacofane. Jest to projekcja geograficzna błędnego koła, które się składa z chorób, nędzy i niedostatecznego rozwoju produkcji. Można łatwo zauważyć, gdzie to koło należy przerwać, ale znacznie trudniej powiedzieć, jak to zrobić.

Omawiając sprawę oświaty powszechnej, sprawozdanie stwierdza, że w Hiszpanii gen. Franco zaledwie co trzecie dziecko uczęszcza do szkoły początkowej. W Indiach i w Boliwii cyfra ta wzrasta do 5, w kolonjach francuskich do 10, w Kongo Belgijskim do 12.

Paryska „**Démocratie Nouvelle**“ zwraca przy tej okazji uwagę na dyskryminację rasową. Jeżeli chodzi o oświatę wśród autochtonów, na

przykład w Maroku, to — jak pisze „*Démocratie Nouvelle*“ — u źródła tego stanu rzeczy leży nie polityka oszczędnościowa, lecz wyraźne dążenie do pozostawienia ludzi w pełnej ignorancji po to, by ich tym łatwiej wyzyskiwać.

AMERYKAŃSKIE „SIŁY MÓZGOWE“

Pismo burżuazyjne „*New York Times*“ przynosi bardzo charakterystyczny artykuł, dotyczący marnotrawienia w Stanach Zjednoczonych ludzkich zasobów intelektualnych, które wynika z braku zapewnienia najbardziej inteligentnym członkom społeczności amerykańskiej odpowiedniego wykształcenia.

Pewna część młodzieży — pisze „*New York Times*“ — musi opuścić szkołę przed ukończeniem studiów, z przyczyn materialnych, dla innych — wyższe uczelnie są zamknięte z powodu „koloru skóry“ lub innych tego rodzaju przyczyn. W pewnych kołach panuje tradycja nieufności, a nawet pogardy dla ludzi o wybitnej inteligencji; nasze szkoły często w niedostatecznym stopniu uwzględniają uczniów wybitnie uzdolnionych, fundusze, które mogłyby być zużyte na stypendia dla nich, idą na organizację drużyn piłki nożnej, zdolny uczeń znajdujący się pod presją swych rówieśników, nieraz musi ukrywać swoją inteligencję pod maską przeciętności — kończy „*New York Times*“.

Dopełnieniem tych uwag „*New York Times*“ jest opublikowane niedawno sprawozdanie Amerykańskiej Rady do Spraw Sił Roboczych.

Stwierdza ono, że Stany Zjednoczone mają o 50.000 nauczycieli szkół początkowych za mało, że amerykańskie budynki szkolne znajdują się w stanie skandalicznego zaniedbania. Wedle sprawozdania mniej niż połowa absolwentów szkół średnich, którzy z uwagi na swe zdolności mogliby zdobyć wyższe wykształcenie, idzie do szkół wyższych. Przyczyna tkwi w tym, że przecież nie wszyscy studenci są w stanie płacić ponad 600 dolarów rocznie tytułem opłaty za naukę.

A co powiedzieć o tysiącach Murzynów, którzy posiadając dyplomy i wysokie kwalifikacje, muszą brać się do zawodów fizycznych ze względu na dyskryminację rasową?

Omawiając powyższe sprawozdanie, nowojorski „*The Worker*“ stawia następujące pytanie: jaka podnieta do nauki może istnieć w warunkach, w których każdy, kto się odważy samodzielnie myśleć, musi wcześniej czy później stanąć przed areopagiem inkwizytorów? Klimat akademicki stał się duszny, maccarthyzm zawisł nad salami szkolnymi, jak śmiercionośna mgła atomowa.

SYTUACJA MŁODZIEŻY W AUSTRII

Doroczne sprawozdanie egzekutywy związków zawodowych Dolnej Austrii stwierdza ogromne bezrobocie wśród młodzieży tej prowincji. Wedle statystyki liczba uczniów szkół zawodowych, która wynosiła w roku 1948/49 17.595, spadła w roku 1952/53 do 14.200. Przyczyna tego stanu rzeczy tkwi — jak pisze „*Oesterreichische Zeitung*“ — w pod-

porządkowaniu gospodarki austriackiej interesom imperialistów zachodnich.

Niedobrze się również dzieje na odcinku austriackich szkół średnich. Wedle pisma wiedeńskiego „Presse“, austriackie Ministerstwo Skarbu odmawia funduszy na konieczne zwiększenie liczby szkół średnich i nauczycieli. Ze względów oszczędnościowych przewidywane jest na rok przyszły „zagęszczenie klas“, jakkolwiek protestowali przeciwko temu zarówno nauczyciele jak i rodzice.

Jeżeli dodamy do tego fakt, że austriackie Ministerstwo Oświaty opracowało projekt ustawy, przewidującej podwyżkę czesnego oraz opłat egzaminacyjnych i seminaryjnych, obraz sytuacji zarówno w szkolnictwie średnim, jak i wyższym, nabierze barw jeszcze bardziej ponurych.

SZKOLNICTWO WYŻSZE WE WŁOSZECH

W roku szkolnym 1945/46 było we Włoszech na 47 milionów ludności około 190 tysięcy studentów. Po czterech latach amerykańskiej okupacji Włoch liczba ta spadła do 146 tysięcy. Jedną z zasadniczych przyczyn tego zatrważającego stanu rzeczy są wysokie opłaty uniemożliwiające synom robotników i chłopów

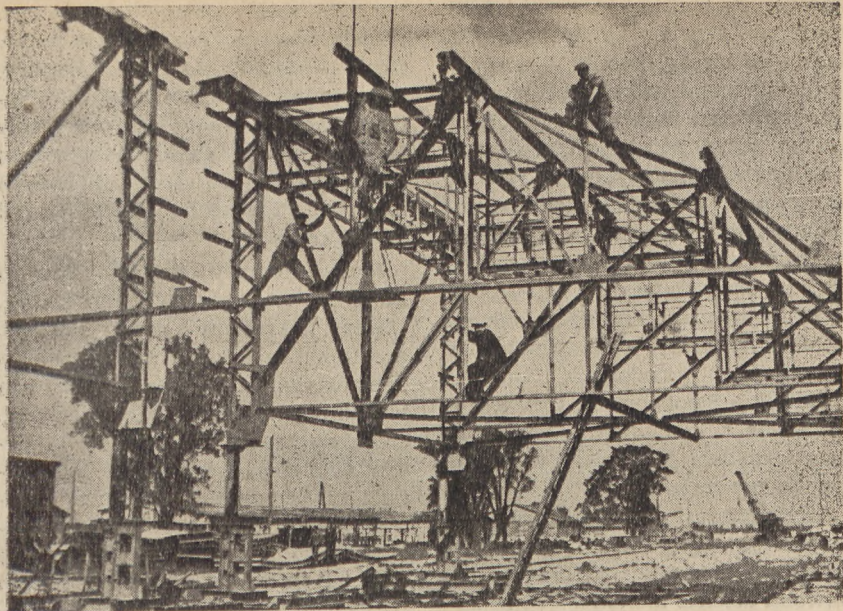
korzystanie ze szkolnictwa wyższego. Państwo asygnuje na oświatę zaledwie jedną dziesiątą część budżetu, przy czym 95% tych sum idzie na utrzymanie personelu. Ilustracją tego stanu rzeczy jest stwierdzenie profesorów uniwersytetu w Bolonii, że gabinety naukowe i laboratoria tej uczelni znajdują się w stanie coraz bardziej postępującego upadku.

Zagadnieniem rzucającym jaskrawe światło na politykę oświatową de Gasperiego i jego godnego następcy, Pelli, jest sprawa podręczników szkolnych dla młodzieży szkół wyższych. Najbardziej charakterystyczna w tym względzie jest książeczka niejakiego Salvatorelli pod tytułem „Dwadzieścia lat historii“. Podręcznik ten zalecony przez włoskie Ministerstwo Oświaty, jest pełen pochwał dla Mussoliniego i fałszu.

Ten zgubny wpływ polityki reakcji, popieranej przez Watykan, na młodzież włoską paraliżują demokratyczne organizacje oświatowe Włoskiej Partii Komunistycznej i Socjalistycznej. Walczą one o to, by młodzież robotniczo - chłopska miała jak najszerzy dostęp do włoskich wyższych zakładów naukowych. Powodzenie tej walki jest oczywiście związane z ogólną walką o pokój i demokrację.

VERAX





Nad mapą i planem

HALINA MIROSZ

JEDZIEMY na wschodnie tereny Polski. Omiłamy Wyszków, Ostrołękę, Łomżę... zatrzymujemy się w małym miasteczku, daleko położonym od linii kolejowych — w Zambrówie.

Co nas tu sprowadza — co każe wejść do skromnego budynku z napisem Miejska Rada Narodowa?.. Tutaj jest przecież jakieś zebranie.

Wchodzimy. Właśnie tych obrad warto posłuchać. One dadzą nam odpowiedź na pytanie — dlaczego właśnie Zambrów.

MŁODY architekt szybkim ruchem rozłożył na stole duży arkusz zarysowanej kalki. Wszyscy członkowie Miejskiej Rady Narodowej pochylili nad nią głowy. Tak, to był ich Zambrów — małe

miasteczko, trzymające się ciasnymi uliczkami dwóch dróg Warszawa — Białystok i Czyżew — Łomża. Ze zdumieniem dostrzegali jakie było niepozorne, chaotycznie zabudowane, z jasną plamą rynku na środku, do

którego dochodziły przecież żółte smugi pól. Oto ich ogrody i placówki, zielen nad strugą, kościół — wszystko dobrze znane, takie same jak kiedyś, jak przed wojną — małe miasteczko wstydlivej Polski B.

Architekt Mieczysław Krzywiec patrzył przez chwilę na plan bez słowa, a potem szybko zakrył go innym. Wszyscy aż unieśli się ze swych miejsc. I stary szewc, który tu urodził się 60 lat temu, a dziś jest członkiem spółdzielni pracy, i dwuhektarowy gospodarz, i przodownik Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej, i inżynier z kombinatu — wszyscy ojcowie miasta jak zaczarowani patrzą na ten nowy plan.

Architekt jest najwyraźniej zdenerwowany — to wcale nie jest proste mówić o wynikach swojej pracy, o swoim dziele... ale chrząka i zaczyna: „Jak obywatele radni wiedzą, miasto Zambrów w planie państwowym rozwinąć się ma w miasto powiatowe. Dziś czterotysięczne musi przygotować się na przyjęcie jeszcze 10 tysięcy ludzi. Musi być więc odpowiednio zagospodarowane i zaplanowane. Oto właśnie — i gładzi ręką kalkę — pierwszy projekt planu zabudowy Zambrowa, który na wasze polecenie wykonałem i dziś oddaję pod dyskusję. Proszę popatrzeć. Tędy pobiegnie nowa wyprostowana szosa Warszawa — Białystok. Tu zostanie zachowana stara dzielnica miasta, rynek i przyległe wąskie uliczki. Na północy projektujemy nową dzielnicę mieszkaniową dla robotników kombinatu. Jej część już stoi. Widać ją z okna. W tych czterech punktach wyrosną gmachy szkół — dwie z nich już w przyszłym roku. Rzeczkę, która dziś przecina miasto, spiętrzymy,

tworząc małe jezioro na terenach projektowanego parku odpoczynku. Obok — dom dziecka, dom kultury. Na południu planujemy dzielnicę reprezentacyjną — wśród zieleni stanie tu dom partii, gmach Powiatowej i Miejskiej Rady Narodowej i innych instytucji. Trochę na uboczu szpital i pogotowie...”

Przewodniczący Rady — Edward Marcinkowski skupia całą uwagę. Obraz nakreślony przez młodego architekta oszałamia go, olśniewa perspektywami. Nie może nadążyć za wartkim potokiem słów. Zwłaszcza... zwłaszcza, że od dłuższej chwili patrzy na ciemny kwadrat na dole planu i myśli ze zdumieniem, że przecież kiedy „to“ się zaczynało — nikt ale to nikt nie mógł przewidzieć nawet tych dzisiejszych planów, tego przyszłego powiatowego miasta, nowych dzielnic i parków — tego całego nowego Zambrowa.

„To“ — na planie wygląda jak brązowa plama, przez którą biegnie prosty napis: kombinat bawełniany.

* * *

Tak — wtedy nikt nie przypuszczał. Pewnego dnia w południowej części miasta stanął wysoki płot, okalający dość znaczny teren. Pojawiła się nawet tabliczka — „**Budowa Kombinatu**“ ...Ale ci, co ciekawie zerkali poprzez sztachety, początkowo dostrzegali tylko parę pasących się kóz, jakąś szopę, paru ludzi kręciło się po placu... Budowa? Nic się przecież nie działo.

A jednak zaczęło się, zaczęło. Raptem potrzebni byli ludzie do kopania wykopów, do wyburzania starych, twardych jak skała fundamentów po

carskich budynkach — i jeszcze coś nie do wiary — do budowy toru kolejowego. Więc coraz więcej ludzi z Zambrowa szło na tę budowę. I nie tylko z Zambrowa. Szli chłopci z okolicznych wsi biednych i ciągle jeszcze przeludnionych. Z Laskowca, Kraje-
wa, Wygody, Czerwonego Boru z Prostek i Porytego. Przecież każdy chciał zarobić...

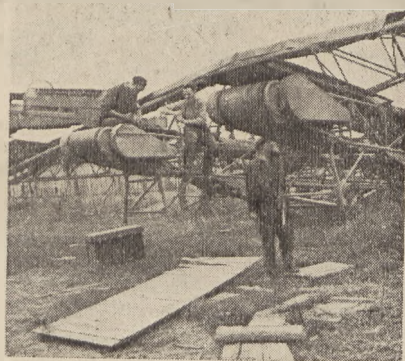
Na budowie czekały na nich maszyny. Nowoczesne dźwigi zdumiewały chłopów, którzy nigdy nie widzieli takiej roboty. Trzeba było się uczyć — pracować przy transporterach, betoniar-
kach, ciągnąc mury jakąś nową metodą — dwójkami, szóstkami. Tak, za-
robić można było, tylko tutaj jakoś inaczej, niż na
wiejskiej robocie.

Tam każdy sam sobie robił, tu trzeba było uczyć się razem. Majster murarski—Jan Fraj-
tak — z pochodzenia Warmiak, który tu przyjechał z grupą Zjednocze-
nia Olsztyńskiego — wspomina tamte czasy z westchnieniem. Trudno
było tym ludziom stąd. Pracowali powoli, oddzielnie. A tu — musiały
rosnąć mury magazynów, biur — jak najszybciej, bo już, już napływały ze
Związku Radzieckiego pierwsze ma-
szyny. Nie mogły leżeć na otwartym polu. Najpierw trzeba było tłumaczyć,
przekonywać, namawiać. Napracowa-
li się wtedy i młody inżynier Kora-

lewski i cieśla Macielewicz i kierow-
nik Baran. Murarz Antoni Gołębiow-
ski, gospodarz z Laskowic, dziś sam pokpiwa jak to wtedy było. Ale skąd
miał umieć pracować inaczej. „**Bieda nas tylko nauczyła — mówi — a to nie najlepszy nauczyciel**“.

Kopali, budowali mury, ale ciągle
jakoś nikt nie myślał, co to napraw-
dę będzie. Kombinat — ten wyraz nie

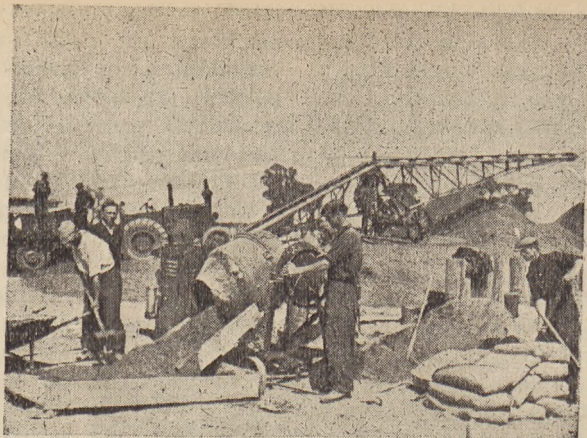
nie znaczył. Ale
powoli, powoli, za
interesowanie ro-
sło. Zaczęto mówić
o nowej przędzalni.
Sprowadzono tu
jakieś nowe ma-
szyny: kombajny
do betonowania. I
wielka hala zaczę-
ła rosnąć jakby w
powietrzu. Oto wy-
rastały betonowe
wsporniki, dach,
choć pod spo-
dem ciągle leżał
nietknięty żółty
piasek. Przędzal-
nia... Ma być także
tkalnia, magazyny



*Brygada monterów przy montowaniu
przenośników taśmowych produkcji
polskiej.*

— wszystko jasne, czyste, wspaniałe,
jak w Piotrkowie czy Andrychowie.

Ale czy Edward Komorowski wi-
dział przędzalnię andrychowską —
oczywiście że nie, nigdzie nie był
poza swoim Krajewem, gdzie ma je-
den hektar ziemi. A jednak szybko
zrozumiał, że przecież ta budowa nie
skończy się dla niego w chwili, gdy
zostanie uruchomiona. Przecież wszy-
scy zachęcają tutejszych robotników
budowlanych, żeby zostali na kombi-
nacie. I skromny, milczący Komo-
rowski rozmyślał teraz głośno, że w
takiej fabryce będzie dobra praca —



Brygada betoniarzy Bolesława Wyszymirskiego pracując przy budowie magazynu surowca dla budowy hal fabrycznych wykonuje średnio 120 proc. normy.

nie dorywcza, nie na sezon, ale stała, zawsze. Czym zostanie — już ustalili. Zacznie od pracy przy montażu maszyn, to się z nimi zapozna. A potem — może będzie pomagał przy ich konserwacji? Tu wszystkim nauczają — kończy podjętą myśl.

Jednocześnie wrzenie ogarnęło młodzież zambrowską. Bo kombinat już w styczniu 1954 r. będzie potrzebował prąd i już dziś trzeba je szkolić. Więc rozpoczął się werbunek na szkolenie do Bielawy, Łodzi, Piotrkowa, Jeleniej Góry. Na początku nie wszystko szło sprawnie — nie. Maria Fleri i Zdzisława Szczawińska pojechały do Łodzi. Ale na miejscu nie zapewniono dziewczynom stółki, nie zaopiekowano się nimi, więc czuły się opuszczone, niepotrzebne, wreszcie uciekły..... Ale kombinat działa jak magnes i obie dziewczyny są już znowu na budowie, ob-

slugują windy. Dziś są już mądrzejsze. „My od jesieni znowu pojedziemy się uczyć, ale tym razem nie damy się. My tu chcemy pracować — mówią — bo tu będzie pięknie“.

Tu będzie pięknie. Będzie wygodny hotel robotniczy i kino, stołówka, basen pływacki i stadion. Będą natryski, jasne światło, parkiety i kwiaty. I drzewa wokół przedziałni. Wszystko, czego wymaga troska o człowieka. Będzie nowe miasto Zambrów, które dzięki budowie kombinatu rozrośnie się, wypięknieje, rozwinie jak zdrowe dziecko.

* * *

Na razie nad planami nowego Zambrowa gorąco dyskutują radni miasta. Więc gdzie pójdzie linia kolejowa — za miastem, czy w mieście... Architekt mówi o różnych rozwiąza-

niach. Przez chwilę w oczach kilku osób odbija się niepokój: — „**Ta linia pójdzie przez mój ogród**“. Ktoś się pyta: „**To przez wasze pole?**“... Jakże trudno oderwać się od starej troski o moje i tylko moje. Ale plan jest tak urzekający, że egoistyczna myśl ginie, zagłuszona wizją miasta, które powstaje.

Ileż to razy słyszeli: „**Co za dziura, świat deskami zabity, jak można tu**

wytrzymać?“ A przecież, jak każdy człowiek, mimo wszystko kochali to małe miasto wstydliwą miłością — bo było nędzne, wegetujące, bez żadnej przeszłości i przyszłości. I oto doczekali się. Ustalono: na tej ziemi nie było przemysłu, więc teraz będzie przemysł, żeby ludzie mogli wyprostować się, żeby mogli żyć po nowemu, tak, jak dawniej nawet o tym nie śmieli marzyć.



Przy rynku w Zambrowie powstaje już osiedle mieszkaniowe dla przyszłych robotników budującego się kombinatu bawełnianego.



PIEWCA ZIEMI MOŁDAWSKIEJ

KRZYSZTOF ZAREWICZ

ROZMAWIAJĄC z przyjaciółmi Stefan Njaga niechętnie cofa się pamięcią wstecz. Ale czasami wspomni jakiś epizod z ciężkich niewesołych lat dziecięcych. Czasami opowie o 12-letnim chłopcu, zarabiającym na życie grą na fortepianie w niewielkim kinie w Kiszyniowie. Mały Stefan grał — patrzył na ekran i starał się oddać w dźwiękach fortepianowych strun i cichy płacz dziecka, i huk pociągu, odmalować piękno krajobrazu, odtworzyć tętent dzikich mustangów Indian, oddać świst wichury... Żaden kompozytor nie stworzył tych melodii. Stefan Njaga sam je komponował. Grał pięknie, z wielkim uczuciem, ale nut nie znał wcale.

Mijały lata — trudne lata zmagania z losem. Było to ciężkie dwudziestolecie panowania rumuńskich bojarów i ich mocodawców: amerykańskich i anglo-francuskich imperialistów — dwudziestolecie, w ciągu którego Be-

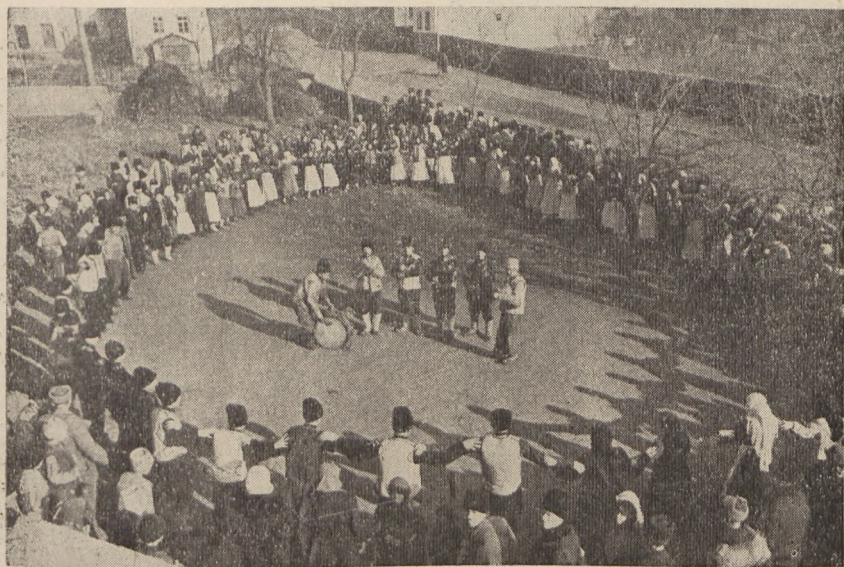
sarabia stała się na wpół feudalną kolonią. W spustoszonej krainie czwarte wszystkich gospodarstw chłopskich posiadało tak mało ziemi, że nie były one w stanie zapewnić utrzymania rodzinom nawet przez pół roku. Ponad pół miliona pozbawionych ziemi robotników rolnych wędrowało po Besarabii z powiatu do powiatu w poszukiwaniu pracy. Tysiące Mołdawian, ratując się przed nędzą i głodem, przed bestialskim terrorem politycznym, uciekało za granicę. W owym czasie Besarabię — część Mołdawii — oderwaną przemocą przez soldateskę rumuńską w 1918 r. od Rosji zwiedził znany francuski pisarz Henri Barbusse. Później w książce zatytułowanej „Oprawcy” opisał swe wrażenia: pisał o okupacji, pisał o cierpieniach i nędzy. To co tu widział nazwał „tragedią besarabską”.

Stefan Njaga przetrwał tragiczne lata swego kraju. Kosztem wielu starań

I wyrzeczén dostał się do konserwatorium, później zdołał wyjechać na dalsze studia do Paryża — na naukę i życie zarabiał tu akompaniatorstwem. Do kraju wrócił w pamiętnym roku 1940 — kiedy to Besarabia po połączeniu się z położoną na lewym brzegu Dniestru Autonomiczną Republiką Mołdawską stworzyła wolną i równoprawną Mołdawską Socjalistyczną Republikę Radziecką.

Z nowego życia, które rozpoczął naród mołdawski wyrosła twórczość Stefana Njagi. Ludowe melodie Mołdawii tzw. „dojmy“ otworzyły przed kompozytorem piękny, pełen treści świat tonów i harmonii.

Zaczynają powstawać utwory radosne, słoneczne. Czuje się w nich szczęście narodu uprawiającego własną ziemię, pasącego własne stada, wygniałającego wino z własnych winogron, budującego własną pracą własne jeszcze szczęśliwsze jutro. Widzi się w nich pszeniczne i kukurydziane łany Budzaku i Równiny Bieleckiej, plantacje winogronowych łóz, pnących się po zalanych słońcem zboczach wzgórz Kodry, olbrzymie sady w dolinach, piękne lasy dębów, buków i grabów na wzgórzach. Widać kraj zamknięty między Prutem i Dniestrem, kraję niewielkich miast i licznych wsi, zamieszkałą przez Mołda-



Mieszkańcy wsi tańczą stary taniec ludowy „żok“.

wian, Ukraińców i Rosjan, Chachausów i Bułgarów, Cyganów, Greków i Ormian.

...Rok 1942. Ciężko, ze smutkiem uderzają klawisze. Niosą jęk narodu, któ-



Halina Meszcheriuk, pomocnik naukowy Ogrodu Botanicznego Mołdawskiego Oddziału Akademii Nauk ZSRR, bada rozwój nowej dla Mołdawii kultury bawełny.

remu najeźdźcy wydarli ziemię, zniszczyli szczęście. Przemi „*Poemat o Dniestrze*” — smutna pieśń, którą Stefan Njaga przesłał okupowanemu przez hitlerowców narodowi z głębi ziemi radzieckiej.

I znów nadszedł czas nowych melodii. Przyniósł je wraz z wolnością rok 1944. Zabrzmiiała „*Pieśń o Stalinie*”,

oratorium, później kantata „*Stefan Wielki*”, wreszcie muzyka do narodowego hymnu republiki. Wraz z osiągnięciami rosła sława kompozytora. Nagroda Stalinowska, Order Lenina, wybór do Rady Najwyższej Republiki Mołdawskiej...

Płynęły melodie utworów Stefana Njagi, wiernego syna narodu mołdawskiego przez kraj szybko zaleczający wojenne rany, płynęły przez obszary lewego brzegu Dniestru, przez tereny zwane przez ludność „staroradzieckimi”, obszary przemysłowo-rolnicze, pełne starych, bogatych kolchozów, płynęły przez młode radzieckie terytoria prawego brzegu Dniestru. Z roku na rok coraz bardziej zacierały się różnice między tymi obszarami republiki. Wszędzie było widać zespoloną pracę, powstające fabryki, przewrót w agrotechnice, rosnący dobrobyt — zwycięstwo idei, przyniesionych przez radziecki ustrój. Na polach kolchozów i sowchozów zahuczały traktory z Czełabińska, Stalingradu, Charkowa, w łany przeniży wjeżdżały roztowskie kombajny. Drogami mknęły samochody z Gorkiego, z Moskwy. Bez przerwy nadchodziły pociągi załadowane maszynami, materiałami budowlanymi, urządzeniami, żywnością — to cały Związek Radziecki pomagał odradzać się z ruin Republice Mołdawskiej.

I wówczas zrodziła się nowa, piękna melodia. Było to oratorium „*Pieśń Odrodzenia*”. Stefan Njaga pragnął wyrazić w tej pieśni całą istotę przeobrażeń, które dokonywały się w jego ojczyźnie, chciał przedstawić głęboką

treść życia nowego moldawskiego społeczeństwa. A życie to widział wokół siebie: gazety, radio, własne spostrzeżenia, rozmowy przynosiły co dzień coś nowego, nieznanego przedtem, mówiły o ogromnych przemianach i coraz większych osiągnięciach. I wieczorami przy świetle elektrycznych lamp starzy ludzie czytali wymagającym wnukom specjalną gazetę dla niedawnych jeszcze analfabetów. A wnuki, dumni z roli nauczycieli, uważnie poprawiali błędy dziadków. Wszędzie, w gęsto rozsiąanych wioskach otwierały się szkoły. W miastach powstawały szkoły techniczne, wyższe uczelnie. W Kiszyniowie pojawili się pierwsi studenci uniwersytetu. Kiedyś Steian Njaga przedarł się przez śnieżne zasy na wieś — do swych wyborców. Zima była ciężka, mroźna, ale pierwsza rzecz, o którą chłopci poprosili swego deputowanego była szkoła, duża siedmioletnia szkoła. „*Czy to jest możliwe?*” — pytali.

Tak; w radzieckiej Mołdawii było teraz wszystko możliwe. Okazało się, że można wyhodować na moldawskiej ziemi bawełnę i cytrusy i południowe rośliny dające olejki eteryczne. Szeroko rozlały się rzeki przegradzane tamami kolchozowych elektrowni wodnych. W stolicy — Kiszyniowie, w Tiraspolu, Orgiejewie, Bielcach, w wielu innych miastach szybko rozwijał się przemysł. 7 i pół miliona dekalitrów świetnych gatunków win, 115 milionów puszek konserw — blisko półtora raza więcej niż wyrabiano ich w całej cesarskiej Rosji — takie były w 1951 r. wyniki

tylko w dwóch gałęziach moldawskiego przemysłu. A przecież Mołdawia produkuje już obecnie przeszło tysiąc różnych rodzajów artykułów przemysłowych. Wyrosła własna klasa robotnicza, własna inteligencja techniczna. Pojawiły się nowe zawody. Dawni biedni chłopci nie tylko zaczęli hodować nieznane przedtem buraki cukrowe, bawełnę, rośliny eteryczne, lekkie, aromatyczne gatunki tytoniu, nie tylko zaczęli hodować jedwabniki, ale nauczyli się budować silniki, maszyny do sadzenia drzew, pompy, tokarki, szlifierniki, prasy do wina i wiele, wiele innych rzeczy.

Trudno powiedzieć, kiedy w myślach Stefana Njagi powstał główny temat „*Pieśni*”. Może wówczas gdy czytał artykuł dożarki Natalii Dworskiej, lub słuchał przemówienia Bohatera Pracy Socjalistycznej — Marii Kordońskiej. Może w czasie rozmowy z Liubow Bielajewą, moldawską chłopką, która stała się nie tylko znanym malarzem-brygadzystą, ale i działaczem państwowym. A może wówczas gdy dowiedział się, że dzięki wytężonej pracy kolchoźników w kolchozie im. Kalinina zebrano po 40 q pszenicy z ha, a w kolchozie „*Zwycięstwo*” po 100 q winogron i po 900 q buraków pastewnych, że co trzeci kolchoz moldawski jest już milionerem?

Kiedyś Stefan Njaga przeczytał ciekawą wiadomość. Był to przedruk z leninowskiej „*Iskry*”. W 1901 r. żołnierz rosyjski pisał w liście do ojca, że zmuszony był brać udział w uśmierzaniu buntu we wsi Trifaneszti, pisał o

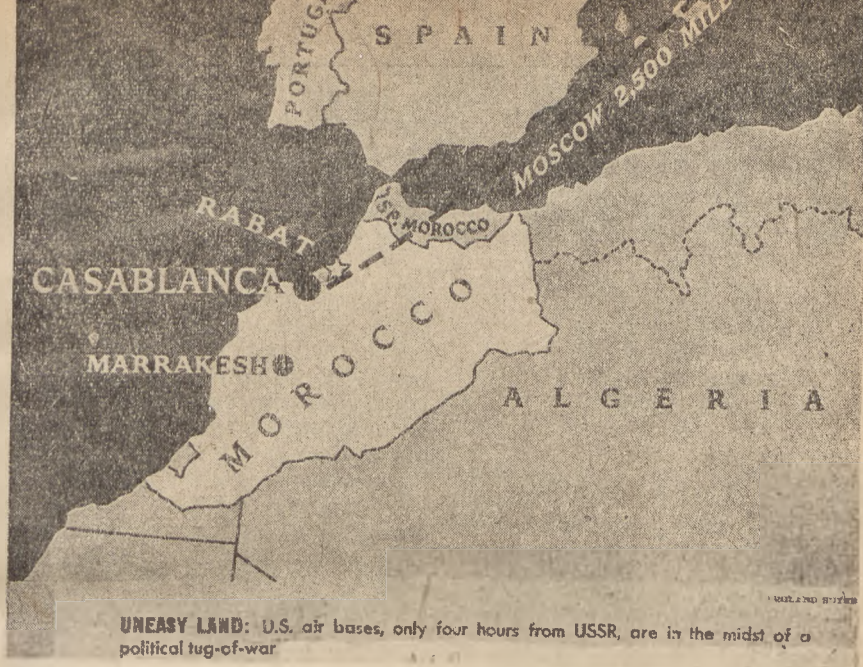
umierających z głodu chłopach, o spadających na nich nahajkach. Przed pół wiekiem leninowska „Iskra” stanęła w obronie Besarabskich chłopów. A w tym samym czasie, gdy Njaga czytał stary list żołnierza, w rejonie, w którym znajduje się wieś Trifaneszti, huczała radosnym szumem duża wystawa rolnicza. Starzy chłopcy z ciekawością oglądali wzory soi, czumizy, krzacastej pszenicy, kiwali głowami, dziwowali się. Oglądali nową pszenicę „Odeska — 3”. 57 ton z 27 hektarów zebrała tej pszenicy w pobliskim kołchozie brygada Wasilja Klimowa. Nę-

dzarzami byli chłopcy o których pisała „Iskra”; takim samym biedniakiem był dawniej Wasyli Klimow, obecny brygadziśta z kołchozu im. Lenina. I jakby symbolicznie w tym leninowskim imieniu zawarty został los mołdawskich chłopów: zwycięstwo władzy radzieckiej, zwycięstwo leninowskich myśli w stalinowskich czynach.

Popłynęła pieśń, jasna, czysta, a tak potężna zarazem. Sopran, później duet z mezzosopranem. Liryczną melodię podchwycił chór męskich głosów. Z głębi narodu rwała się w przestworza „Pieśń Odrodzenia” — pieśń o szczęściu mołdawskiego narodu.



Zbiór liści tytoniowych.



BEZ KOMENTARZY...

REPRODUKOWANA przez nas powyżej mapka Maroka została zamieszczona w „This Time Magazine“, dodatku do amerykańskiego dziennika „New York Herald Tribune“. Napis pod mapką głosi: „Niespokojny kraj: Amerykańskie bazy lotnicze, odległe zaledwie o 4 godziny lotu od ZSRR, znalazły się w zamieszaniu walki politycznej...“ Autor artykułu zamieszczonego w tymże numerze „This Time Magazine“, John Gunther, pisze:

„Maroko może wydawać się krajem odległym w sensie geograficznym, ale kraj ten posiada olbrzymie znaczenie dla Stanów Zjednoczonych. Jest tak ze względu na pięć olbrzymich baz lotniczych, które Stany Zjednoczone budują obecnie w Maroku. Koszt budowy tych baz wynosi dotąd około 500 milionów dolarów.

Nasze bazy w Maroku są odległe od Moskwy zaledwie o 2.500 mil w linii prostej — tak jak leci ptak, lub... samolot odrzutowy. Stanowi to cztery godziny lotu dla nowoczesnego bombowca. Jeśli dojdzie do wojny ze Związkiem Radzieckim, będziemy właśnie stąd atakować...“.

Czyż należy się wobec tego dziwić, że Stany Zjednoczone głosowały w Radzie Bezpieczeństwa przeciw rozpatrzeniu skargi grupy krajów arabskich i azjatyckich, domagających się ukrócenia terrorku francuskich kolonizatorów przeciw walczącym o wolność patriotom Maroka?

FAKTY

Komentarze



Perspektywy ósmej sesji ONZ

DNIA 15 września rozpoczęła swoje obrady ósma sesja Zgromadzenia ONZ.

Światowa opinia publiczna odnosi się do nowej, ósmej sesji Zgromadzenia ze zrozumiałą rezerwą. Od czasu odbycia w 1946 r. pierwszej swej sesji, Organizacja Narodów Zjednoczonych oddalała się w ostatnich latach coraz bardziej od celów, wytkniętych przez Kartę Narodów Zjednoczonych, zaprzepaszczając coraz więcej ten kredyt moralny, jakim ją obdarzyła cała ludzkość, zawiódła oczekiwania, że stanie się skuteczną orędowniczką pokoju i postępu na świecie. Toteż zastrzeżenia wobec działalności ONZ, odgrywającej rolę powolnego narzędzia imperializmu amerykańskiego, wzrastają z roku na rok.

Zastrzeżenia te odnoszą się również do rozpoczętej obecnie ósmej sesji Zgromadzenia. Już na pierwszym plenarnym posiedzeniu objawiło się, że rząd amerykański jeszcze cyniczniej niż kiedykolwiek dąży do tego, aby nie dopuścić na obecnej sesji do żadnej decyzji w interesie pokoju światowego i sprawiedliwości społecznej oraz że zdecydowany jest do narzucania Zgromadzeniu swojej woli za pomocą noto-

rycznej mechanicznej większości. Gdy bowiem szef delegacji radzieckiej, minister Wyszyński wystąpił z logiczną i oczywistą w świetle faktów propozycją, aby wreszcie skończyć ze sprzeczną z postanowieniami Karty praktyką niedopuszczania do obrad Narodów Zjednoczonych największego kraju na świecie — Chin Ludowych i usunąć nie reprezentujące narodu chińskiego, lecz tylko zgromadzoną na Formozie klikę Czang Kai-szeka, przedstawicielstwo kuomintangowskie, Sekretarz Stanu Dulles kategorycznie przeciwstawił się temu słusznemu żądaniu, domagając się, aby na ósmej sesji sprawa przedstawicielstwa Chin nie była omawiana. Ustupując presji Dullesa, większość krajów kapitalistycznych poparła projekt USA.

Wśród przeszło 70 punktów porządku dziennego ósmej sesji znajduje się m. in. omawiana od szeregu lat sprawa rozbrojenia i międzynarodowej kontroli energii atomowej. Są wysunięte przez kraje arabskie i azjatyckie już po raz trzeci sprawy Maroka i Tunisu. Są wysuwane od szeregu lat sprawy dyskryminacji rządu Południowej Afryki w stosunku do ludności tubylczej oraz odmowa tego rządu udzielenia Radzie Powierniczej sprawozdań o sytuacji na terytorium mandatowym

Afryki Południowo-Zachodniej. Jest szereg innych spraw z zakresu uciskania ludów kolonialnych przez kolonizatorów imperialistycznych: punktem nowym w tej dziedzinie będzie spodziewane poruszenie sprawy sytuacji w Kenii. Jest też ciągnąca się od lat i dotąd niezadowolona sprawa przyjęcia szeregu państw jako nowych członków ONZ.

Istotną sprawą na obecnej sesji ONZ będą wybory trzech niestałych członków Rady Bezpieczeństwa. Jak wiadomo, przed dwoma laty pod naciskiem Ameryki mechaniczna większość Zgromadzenia porzuciła przyjętą do tego czasu praktykę międzynarodową, że jedno z niestałych miejsc w Radzie Bezpieczeństwa zajmuje przedstawicielstwo jednego z krajów geograficzno-politycznego obszaru Wschodniej Europy. Związek Radziecki wysunął wówczas ukraińską Republikę Radziecką jako kandydata na niestałe miejsce na okres dwuletni do Rady Bezpieczeństwa. Ameryka przeforsowała wybór monarcho-faszystowskiej Grecji, mimo że Grecja w żadnym stopniu nie może uchodzić za reprezentantkę geograficzno-politycznego obszaru wschodniej Europy. Wobec tego, że dwuletnia kadencja Grecji jako niestałego członka Rady Bezpieczeństwa upływa z końcem bieżącego roku, sprawa reprezentacji wschodniej Europy w Radzie Bezpieczeństwa staje znowu na porządku dziennym. Wadomo, że Stany Zjednoczone będą tym razem usiłowały wprowadzić Turcję do Rady Bezpieczeństwa na miejsce, zarezerwowane dla geograficzno-politycznego obszaru wschodniej Europy.

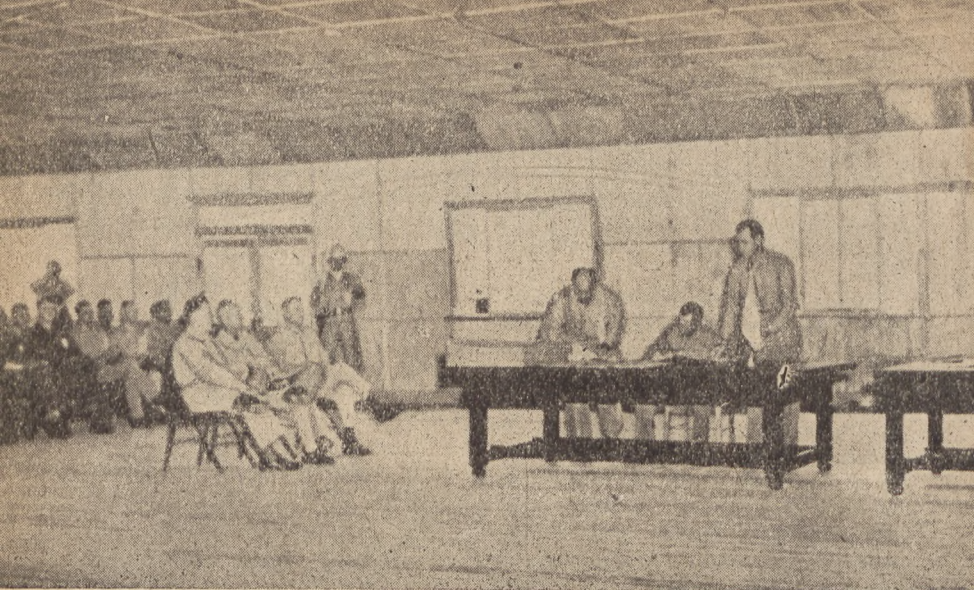
Przed ósmą sesją Zgromadzenia powstaje również ponownie zagadnienie składu konferencji politycznej w sprawie Korei. Pod naciskiem Ameryki zagadnienie to rozstrzygnięte zostało na trzeciej części siódmej sesji Zgromadzenia w sposób niezadowolający, wskutek odrzucenia propozycji radzieckiej, aby konferencja w sprawie

Korei była konferencją okrągłego stołu z udziałem najbardziej zainteresowanych w sprawie Dalekiego Wschodu krajów, a nie konferencją tylko między dwoma wojującymi stronami i ograniczoną co do uczestnictwa w niej jedynie do krajów, należących do obu



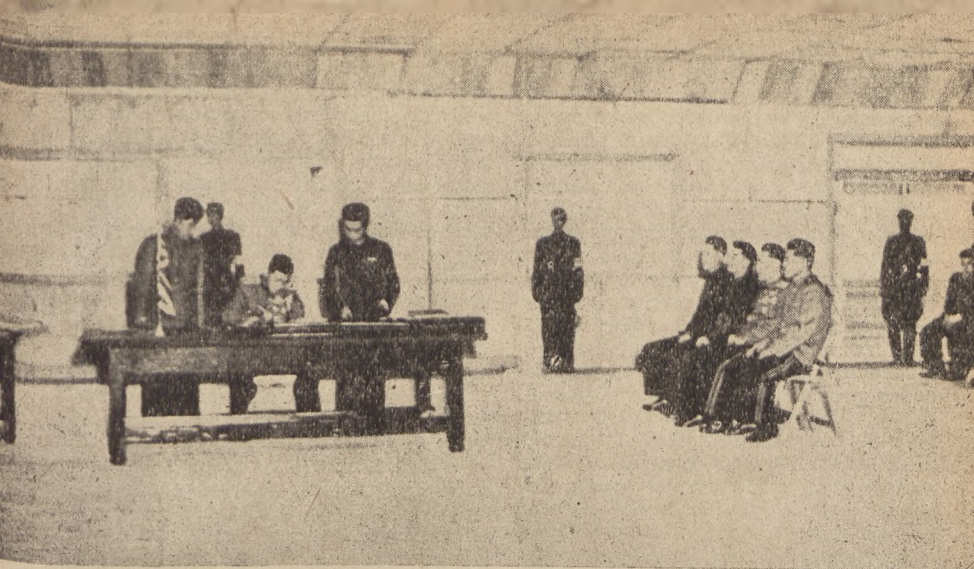
stron wojujących oraz do ZSRR. Narzucona przez Amerykę rezolucja ONZ została przez rząd Chin Ludowych odrzucona. W swej odpowiedzi z 12 września minister spraw zagranicznych Czu En-lai zaproponował, aby konferencja miała charakter konferencji okrągłego stołu i aby uczestnikami konferencji w sprawie Korei były oprócz krajów należących do obu stron wojujących i oprócz Związku Radzieckiego, także Indie, Indonezja, Pakistan i Burma. Min. Czu En-lai zaproponował też, aby dla uregulowania bez przeszkód koreańskiej konferencji politycznej przedstawiciele Chin Ludowych i Północnej Korei zaproszeni zostali na sesję Zgromadzenia w celu przeprowadzenia w tej sprawie wspólnych rokowań. Propozycje Chin Ludowych poparte zostały przez analogiczne propozycje rządu Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.

Propozycja Czu En-laia stanowi jedną i logiczną platformę dla powołania konferencji politycznej w sprawie Korei. Ale klimat ósmej sesji, jaki ujawnił się już pierwszego dnia odrzuceniem propozycji ministra Wyszyńskiego, aby delegację Kuomintangu zastąpić prawdziwym przedstawicielstwem Chin, nie rokuje powodzenia Czu En-laia wiele nadziei. Nie zmienia to jednak faktu, że propozycje Czu En-laia wznowiły wszystkie te rozdzźwięki, jakie ujawniły się w obozie imperialistycznym już w czasie



W dniu 25 lipca 1953 r. o godz. 10 czasu koreańskiego podpisany został w Pan-mundżon układ rozejmowy.





Na zdjęciu: z lewej gen. William K. Harrison, na prawo gen. Nam Ir przy podpisywaniu układu w imieniu swych delegacji.



trzeciej części siódmej sesji ONZ w związku z negatywnym stanowiskiem Ameryki wobec uczestnictwa Indii w koreańskiej konferencji politycznej. Londyński „Daily Telegraph” pisał w artykule redakcyjnym: „Wielu Amerykanów musi sobie obecnie zdawać sprawę z tego, że ich rząd uczynił źle, przeciwstawiając się udziałowi Indii w konferencji. Obecna sytuacja winna dać Stanom Zjednoczonym okazję do znalezienia platformy porozumienia z postulatami Chin”. Nawiązując do oświadczenia zastępcy Sekretarza Stanu, Murphiego, że Stany Zjednoczone nie widzą powodu wznowienia w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ debaty nad konferencją koreańską, „Daily Herald” pisał: „Jeśli Murphy rzeczywiście reprezentował opinię swego rządu, to mamy nadzieję, że brytyjski delegat wypowie się stanowczo za wysłuchaniem opinii Chin i Północnej Korei... Prestiż ONZ ucierpiałby bardzo, gdyby stanowisko Murphiego, odmawiające wysłuchania drugiej strony, zostało zaakceptowane”. A dyplomatyczny korespondent „Daily Express” stwierdził, że „jeśli oświadczenie Murphiego jest wyrazem zdecydowanej polityki rządu amerykańskiego, to doprowadzi to do poważnych reperkusji w W. Brytanii”. I wreszcie londyński „Times” w artykule wstępnym oznajmił: „Pozostaje faktem, że pogląd reprezentowany na ubiegłej sesji przez W. Brytanię i szereg innych państw — pogląd zaniechany pod naciskiem USA — był zdrowy i służył interesom ONZ. Przyszłość Korei jest zagadnieniem, które nie może być rozwiązane jedynie przez strony walczące. Żadna ze stron nie może dyktować rozwiązania tego zagadnienia, ani nawet sposobu jego rozwiązania”.

Charakterystyczną cechą sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych stało się to, że sesje te przeciągają się w nieskończoność. W założeniu swoim struktura ONZ pomyślana była w ten sposób, aby Rada Bezpieczeństwa była organem obradującym stale, zbierającym się co najmniej w odstępach dwutygodniowych na prze-

strzeni całego roku. W tym celu artykuł 28 Karty Narodów Zjednoczonych przewiduje, aby państwa-członkowie Rady Bezpieczeństwa reprezentowane były w siedzibie Rady Bezpieczeństwa przez stałych delegatów, mogących zawsze brać udział w obradach Rady Bezpieczeństwa. Odwrotnie zaś, Zgromadzenie Ogólne pomyślane było jako organ zbierający się tylko raz do roku, według artykułu 1 procedury Ogólnego Zgromadzenia w trzeci wtorek w miesiącu wrześniu, na czas ograniczony z reguły do mniej więcej dziesięciu tygodni.

Ale w toku funkcjonowania ONZ sytuacja ta uległa wyraźnej zmianie: Rada Bezpieczeństwa zbiera się rzadko (w 1952 r. odbyła zaledwie 13 posiedzeń), odwrotnie zaś sesje Zgromadzenia Ogólnego trwają prawie że na przestrzeni całego roku, rozbijając swoje obrady na dwie, a nawet — jak to było w wypadku siódmej sesji — na trzy części.

Ten stan rzeczy wytworzył się przede wszystkim dlatego, że Rada Bezpieczeństwa, zależna w swoich decyzjach politycznych od jednomyślności pięciu stałych swoich członków, straciła dla Stanów Zjednoczonych wartość jako powołny jej organ, bo Departament Stanu nie może zastosować swojej taktyki mechanicznej większości i wyeliminować ciężar gatunkowy weta stałego członka Rady Bezpieczeństwa. Stany Zjednoczone dążą do tego, aby decyzje w podstawowych sprawach bezpieczeństwa i pokoju przerzucić do Zgromadzenia Ogólnego, gdzie operować mogą mechaniczną większością, a zwłaszcza w sprawach wymagających kwalifikowanej większości dwóch trzecich głosów, mogą uniemożliwić takie decyzje.

W ostatnich tygodniach byliśmy prze to świadkami szeregu wystąpień ze strony miarodajnych rzeczników amerykańskiej polityki zagranicznej przeciwko Kartcie NZ, a zwłaszcza — przeciwko przewidzianej w tej Kartcie zasadzie jednomyślności pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa. Punktem kulminacyjnym tych wystąpień by-

ło przemówienie Sekretarza Stanu, Foster Dullesa w dniu 26 sierpnia w Bostonie na zjeździe prawników, gdzie Dulles wystąpił przeciwko zasadzie *vetu* i za rewizją Karty Narodów Zjednoczonych. Sprawa ta wypłyne na obecnej sesji Zgromadzenia Ogólnego w związku z wnioskiem przez przedstawioną przez Stany Zjednoczone Holandię wnioskiem rozpoczęcia prac przygotowawczych celem ewentualnego odbycia specjalnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych w myśl artykułu 109 Karty. Artykuł ten przewiduje rewizję Karty najpóźniej na dziesiątej sesji Zgromadzenia Ogólnego, a więc w roku 1955.

Zarówno delegat ZSRR Malik jak i delegat Polski Katz-Suchy zaprotestowali na posiedzeniu Komisji Ogólnej Zgromadzenia przeciwko włączeniu do porządku dziennego ósmej sesji projektu rewizji Karty. Delegat radziecki podkreślił, że umieszczenie tych punktów na porządku obrad może być wykorzystane przez niektóre mocarstwa w celu osłabienia i podważenia Karty Narodów Zjednoczonych ze szkodą dla sprawy pokoju. Zaś delegat polski stwierdził, że propozycje w sprawie zmian Karty mogą jedynie przeszkodzić wysiłkom zmierzającym do osłabienia napięcia międzynarodowego oraz do utrwalenia pokoju i współpracy międzynarodowej. Mimo to jednak komisja, rzekomo dla „usprawnienia” funkcjonowania ONZ postanowiła umieścić sprawę rewizji Karty na porządku dziennym obecnej sesji.

Perspektywy ósmej sesji Zgromadzenia nie przedstawiają się optymistycznie. Niemniej przeto rola delegacji krajów obozu pokoju ze Związkiem Radzieckim na czele polegać będzie na tym, aby osłabić nacisk imperiaizmu amerykańskiego na ONZ i demaskować jego agresywne cele, aby bronić słuszných żądań pokojowych narodów.

W obliczu rosnącego nacisku opinii publicznej i pokojowej inicjatywy krajów obozu pokoju również na forum ONZ daje się zauważyć, że rządy krajów kapitalistycznych nie popierają już bez zastrzeżeń polityki USA.

Akredytowany przy ONZ korespondent „New York Times”, Hamilton, omawiając na łamach tego pisma perspektywy obecnej sesji, przyznał, że na siódmej sesji Stany Zjednoczone straciły kontrolę nad swymi satelitami: „Rząd Eisenhowera — pisze Hamilton — stanie na sesji Zgromadzenia przed wielką próbą odzyskania przywództwa nad niekomunistycznymi członkami ONZ... Będzie rzeczą konieczną przywrócić wspólny front z naszymi głównymi sojusznikami: narodami Europy Zachodniej i krajami Wspólnoty Brytyjskiej. Będzie również niewątpliwie rzeczą pożyteczną, jeśli poprawimy nasze stosunki z krajami Azji i Afryki, które popierają zaproszenie Indii do udziału w konferencji koreańskiej mimo wszystkich naszych argumentów” — stwierdza Hamilton. Jest jednak faktem, że wiele krajów, zwłaszcza delegacje państw arabskich i azjatyckich, zdaje sobie coraz wyraźniej sprawę z roli, jaką imperializm amerykański odgrywa na forum ONZ.

Sytuacja we Francji

STRAJKI, które w sierpniu wstrząsnęły Francją, stanowią nadal groźne „memento” dla rządu Laniel’a. Wymowny dla sytuacji, jaka zapanowała po strajkach, był ostrzegawczy głos burżuazyjnego dziennika francuskiego, „Combat”. „Lekceważenie — stwierdza „Combat” — z jakim pracujący przyjeżdżali na cgoł nakazy powrotu do pracy, dowiodło słabości władz rządowych. Jeśli czerwiec 1936 roku był ruchem nadziei robotniczej, to sierpień 1953 był ruchem wściekłości pracujących. W roku 1936 w świadomości robotniczej istniało wiele złudzeń, jeśli chodzi o akcję polityczną i rządową. Złudzenia te rozwiły się w 1953 r. Dekrety Laniel’a ukazały się jako prowokacja. Kapitałiści raz jeszcze chcieli zmusić robotników do zaplacenja za konsekwencję polityki chaosu i przemocy. Walka rychło przekroczyła zagadnienia dekretów. Pracujący — pisze „Combat” — chcieli przez walkę roz-

wiązać całość problemów plac i swego losu. W rezultacie narzucają się pewne oczywiste prawdy. Nie można jednocześnie kontynuować wojny w Indochinach, finansować budżet wojenny i polepszać byt pracujących. Polityka konserwatyzmu społecznego zbankrutowała. Jednakże ruch zakualizował również problem stosunków między organizacjami związkowymi. Pertrakcje z rządem Laniel'a załaty straszliwy cios Force Ouvriere i chrześcijańskim związkom zawodowym. Zawarty układ wydawał się opinii robotniczej bezwarunkową kapitulacją i był nią w istocie... Jeszcze raz ukazało się bankructwo antykomunistów. Polityka kapitalistów i rządu usuwa możliwość osiągnięcia poważniejszych sukcesów bez prawdziwej walki... Klasa robotnicza słusznie realizuje swój jednolity front. Kto będzie przeciwstawił się temu frontowi, ten dojrzy, że zostanie on zrealizowany przeciwko niemu" — kończy „Combat”.

Usiłując odwrócić uwagę mas pracujących od istotnych zagadnień ich bytu, rząd Laniel'a wstąpił obecnie na drogę, jaką w swoim czasie wskazał Pinay, inicjując znowu pozorną zniżkę

nie domowe, które nie zapomnialy doświadczeń sprzed 18 miesięcy, z wyraźnym brakiem wiary. Typowy dla poglądów drobnego mieszczaństwa dziennik „Populaire”, nie wierząc w powodzenie eksperymentu Laniel'a, pisze: „Jeśli z całą szczerością przeprowadzimy rachunki, to jakie mogą być reperkusje operacji, o ile chodzi o saskiewkę gospodyni? 200 franków? 300 franków? Bądźmy szczerzy i dojdźmy nawet do 400 franków. Wynosi to akurat tyle, o ile zostało podniesione komorne. Czy można przypuszczać, że w ten sposób udałoby się rozwiązać kryzys społeczny? Czy można wierzyć, że w ten sposób zdołaloby się uśmierzyć niecierpliwość i gniew klasy robotniczej?” Zaś „Humanite” stwierdza, że zniżka cen nie zmierza bynajmniej do podniesienia zdolności nabywczej plac, lecz wręcz przeciwnie — jest obliczona, aby przeszkodzić w podniesieniu zarobków.

Obniżka kosztów utrzymania jest kardynalnym zagadnieniem bytu francuskich mas pracujących. Wysokość zagwarantowanego minimum plac ustaloną została przez rząd dwa lata temu na 20 tysięcy franków miesięcznie dla okręgu paryskiego, podczas gdy stwierdzone wówczas przez organizacje robotnicze minimum kosztów utrzymania wynosiło 23.600 franków. Od tego czasu minęły dwa lata. Koszty utrzymania wzrosły o 15%, ale płace pozostają zablokowane na poziomie minimum z września 1951 r. Faktycznie zaś typowy budżet, oparty na wskaźniku 213 artykułów, przyjętych przez najwyższą radę dla spraw urzędniczych przed sześciu laty i zaprobowanych wówczas przez przedstawicieli rządu, wynosi na podstawie cen obecnych przeszło 31 tysięcy franków miesięcznie. Dopóki ta rozpiętość między kosztami utrzymania a płacami nie zostanie usunięta, sytuacja bytu mas pracujących Francji pozostanie tragiczną.

Reprezentująca olbrzymią większość robotników CGT żąda przeto wprowadzenia w życie stosowanych zarządzeń, które doprowadziłyby do realnej i znacznej obniżki kosztów utrzymania. Te zarządzenia są następujące:



cen. „Akcja befsztyk” — tak bowiem w popularnej gwarze Paryża nazwany został plan zniżki cen mięsa — przyjęta została przez francuskie gospody-

1) zniesienie taks i damin pośrednich na produktach pierwszej potrzeby, jak: chleb, mięso, tłuszcze, najpopularniejsze gatunki wina.

2) redukcja o 50% tych samych opłat, oiażających na kilku szczególnie ważnych produktach i usługach, jak: węgiel do użytku domowego, popularne tekstylia, odzież do pracy, obuwie, produkty farmaceutyczne, rowery i transport.

3) redukcja nadmiernych zysków wielkich spółek kapitalistycznych.

4) masowa redukcja kredytów woj-skowych.

Poza tym CGT żąda, aby natychmiast zwiększone zostało zagwarantowane minimum płac o 15%, aby natychmiast ustalone i zagwarantowane na razie zo-stało miesięczne minimum w wysokoś-ci 23 tysiące franków oraz aby zniesione zostały strefy płac i zagwara-towane na razie minimum płacy w wy-sokości 23 tysiące franków w całej Francji.

Biorąc pod uwagę, że legalny ty-dzień pracy przewiduje 40 godzin i że sam rząd uważa za częściowo bezro-botnych tych tylko pracowników, któ-rzy pracują mniej niż 40 godzin tygod-niowo, CGT domaga się, aby zagwa-rantowane minimum miesięczne w wy-sokości 23 tysiące franków dotyczyło 40-godzinnego tygodnia pracy, to jest 173 godzin miesięcznie zamiast 200 godzin, jak to się dzieje obecnie.

Sesja Zgromadzenia Narodowego, które zbiera się 6 października, będzie obfitowała w dramatyczne momenty. Z jednej strony rząd Lanieli będzie pod ostrzałem słusznych żądań mas pra-cujących; z drugiej zaś strony rząd Lanieli znajdzie się pod wzmoczoną presją Waszyngtonu, który domagać się będzie ratyfikacji układu paryskie-go.

Prasa francuska doniosła, że Laniel zaproszony został do Waszyngtonu przez Eisenhowera, który według pra-sy zażądał przyspieszenia ratyfikacji. Kongres amerykański przyznał ostat-nio rządowi francuskiemu pomoc w wy-

sokości 385 milionów dolarów na wzmoczenie wojny w Indochinach. Os-tateczne zatwierdzenie tej pomocy uzależnione jest od decyzji Eisenhowera, który niewątpliwie wykorzysta tę po-moc jako narzędzie nacisku i szantażu w stosunku do Francji, aby zmusić ją do jak najszybszej ratyfikacji układu o „armii europejskiej“.

W tych warunkach sesja Zgroma-dzenia Narodowego skupi na sobie u-wagę nie tylko Francji, ale całego świata.

Za kulisami zatargu o Triest

ROK temu przywódca włoskich ko-munistów, Palmiro Togliatti u-dzielił francuskiemu organowi komu-nistycznemu, „Humanite“, wywiadu na temat Triestu. W tym wywiadzie To-gliatti wyjaśnił, dlaczego imperialiści, w pierwszym rzędzie Ameryka, prze-cistawiają się uregulowaniu proble-mu Triestu. „Czyniąc obietnice jedno-cześnie obu stronom — powiedział To-gliatti — mają oni, jak mi się wydaje, interes w tym, aby sprawa nie zosta-ła w gruncie rzeczy rozwiązana. Pra-gną oni, aby Triest pozostał przedmio-tem sporów między Włochami a Jugo-sławią, aby w ten sposób mogli oni na-rzucać jednocześnie obu rządów swą cenę i utrzymać je pod swoją kuratelą“.

Wydarzenia, jakich jesteśmy od kilku tygodni świadkami, potwierdzają w całej swojej rozciągłości słuszność oceny Togliattiego. Spór między Włochami a Jugosławią o Triest na nowo się zaognił, co ułatwia imperialistom amerykańskim wykorzystywanie Woł-nego Obszaru Triestu jako amerykań-skiej wojennej bazy morskiej, w którą obszar ten został przekształcony.

Paryska konferencja pokojowa zade-cydowała w lipcu 1946 r. oddać całe terytorium Triestu pod kontrolę ONZ która sprawowałaby swoją władzę przez mianowanego przez Radę Bez-pieczestwa gubernatora. Gubernator taki miał być mianowany do dn'a 15 września 1947 r. Obce wojska opuści-

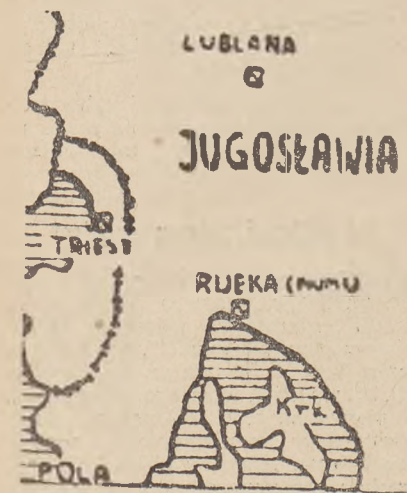
łyby cały ten obszar, który miał zostać zdemilitaryzowany. Ludność obszaru Triestu, zarówno miasta jak i wiejskiej okolicy, miała otrzymać wszelkie demokratyczne prawa i wybrać swoich

wykonają zalecenia paryskiej konferencji pokojowej, lecz poczynią odpowiednie kroki w kierunku zwrotu całego terytorium Triestu — a więc strefy „A” i strefy „B” — Włochom.

Po wyborach mocarstwa imperialistyczne nie spełniły co prawda swej przedwyborczej obietnicy, bo wobec zdrady Tito zaczęły faworyzować go jako „zachodniego sprzymierzeńca”. To faworyzowanie Tito wywoływało ostatnio poważne zdenerwowanie we włoskich kołach rządowych. Obawy te zwiększyły się szczególnie w chwili, gdy na zaproszenie Pentagonu wyjechała do Waszyngtonu specjalna jugosłowiańska misja wojskowa. Rozmowy przedstawicieli obu sztabów, amerykańskiego i jugosłowiańskiego, zostały niedawno zakończone.

Interesujące są w związku z tym faktem kulisy całej afery, zdemaskowane przez postępowy dziennik francuski „Liberation”, który pisał: „Jak dotąd, Włochy chciały wykorzystać posiadane przez siebie prawo weta odnośnie przystąpienia Tito do paktu atlantyckiego, aby w ten sposób zdobyć sobie monetę wymienną na ustępstwa jugosłowiańskie w sprawie Triestu. Nadzieje Włoch zostały zawiedzione. Tito wstępuje do bloku atlantyckiego drogą okrężną — poprzez pakt bałkański i bezpośrednią współpracę z Amerykanami — i w ten sposób Włochy tracą możliwość wywierania nacisku. W chwili, gdy ta atlantycka współpraca Tito konkretyzuje się w wizycie jugosłowiańskich generałów w Pentagonie, Włochy montują demonstrację w Trieście. Włochy najwidoczniej obawiają się, że w Pentagonie opracowuje się plany, w myśl których Triest należałby do strefy obronnej, powierzonej Jugosławii. W ten sposób demonstracje morskie, wojskowe i dyplomatyczne ze strony Włoch mają charakter przewencyjny i zmierzają do zahamowania jugosłowiańsko-amerykańskich rozmów w Waszyngtonie”.

Obecny załóg o Triest zainicjowany został 29 sierpnia przez półoficjalną jugosłowiańską agencję prasową „Jugopress”, która głosiła między inny-



przedstawicieli, którzy zasiadali by w dwóch odrębnych ciałach ustawodawczych — jednym dla miasta, w którym jest przewaga Włochów, a drugim dla okolicy wiejskiej, w której jest przewaga Słoweńców. W ten sposób byłaby zagwarantowana autonomia obszaru Triestu, z zapewnieniem przewagi włoskiej w mieście, a przewagi słoweńskiej na wsi.

Od tego czasu minęło siedem lat, ale wskutek stanowiska, zajmowanego przez mocarstwa zachodnie, kontrola ONZ nie została do tej pory ustanowiona. Mocarstwa te, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, czyniły nieustanne trudności w sprawie mianowania przez Radę Bezpieczeństwa gubernatora, blokując wysuwane w tym celu kandydatury. Odwrotnie, chcąc sobie pozyskać Włochy i wzmocnić pozycję ich satelity — de Gasperiego, rządy Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji w przeddzień wyborów powszechnych we Włoszech w 1948 r. przyrzekły rządowi włoskiemu iż mocarstwa te nie

mi, że Jugosławia „*straciła już cierpliwość w odniesieniu do Włoch*“, dając do zrozumienia, iż Jugosławia ma zamiar przyłączyć strefę „B“ Triestu. Jak wiadomo, na podstawie traktatu pokojowego z Włochami Triest pozostał wolnym miastem, podzielonym czasowo na dwie strefy — „A“ i „B“ — z których pierwsza, obejmująca miasto Triest i port, została okupowana przez wojska brytyjskie i amerykańskie, podczas gdy strefa „B“, obejmująca okolicę otaczającą Triest, została okupowana przez wojska jugosłowiańskie. Od dłuższego już czasu Tito prowadził politykę stopniowej integracji strefy „B“ do Jugosławii.

Oświadczenie „Jugopress“ posłużyło nowemu premierowi Włoch Pelli jako pretekst do rozdmuchania podniecenia nacjonalistycznego, aby umocnić swoją własną pozycję. Jak doniosła prasa włoska, w okolicy granicznego miasta Gorycja skierowano włoskie oddziały wojskowe z czołgami, a jednostki włoskiej floty wojennej wpłynęły do najbliższej Triestu położonego portu włoskiego — Wenecji. Między rządem Włoch a rządem Jugosławii zaczęła się ostra utarczka słowna. W ciągu tygodnia Tito wystosował do Włoch aż pięć not, na które Pella odpowiedział. 6 września zaś w miejscowości Okroglica, w pobliżu granicy włosko-jugosłowiańskiej, z okazji dziesięciolecia walk partyzanckich, Tito wygłosił przemówienie, w którym wysunął żądanie umiędzynarodowienia miasta i portu Triestu, a przyłączenia pozostałej części Triestu do Jugosławii, twierdząc, że pozostawienie Triestu Włochom równałoby się gospodarczej ruinie tego portu, którego właściwym właścicielem jest Jugosławia.

W Rzymie oficjalni rzecznicy stwierdzili wobec tego, że stanowisko, zajęte przez Tito, nawet nie może stanowić podstawy do dyskusji, określając je jako „niesłychane“.

14 września rząd włoski skierował do rządów Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Francji oraz Jugosławii jednobrzmiące noty, w których zażądał przeprowadzenia plebiscytu na całym

obszarze Wolnego Terytorium Triestu, proponując odbycie konferencji pięciu mocarstw w sprawie Triestu dla omówienia sprawy plebiscytu. Propozycja plebiscytu z kolei została przyjęta w Jugosławii jak najgorzej.

Tło obecnego zatargu o Triest tak ocenił sekretarz komunistycznej partii Triestu, Vittorio Vidali: „*Mogłoby się nawet wydawać, że Tito i Pella porozumieli się, ponieważ Belgrad poprzez notę „Jugopress“ dał rzymskiemu rządowi klerykalnemu pretekst, który dopomógł Pelli do uchylenia się od konsekwencji wyborów z dnia 7 czerwca. Jednakże w całej tej pantominie, w diabelskim tańcu oficjalnych deklaracji, not protestacyjnych, śmiesznej generalnej mobilizacji, istnieje również aspekt szczególnie haniebnny i brudny: jest to dążenie rządów belgradzkiego i rzymskiego do stworzenia nienawiści pomiędzy narodami*“.

O przyszłość Azji

Na czoło zagadnień decydujących o przyszłości świata wysuwa się niewątpliwie zagadnienie Azji, tego największego i najbardziej zaludnio-



nego kontynentu globu ziemskiego. Ciężar gatunkowy niektórych mocarstw azjatyckich, które uwolniły się spod jarzma imperialistycznej niewoli, wzrasta z dnia na dzień. Decyzje takich

krajów jak 500 milionów ludności liczących Chin, jak 360 milionów ludności liczących Indii, jak po blisko 100 milionów ludności liczących Pakista-



ru i Indonezji, nie mówiąc o pomniejszych krajach azjatyckich, wywierają coraz większy wpływ na układ sił międzynarodowych.

Charakterystyczne dla aspiracji narodów azjatyckich było wystąpienie premiera Indii, Nehru, który w swoim exposé w parlamencie Indii na temat sytuacji międzynarodowej, czyniąc aluzję do sprzeciwu Ameryki wobec udziału Indii w konferencji koreańskiej powiedział: „Pewne mocarstwa nie rozumieją jeszcze, że kraje azjatyckie nie zamierzają pozwolić na to, aby ignorowano ich wolę i naigrzewano się z nich. Nikt nie ma prawa szydzić z woli narodów azjatyckich ani lekceważyć ich woli” — oświadczył premier Indii.

Rola Azji jako czynnika współbudującego pokój świata znalazła wymowne odbicie w przemówieniu przewodniczącego rady ministrów ZSRR, Malenkowa, który, oceniając po sfinalizowaniu rokowań między rządem radzieckim, a delegacją rządową Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej znaczenie bohaterskiej walki narodu koreańskiego i wspierających go ochotników chińskich jako wkład na rzecz pokoju świata, powiedział: „*Stawny naród koreański wniósł nową*

chlubną kartę do dziejów walki wyzwoleńczej. Karta ta uczy nas, że nie ma w świecie siły, mogącej złamać naród, który ujął los swego kraju we własne ręce. Z dwóch źródeł czerpali patrioci koreańscy wolę zwycięstwa, męstwo i bohaterstwo w walce: z poczucia głębokiej słuszności swej sprawy i z niebywalej solidarności całej postępowej ludzkości z narodem koreańskim. Nieśmiertelny czyn chińskich ochotników ludowych był świadectwem nienaruszalności więzów łączących narody Azji. Jest to znak nowej epoki, która nastąpiła na Wschodzie, jest to dowód ożywiającej ludy Azji zdecydowanej woli zdobycia i obrony wolności narodowej i niezawisłości, niedopuszczenia do tego, by Azja stała się ogniskiem nowej wojny światowej” — stwierdził Malenkow.

„*Agresywne koła nie mają zamiaru liczyć się z bezspornym faktem, że odchodzi już w przeszłość stara Azja, której udziałem był beznadziejny ucisk i której narody były ujarzmione przez siły obce. Koła te — oświadczył Malenkow — chciałyby powstrzymać, udaremnić ten wielki proces odrodzenia narodów Wschodu, który stanowi jedną z najważniejszych cech naszej epoki i otwiera porywające perspektywy dalszego rozwoju całej współczesnej cywilizacji”.*

Przestrzegając Stany Zjednoczone przed ich krótkowzroczną polityką, Malenkow powiedział: „*Nie wolno ignorować zasadniczych zmian, które zaszły w Azji i w strefie Oceanu Spokojnego, a które wyciskają swe piętno na powojennym życiu przeszło miliarda ludzi zamieszkujących te obszary. Zawarcie rozejmu w Korei stanowi bezwzględnie niezmiennie doniosły etap walki wszystkich sił milujących pokój przeciwko siłom agresji i awantur międzynarodowych” — stwierdził Malenkow.*

Mówiąc o ciężarze gatunkowym

Chin Ludowych na arenie międzynarodowej, jako potężnym czynnikiem stabilizującym, Malenkov stwierdził: „*Powstało na świecie nowe wielkie mocarstwo, które wraz ze wszystkimi siłami militującymi pokój, broni sprawy utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego*“. „*W obecnej sytuacji międzynarodowej — powiedział Malenkov — wszelkie rachuby na możliwość izolacji Chińskiej Republiki Ludowej oznaczają jedynie reakcyjną utopię ludzi, którzy oderwali się od życia i zatracili wszelkie poczucie rzeczywistości*“.

Słowa Malenkowa, nakreślające podstawy budowania pokoju w Azji, od którego zależny wszak jest pokój całego świata, posiadają olbrzymie znaczenie jako drogowskaz dla całej postępowej ludzkości. „*Historia rozwija się nie według recept tych, którzy by chcieli ją zakonserwować, którzy chcieliby powstrzymać ruch narodów na drodze postępu, narzucić przyszłemu pokoleniu dzień wczorajszy*“ — stwierdził Malenkov.

STEFAN LITAUER



REZOLUCJA

BIURA ŚWIATOWEJ RADY POKOJU

W Wiedniu odbyła się sesja Biura Światowej Rady Pokoju. Na sesji tej uchwalono następującą rezolucję:

Biuro Światowej Rady Pokoju, które obradowało po raz pierwszy po zakończeniu działań wojennych w Korei, wita z zadowoleniem to zwycięstwo sprawy pokoju.

Biuro omówiło przebieg kampanii rozpoczętej 20 czerwca 1953 r. przez Światową Radę Pokoju, która zaapelowała do narodów, aby domagały się od swych rządów wszczęcia rokowań i osiągnięcia porozumienia. Ustosunkowanie się opinii publicznej do tego apelu dowodzi, że Światowa Rada Pokoju dała wyraz najgorętszym pragnieniom ludzkości. Dziś żaden działacz państwowy nie ośmiela się już występować otwarcie przeciwko rokowaniom.

Jednakże bieg wydarzeń ostatniego okresu nakłada na Biuro Światowej Rady Pokoju obowiązek wezwania narodów do czujności. Słowo „rokowania“ jest zbyt często używane w celu zamaskowania posunięć, które pozostają w sprzeczności z pokojowym rozwiązywaniem spo-

rów międzynarodowych. Wysuwanie wstępnych warunków, chęć narzucenia z góry formy i treści rokowań — nie oznacza prowadzenia rokowań. Zawarcie jeszcze przed rozpoczęciem rokowań w sprawie Korei separatystycznego układu z Li Syn-maner, który odmówił podpisania rozejmu odsunięcie Indii od udziału w konferencji politycznej, domaganie się przed rozpoczęciem jakichkolwiek rokowań w sprawie Niemiec zgody na wskrzeszenie militarystyki niemieckiej — wszystko to równa się chęci uniemożliwienia porozumienia. Wzywamy narody, aby nie dopuściły do wznowienia pod jakimkolwiek pretekstem wojny w Korei, i aby doprowadziły do zakończenia wojny w Indochinach. Aktom przemocy dokonywanym w Azji i w Afryce przeciwko niezawisłości i bezpieczeństwu wielu narodów należy położyć kres w interesie pokoju.

Narody nie zgodzą się na to, ażeby w Niemczech powstało znowu ognisko wojny, które zagrażałoby wszystkim sąsiadom Niemiec, samemu narodowi niemieckiemu i pokojowi na całym świecie.

Narody pragną szczerych rokowań, rzetelnego dążenia do porozumienia we wszystkich dziedzinach na podstawie decyzji, które byłyby możliwe do przyjęcia dla wszystkich.

Narody domagają się przestrzegania postanowień Karty NZ. Domagają się one, aby Chińska Republika Ludowa zajęła w Organizacji Narodów Zjednoczonych miejsce, do którego ma prawo. Narody uważają, że rozwiązanie doniosłych problemów międzynarodowych i utrwalenie pokoju nie może być osiągnięte bez udziału Chin. Potworne niebezpieczeństwo, jakie stanowi dla ludzkości bomba wodorowa wymaga natychmiastowego zakazu wszelkiej broni masowej zagłady.

Niebezpieczny ciężar wydatków wojennych, które są nie do zniesienia, powinien być zmniejszony przez osiągnięcie międzynarodowego porozumienia w sprawie rozbrojenia. Trzeba przywrócić wymianę handlową między wszystkimi krajami na zasadach równości w imię ich wza-

jemnej korzyści i szybkiej poprawy warunków bytu całej ludzkości. Trzeba przywrócić współpracę między wszystkimi krajami. Trzeba otworzyć przed ludzkością nowe perspektywy.

Biuro Światowej Rady Pokoju apeluje z ufnością do narodów, które potrafiły doprowadzić do rozejmu w Korei. Wzywa ono narody, aby zjednoczyły się i skoordynowały swe wysiłki, w celu udaremnienia polityki siły i doprowadzenia do porozumienia między rządami.

★
Biuro Światowej Rady Pokoju postanowiło zwołać w listopadzie br. posiedzenie Światowej Rady Pokoju w celu rozpatrzenia sprawy dalszego rozwoju prowadzonej obecnie kampanii na rzecz pokojowego uregulowania wszystkich problemów międzynarodowych.

Biuro przedstawi do rozpatrzenia Światowej Radzie Pokoju sprawę ewentualnego zwołania Światowego Kongresu Pokoju w 1954 r.

Wiedeń, 10 września 1953 r.



TREŚĆ NUMERU:

	Str.
PIERRE COT: By lepiej zrozumieć nasze czasy	2
PROF. J. D. BERNAL: Na drodze do dalszych zwycięstw	4
REVISOR: Egzamin generała Grünthera	9
PAUL DAWSON: Amerykański fetysz — koniunktura wojenna	13
GORDON SCHAFFER: List z Londynu	18
JULIUSZ FUCZIK: Gdy noc zapada nad rzeką Pandż	23
PAUL HOGARTH: Notatki rysownika	31
MARIA ROSA OLIVER: Kontynent amerykański a niepodległość narodów	36
FRED GARHIAT: Wsiewołod Pudowkin — wielki artysta i człowiek	42
GERALD CAZAUBON: Film hinduski	47
CLAUDE ROY: Pisarz i jego naród	54
Iran	60
JEAN-MAURICE HERMANN: Dwie drogi Niemiec	67
WŁADYSŁAW SZCZERBIC: Na osi Waszyngton-Bonn	73
MAURICIO BIRGIN: Argentyna chce eksportować	79
Dr YVETTE SALOMON-BERNARD: Zagadnienie bezpłodności	83
JEAN BENEZECH: Z aparatem filmowym wśród dzikich zwierząt	87
PROF. LEON BERTIN: Łosoś — ryba królewska	96
VERAX: Oświata u nas i u nich	100
HALINA MIROSZ: Nad mapą i planem	103
KRZYSZTOF ZAREWICZ: Piewca ziemi mołdawskiej	108
STEFAN LITAUER: Fakty i komentarze	114
Rezolucja Biura Światowej Rady Pokoju (10 września 1953 r.)	126

Miesięcznik „W Obronie Pokoju“ ukazuje się dotychczas w następujących krajach:

FRANCJA: „Defense de la Paix“, 33 rue Vivienne, Paris II-e.

Prenumerata: rocznie — 600 fr., półrocznie — 300 fr.

ZSRR: „W Zaszczitu Mira“, Moskwa, ul. Krapotkina 10.

BULGARIA: „Zaszczita na Mira“, Sofia, Ivan-Vazov 27.

WŁOCHY: „La Pace“, Ressegna Internazionale del Mese“,
Piazza Montecitorio 115, ROMA.

MEKSYK: Revista „Paz“, Mexico 1, D. F., Avenida Juarez 20.

CHINY: „Pao Wei Ho Ping“, Pekin, Taichichang 9.

NRD: „Friedenswacht“, Mauerstrasse Berlin, W. 8.

NIEMCY ZACHODNIE: „Friedenswacht“, Stuttgart —
0. Heinrich-Baumannstrasse 27.

JAPONIA: „Haiwa Yogo“, Japan Peace Committee 28.
Tamachi, Bunkyo-ku, Tokio.

RUMUNIA In Apararea Pacii“, Revista Lunara Bucuresti,
str. Polonia 19.

BRAZYLIA: „Partidarios da Paz“, Rua Sao Jose No 50,
Sala 502, Rio de Janeiro.

KANADA: „Peace Review“, 82 Gould St., Toronto.

FINLANDIA: „Tanaan“, 15/17 Erottajankatu, Helsinki.

IRAN: „Defae Az Solhe“, av. Ferdowsi, Teheran.

Uwaga abonenci!

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę miesięcznika „W Obronie Pokoju” są przyjmowane:

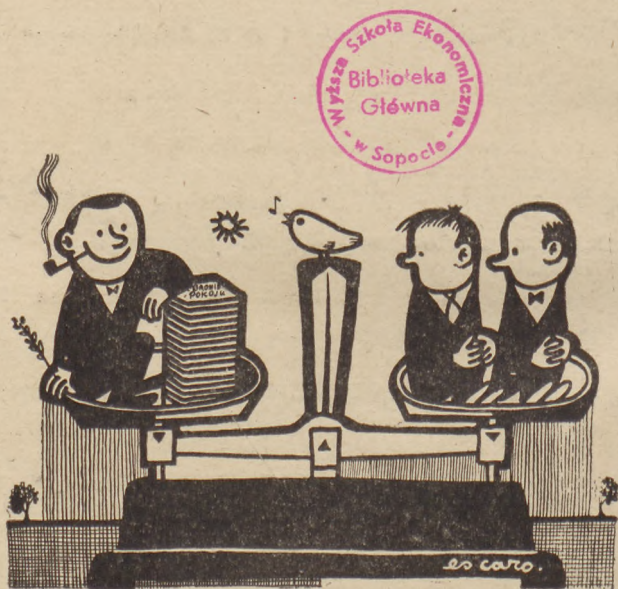
Na okresy kwartalne — do dnia 10-go grudnia	na I kwartał
„ „ 10-go marca	na II „
„ „ 10-go czerwca	na III „
„ „ 10-go września	na IV „

Na okresy półroczne — do dnia 10-go grudnia	na I półrocze
„ „ 10-go czerwca	na II

Na okres roczny — do dnia 10-go grudnia

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy.

Reklamacje prosimy kierować do P. P. K. „Ruch” — Warszawa, ul. Srebrna 12.



Jeden abonent wart jest dwu czytelników